13,000 abonentów!

51 i 52. Poznań, Niedziela dnia 21-go Grudnia 1902. rok VI.

PRACA



ŚWIĘTO POKOJU.

Białe puchy otuliły świat. Nad snem przyrody czuwa anioł cichy. A serca ludzkie jakgdyby przeczuwały obecność jego. Wśród wieczornej ciszy wstępuje do nich spokój i nieprzebrany czar ukojenia. Burze milkną, — po rozpaczy przychodzi wiara i ufność, — miasto nienawiści rodzi się potrzeba przebaczenia. — A samo serce staje się na podobieństwo dziecięcych serc; gdzieś dawno zapomniane budzą się sny, z pod popiołów odzywa się ręką matki zaszczepiona miłość do tego, co nieujęte, wielkie, szlachetne...

Dlatego leży w tem najcudniejszem objawieniu, jakie kiedykolwiek między ludzi zeszło, taka nieprzebrana potęga miłości. Jest to święto dzieciństwa naszego. Człowiek myślą cofa się wstecz. Otwiera się przed nim królestwo bajki, królestwo dziecięcych wierzeń, mieniący się w tęczowych kolorach świat cudów. Szczęśliwy, kto na dnie serca ma skarbnicę taką, do której niedotarły burze i szorstkie walki świata, bo płynie z niej moc na całe życie....

* * *

Szczęśliwa ludzkość, na którą zeszło cudne objawienie święta pokoju. Przeszło po niej tyle burz i mar straszliwych, wśród nadludzkich trudów walczyć musi o kęs codzienny chleba, — ale ma talizman, który ją broni od rozkładu... — i nie upadnie, dopóki strzedz i kochać go będzie, dopóty zwycięży na ziemi piękno i dobro.

W walce narodów ten zwycięża, kto wyżej niesie przeczysty sztandar miłości! Jak puch rozbiją się potęgi nagromadzonych skarbów i przemocy o pierś narodu, w której bije serce szlachetne i kochające. Zwycięztwo bezprawia i złości to jednodniowy tryumf, który nie doczeka słońca. Dlatego na codzienny trud nasz nie skarbów nam trzeba ani pancernych zbroi, tylko wielkiej wiary i wielkiej miłości, czerpanej w skarbnicy narodowych ukochań. — W święto „Narodzenia“ piersią całą zaczerpnijmy mocy na długi — ale słodki trud, — dzielący nas od świąt — *Zmartwychwstania!...*

Vester.

Wesołych Świąt!

Wesołych Świąt! Serdeczne życzenia śle Wam „Praca“, drodzy Czytelnicy!

Gdy w wieczór wigilijny pierwsza gwiazda zabłyśnie na firmamencie i starym ojców obyczajem będziecie dzielić się opłatkiem, my duchem będziemy z Wami, zespolimy się z bracią w narodzie.

Bo w tej chwili podniosłej i uroczystej, gdy w gronie swoich odczuwać będziemy węzły krwi, nie godzi nam się zamykać w kółku rodzinnem, zasklepiać w własnej sferze, lecz trzeba nam objąć duchem cały naród, przebaczyć, jeżeli mamy coś do przebaczenia, zapomnieć, jeśli mamy coś zapomnieć, zbratać się z ziomkami, zadzierzgnąć na nowo nić serdeczną, odnowić przymierze miłości. — Wtedy święto rodzinne nabierze szczególnego blasku, stanie się bowiem wspaniałem świętem wielkiej rodziny polskiej, świętem miłości bratniej, świętem patryotycznem.

Podzielmy się więc opłatkiem z dalekimi a bliskimi krwią braćmi, niech myśl nasza pogoni nad Sprewę, Ren i do Westfalii do naszych, co tam zdala od pnia rodzinnego tworzą niejako wyspy polskie, oblane groźnem morzem niemczyzny, nad Odrę do ludu śląskiego, który po długim letargu podnosi głowę i zatyka sztandar narodowy na ziemi Piastów, niech pogoni nad Wisłę, Niemen, Bug, za morza i oceany — wszędzie, gdzie rozbrzmiewa polska mowa. Wyrwijmy z dusz chwasty uprzedzeń, pamiętając na słowa wielkiej naszej powieściopisarki, że złym obywatelem jest ten, kto żywi nienawiść dla tej lub owej warstwy społecznej. Niech w ogniu czystej miłości oswobodzą się dusze nasze z nieczystych, niechrześcijańskich uczuć, obcych naleciałości, niech serca zabiją dla wszystkich rodaków, dla wszystkich ludzi „dobrej woli!“ A wtedy czyści, odmłodzeni na duchu możemy wstąpić godnie do wielkiej świątyni narodowej i przed ołtarzem Ojczyzny święcić święto wielkie.

Ze zestrzelonych w jedno ognisko uczuć pięknych i czystych błyśnie ku niebu ogień miłości, jaką naród polski pała do swej Ojczyzny i przed tronem Najwyższego uprosi nam lepszą dolę, jasną, świetną przyszłość....

A w narodzie na niwie miłości zakwitnie cudny kwiat wiary w siebie, w własne siły, w szczęśliwe jutro. Dreszcz nowego życia i energii przeszyje polskie zastępy, ożywi je, zagrzeje do dalszej walki z przeciwnościami, wyposaży żelazną niezłomnością w niekrwawym, lecz strasznym boju, jaki nieszczęsny nasz naród toczy z przemożnym, odwiecznym nieprzyjacielem. Silni wiarą utworzymy potężną skałę, o którą rozbiją się rozwścieklone fale niemczyzny i moce piekielne, aż staniemy przed światem na przynależnem nam stanowisku z podniesionem czołem — niezwyciężeni.

I z wiary w siebie i w moc ducha polskiego — który tak świetne odnosił już zwycięztwa i prowadzi nas „przez ciernie do gwiazd“ — wyłoni się anioł nadziei i opromieni nam duszę wizyą lepszej przyszłości!

Z serdecznem „Wesołych Świąt“ przesełamy Wam, drodzy czytelnicy, życzenie, by te trzy siostrzane uczucia zasiadły z Wami do wilii, by cudotwórcza, ziemie nasze oplatająca, miłość zagorzała w Waszych sercach, wiara uniosła dusze ponad niedolę i przyświecała Wam gwiazda nadziei.

W tem życzeniu zamyka się nasz program.

Niosąc pokarm duchowy, wzywając do obrony naszych skarbów, jaknajgoręcej nawoływaliśmy zawsze do miłości bratniej w narodzie, krzepili ducha, rozniecali płomień wiary świętej i narodowej, wskazywali na „jutrzenkę“ zwiastującą „zbawienia słońce.“ Spadał na nas cios za ciosem z ręki wroga, lecz nieugięci staliśmy na naszym posterunku, ufni, że biją dla nas serca Wasze, drodzy Czytelnicy, że jesteśmy głosem narodu, echem krzywd jego i wyrazem jego uczuć.

Radosne święta Bożego Narodzenia zaćmiewa nam myśl o naszych dwóch więźniach, dr. Kazimierzu Rakowskim i p. red. Janie Kwiatkowskim, którzy zdala od swoich w kaźni więziennej, za żelazną kratą, w opuszczeniu spędzają święta. Winowajcy! Zawinili — miłością, kochali to, co ojcowie i Bóg nakazał kochać. Niestety, nie możemy podzielić się z nimi opłatkiem, pokrzepić ich uściskiem bratnim, lecz na pocieszenie zaniesimy im do więzienia wieść wielką, że wśród odgłosu dzwonów, zwiastujących nam narodzenie Zbawiciela, idzie do nas z kresów z szumem białych skrzydeł orlich zwiastun ostatecznego odrodzenia Śląska, tryumfu duszy polskiego ludu nad wrogiem, tryumfu miłości nad nienawiścią, tryumfu nieśmiertelnego polskiego ducha.

Przy naszym narodowym stole zasiądzie niebawem, jak za czasów Chrobrego i Krzywoustego, brać nasza z nad Odry!

A więc przez chmury na naszym widnokręgu przedarł się jasny promień rozsiewający blask radości, który niechaj przyczyni się do — wesołych Świąt!

Redakcya.

Do swoich!

Gwiazdka — święto znicza domowego, święto dziatwy, święto rodzinne. Każdy jak może pragnie uświęcić to święto, sprawić radość maleństwom i upromienić serce widokiem uszczęśliwionej małej drużyny.

Więc spieszą matki i ojcowie po zakupy, ludno i gwarno w składach, na ulicach w pobliżu sklepów handlowych roi się mrowie ludzkie, odbywają się istne wędrówki w poszukiwaniu potrzebnego i taniego towaru.

Patrząc na te zastępy, niosące kupcom zyski, chciało by się wołać, przypomnieć im słowa:

— Idźcie do swoich!

Może to zbyteczne. Stanęliśmy przecież już na takim szczeblu uspołecznienia i zrozumienia naszych interesów, iż i prostaczek powinien zrozumieć, że w jedności siła i idąc tylko ręka w rękę przeciw legionom wrogów,

podpierając się wzajemnie, możemy uniknąć materyalnej ruiny, jaką nam pragnie zgotować hakata. Wszyscy już bodaj zdajemy sobie sprawę z tego, że Niemcy pragną zniszczyć nas, sproletaryzować, ogłodzić, zamienić w białych murzynów. Ogłosili bojkot przeciw handlowi polskiemu, zabronili urzędnikom i wojskowym uczęszczać do polskich lokalów, władzom wojskowym uwzględniać oferty polskich producentów, wszędzie gdzie się da wywierają na swoich taki nacisk w tym kierunku, że wypadkiem tylko spotkasz Niemca w polskim składzie i mur chiński dzieli handel polski od niemieckiego, tak jak odnośne narodowości.

Ale niestety zawsze jeszcze mamy wpośród siebie wielu obojętnych, bezmyślnych ludzi, co zaspokajają swe potrzeby nie tyle u Niemców ile chętnie u żydów — tych faryzeuszów, co przyjmują polską klientelę, łamiąc się wpół czołobitnie, popisując swą wątpliwą znajomością języka naszego, a wyłudziwszy grosze z polskich kieszeni, dmą w trąbkę hakaty, głośniej nieraz od samych Prusaków, by popisać się swym „patryotyzmem“ przed niemczyzną, zaskarbić sobie łaski możnych, przyciągnąć do siebie kupujących. Żydostwo połączyło się z naszymi wrogami, jak to widzimy, przy wyborach czy to miejskich czy parlamentarnych, zasila szeregi hakaty i narodowo-liberalnej partyi — a my mamy wnosić do żydowskich kieszeni ciężko zapracowane pieniądze?

Zachwalają się oni fałszywą taniością. Kto wszakże nie pozwoli sobie narzucić lada tandety w składzie, kto zna się trochę na towarze i wie *istotnie* czego mu potrzeba nie będzie powtarzał, że „u żydów taniej“ i nie będzie wchodził do żydowskich składów. Wiele towarów, wywieszonych dla przynęty naiwnych, jest wprawdzie „billig“ ale zarazem „schlecht,“ a jeśli ten sam towar u Polaka nie jest tak „billig,“ ale zarazem „schlecht,“ a jeżlepszy, bo — trzeba to powiedzieć na pochwałę naszych kupców — my nie mamy sumienia wtykać ludziom w ręce byle czego li tylko by wyeskamotować im z kieszeni grosze.

Ze względów narodowościowych zarówno jak praktycznych należy nam stronić od handlów niemieckich i żydowskich, odpłacać „naszym najserdeczniejszym“ pięknem za nadobne — popierać swoich.

Pamiętajmy, że *dając zarobek swoim wzbogacamy samych siebie, nasze społeczeństwo.* Gdy bowiem kupcowi naszemu będzie się dobrze powodzić, będzie miał za co kupować od nas — czy to nasz towar, czy naszą wiedzę. Ręka rękę myje. Kto chce, aby jego popierano, musi sam popierać rodaków. Dziś my wnosimy pieniądze kupcowi, on jutro przyniesie je nam w tej lub owej postaci. Im więcej napiera na nas niemczyzna, tem silniej zwartą, jednym duchem spojoną musimy stanowić grupę.

Niech matki pamiętają, że kupując u swoich dają dobry przykład dzieciom, budzą przez to w nich poczucie jedności narodowej, zaszczepiają w młode i wrażliwe pokolenie ducha solidarności.

Niechaj zasada: swój do swego nie przejawia się w słowach, lecz w czynach, a ujawnić ją, spełnić ten *obowiązek narodowy* mamy najlepszą sposobność teraz, w tym radosnym czasie gwiazdkowym.

A więc, bracia: Do swoich!

Quis.

W sprawie
„Czytelni Ludowych.“

Czy Towarzystwo Czytelni Ludowych zeszło na kopciuszka? — pyta „Dziennik Poznański,“ zaobserwowawszy, że coraz rzadziej spotyka się w pismach pokwitowania z składek na rzecz tej pięknej instytucyi. Wskazując na działalność hakatystów około zakładania stałych i wędrownych bibliotek ludowych niemieckich, wzywa „Dziennik Pozn.“ ogół, by hojną ręką poparł Towarzystwo, które nie może dostarczyć czytelniom dostatecznej ilości nowych książek, a zważywszy wzmagające się wymagania czytelników pomiędzy ludem, powinno nabywać coraz cenniejsze, zwłaszcza illustrowane dzieła.

Solidaryzujemy się z „Dzien. Pozn.“ i z naszej strony zachęcamy czytelników naszych do popierania Towarzystwa Czytelni, które zdziałało dla oświaty naszego ludu bardzo wiele, a nie jest jeszcze wcale niezbędnem. Chociaż bowiem lud przywykł już tak do czytania, że nabywa chętnie tańsze książki i zapisuje sobie gazety, nie rozchodzi się jeszcze po wsiach taka liczba książek i gazet, jak w innych krajach i jak spodziewać-by się można, zważywszy wzrastający dobrobyt. Daleko nam jeszcze do tego, co być powinno. Tysiące ludzi nie pojmuje istnienia bez pisma polskiego i książki, lecz te tysiące stanowią zaledwie mały procent zastępów, które mając wszelką możność, powinny garnąć się do oświaty. Zawsze jeszcze tysiące Polaków nie uczuwają potrzeby książki i tak stoją zdala od ruchu narodowego i społecznego, żyją w nieświadomości rzeczy użytecznych i ważnych, w sobkostwie, obskurantyzmie, w ciemnocie. Zbudzić tych ludzi z uśpienia, nauczyć ich czytać, oświecać i kształcić, uspołeczniać i unarodawiać, łączyć ich z narodem nicią duchową — jest pięknem zadaniem Towarzystwa Czytelni ludowych.

Zdając sobie sprawę z ogromnej wagi, jaką ma dla kulturalnego rozwoju naszego społeczeństwa to Towarzystwo, i z życzliwości dla zasłużonej instytucyi zastanówmy się nad przyczynami, które złożyły się na zanik ofiarności publicznej na rzecz Czytelni. Bo tą drogą tylko możemy dojść do naprawy złego; gdy poznamy przyczyny znajdą się i środki zaradcze.

Prawda, że Czytelnie poszły w zapomnienie i nie składkujemy na nie tak jak dawniej, lecz nie pochodzi to z winy ogółu, nie tłómaczy się obojętnością dla celów Towarzystwa, tylko *milcze-* [illegible] okazuje się potrzeba pomocy i co chwila wyciągamy rękę do ogółu, tak iż ofiarność publiczna rozstrzela się i zwraca dziś w tę, jutro w ową stronę. Wobec tego Towarzystwo Czytelni i zdawna istniejące instytucye muszą pójść w zapomnienie, jeśli nie przypominają się społeczeństwu w ten lub ów sposób. Artykuł w „Dzien. Pozn.“ jest właśnie takiem przypomnieniem o Czytelniach, lecz jakże rzadko spotykamy się w prasie z podobnym głosem! Towarzystwo Czytelni oblokło się w milczenie, skąpi nam sprawozdań i tak pozwoliło samo ogółowi zapomnieć o sobie. W tym wieku pary i reklamy, gdzie życie społeczne toczy się szybkiem kołem, kto nie chce pójść w kąt, musi mniej lub więcej pracować łokciami, wysuwać się naprzód, wołać „jestem!“

Tow. Czytelni snadnie może postarać się, by prasa nasza w podobnej formie jak „Dzien. Pozn.“ przypominała społeczeństwu o Czytelniach. Powtóre powinno ogłaszać często szczegółowe sprawozdania z swej czynności, informować ogół o działalności swych członków aktywnych w poszczególnych powiatach, o zapotrzebowaniach pojedyńczych czytelni, wreszcie podawać do wiadomości cyfry, które rzucałyby światło na to, ile i co lud czytuje najchętniej. Jest to obowiązkiem Czytelni, bo składkujący ogół ma prawo oczekiwać, by zdano dokładnie sprawę z tego, w jaki sposób zużywają się fundusze publiczne i ma prawo kontrolować działalność Towarzystwa, wypowiedzieć o niem swe zdanie. Zarazem częste informowanie społeczeństwa o stanie czytelni i ruchu, leży w interesie Towarzystwa, w ten bowiem sposób budzi się i utrzymuje zajęcie ludzi dla tej instytucyi

oraz dodaje się bodźca do pracy osobom, w których ręku są pojedyńcze biblioteczki. Trzeba wytworzyć pomiędzy bibliotekarzami pewną szlachetną rywalizacyą i przypominać nieustannie ogółowi o pracy nad oświatą ludu przez sprawozdania, wzmianki, odezwy.

Nadto jest rzeczą racyonalną, aby *nasz lud sam* począł popierać Towarzystwo Czytelni. Dojrzał on już tak dalece, że umie ocenić znaczenie Czytelni, a stan materyalny pozwala mu składać ofiary. Któż ma popierać Czytelnie, jeżeli nie ci, dla których dobra one istnieją? Nie ma też wątpliwości, że otworzyłyby się serca i kieszenie warstwy włościańskiej, jeżeli potrafilibyśmy obudzić ich interes, uderzyć we właściwą strunę. Zwykle lud składkuje wyłącznie na cele kościelne, lecz widzieliśmy, jak skwapliwie i hojnie składał ofiary na dotkniętych wyrokiem gnieźnieńskim Wrześniaków. Odezwijmy się tylko do ludu we właściwym tonie, powiedzmy mu, że Czytelnie te dla jego dobra powstały i że lud, wyrósłszy z powijaków, powinien dać dowód swego uspołecznienia i poczucia obywatelskiego, przykładając rękę do rozwoju Towarzystwa Czytelni Ludowych.

W wielu miejscowościach już dziś biblioteczki znajdują się w ręku gospodarzy światlejszych. W tym kierunku należałoby naszem zdaniem iść dalej, wystósować odezwę nie do warstw wyższych, lecz przeważnie do najwięcej interesowanych kół, odezwę, która opublikowana w prasie ludowej i rozdana przez bibliotekarzy w parafiach, nie byłaby głosem wołającego na puszczy.

Lector.

Koło polskie — a cła zbożowe.

Nowa taryfa celna już uchwalona; klamka zapadła! Wraz z nową taryfą wejdą w życie wyższe niż dotychczas cła na zboże zagraniczne. Nie powiodło się wprawdzie agraryuszom niemieckim podnieść ceł tych do takiej wysokości, iżby ani ziarnko z zagranicy nie zdołało się przedostać przez granicę niemiecką, ale mimo to, naszem zdaniem, interesy rolnictwa w obrębie granic niemieckich są obecnie aż nadto dobrze zabezpieczone. Nie ulega też wątpliwości, że rząd niemiecki dość będzie miał trudu z tem, ażeby na podstawie *tej* taryfy zawrzeć nowe traktaty z państwami, eksportującemi głównie zboże, a sprowadzającemi z Niemiec wyroby przemysłowe. **Ale to już nie nasza troska.**

Czy wyższe cła zbożowe wpłyną rzeczywiście także na *podrożenie chleba, oraz innych artykułów spożywczych* to i dziś jeszcze jest kwestya otwarta. Zależy to od *tylu* innych okoliczności, że tak na krótkiem toporzysku samemi *przypuszczaniami* rozstrzygnąć się nie da.

Koło polskie w parlamencie niemieckim głosowało za nową taryfą w trzeciem czytaniu, a tem samem za wyższemi cłami zbożowemi. Do ostatniej chwili jeszcze wotum Koła w tej sprawie było nie pewne. Na posiedzeniu Koła odbytem w środę dnia 10 bm. głosowało z obecnych 12 członków za cłami:

1) Książę Ferdynand Radziwiłł, 2) ks Zdzisław Czartoryski, 3) hr. Hektor Kwilecki, 4) dr Roman Komierowski, 5) Stefan Cegielski i 6) dr. Zygmunt Dziembowski;

Przeciwko cłom posłowie:

1) Bernard Chrzanowski, 2) Józef Głębocki, 3) Leon Czarliński, 4) Roman Janta-Połczyński, 5) Władysław Wolszlegier, 6) dr. Krzymiński, który przedtem był za cłami, a potem przekonanie swe zmienił.

A więc 6 przeciwko 6 — czyli że zdania były *porówno* zupełnie *podzielone.* Brakło posłów ks. *Neubauera* z Prus Zachodnich i ks. *Jażdżewskiego.* I następne posiedzenie nie wydało innego rezultatu. Na początku tego posiedzenia, jak donosi „Dzien. Berl“. zdawało się, że Koło 7 głosami przeciw 5 oświadczy się przeciw taryfie i to na podstawie ostrej rezolucyi, którą przedłożył poseł ks. dr. Jażdżewski, **a który ją po doznanej krytyce cofnął, mimo że się na nią zrazu zgadzał nawet poseł dr. Komierowski. Mimo to nie przyszło do uchwały ani za ani przeciw taryfie. Ostatecznie, jak znów dowiaduje się „Dziennik Pozn.“ tak się rzecz ułożyła, że wniosek głosowania przeciwko cłom nie uzyskał większości, zatem przepadł, a ponieważ nie chciano się także zgodzić na wstrzymanie się od głosowania, *musiała komisya parlamentarna postawić i przeprowadzić pozytywny wniosek głosowania za cłami,* a motywa do tej uchwały w izbie wypowiedział ks. Radziwiłł.**

Mowa ks. Radziwiłła brzmi tak, jak gdyby większość Koła zdecydowała się rzeczywiście głosować za taryfą. *Tak jednakże rzecz się nie miała.* O ważnej tej sprawie zadecydowała wyłącznie *komisya parlamentarna* Koła polskiego, która — przypadkowo składała się z dwóch *(2)* zwolenników wyższych ceł, a jednego przeciwnika. O uchwale tej komisyi pisze korespondent „Kuryera Pozn.“:

„Komisya parlamentarna Koła* (w skład jej wchodzą obecnie *ks. Radziwiłł, ks. dr. Jażdżewski* i p. *Czarliński) uchwaliła podczas posiedzenia parlamentu 2 głosami przeciw 1 głosowanie za taryfą,* razem z większością parlamentu. Wobec tego oświadczył w komisyi p. *Czarliński* za siebie i za tych, co się do niego zechcą przyłączyć, *że usuną się od głosowania w parlamencie przy ostatecznem głosowaniu.

„Niezależnie od tego oświadczenia wystósował p. *Głębocki protest przeciw tej uchwale, jako nielegalnej,* bo stojącej w przeciwieństwie do ustawy Koła, — oświadczając, że z powodu tej nielegalności usunie się od głosowania nad całością projektu celnego, nie mogąc głosować w myśl uchwały, którą uważać musi za nieobowiązującą Koło.“

W prawdzie statut Koła zezwala na taką decyzyą *samodzielną* komisyi, jeżeli osiągnięcie uchwały całego Koła jest już *niemożliwe* w danym razie. Ale takiej niemożliwości tu nie było, gdyż jak słusznie czyni uwagę korespondent „Kur Pozn.“ o tej właśnie sprawie można było *w czas* jeszcze osięgnąć *decyzyą całego Koła.*

Stało się więc coś, nad czem *szczerze ubolewać musimy. Połowa* Koła, żądająca wyższych ceł, postawiła na swojem jedynie w podobny sposób, jak to uczyniła *większość* parlamentu, a więc sposobem *bardzo wątpliwym pod względem legalnym, bo pogwałceniem opozycyi.*

Sprawa to ważna! Praktycznego znaczenia odnośnie do nowej taryfy celnej nie miało ani głosowanie Koła za albo przeciw nowej taryfie, gdyż głosy *posłów polskich nie rozstrzygały.* Ale miało ono i musi mieć znaczenie dla naszych *stosunków wewnętrznych.* Opozycya połowy Koła przeciwko wyższym cłom zbożowym nie wynikała z jakiejś tam niechęci ich dla rolnictwa, lecz wyłącznie ze względów na te *szerokie masy społeczeństwa polskiego, które w podwyższeniu ceł widzą pokrzywdzenie ważnych swych interesów.* Chodzi jednem słowem o to, co ważniejsze, *czy interes tych Kół, przeważnie robotniczych, czy interes rolnictwa?*

Fakt, że już w *dzisiejszem* Kole znalazła się *aż połowa członków stawiająca na pierwszem miejscu interes szerokich kół robotniczych,* świadczy o tem, że ewolucya wewnętrznego ustroju naszego *wstąpiła na dobrą drogę i że bez nienawiści i kłótni wzajemnej, możemy dojść do porozumienia na podstawie, jedynie zbawiennej* **dla całego społeczeństwa naszego**

Lecz o tem — w najbliższym numerze. Na razie ostrzegamy tylko przed namiętnem wyzyskiwaniem tej smutnej *nielegalności,* jaka się stała. Spokojnie sądząc — najlepiej przysłużymy się sprawie.

Narodowiec.

Nienasyceni!

Przez lato i jesień, pominąwszy „dni cesarskie‟ w Poznaniu, mieliśmy względny spokój. Tu i owdzie wprawdzie niekiedy rozwiązano bezprawnie — dla języka polskiego — polskie zebranie, tam znów ścigano polskie elementarze, trapiono ojców rodzin niemiecką pisownią imion i nazwisk na urzędach stanu cywilnego, tego i owego redaktora skazano na dłuższą karę więzienną, jednego nawet w kajdanach wraz z zwykłym zbrodniarzem prowadzono do więzienia przez ulice, gdzieniegdzie dobierano się do towarzystw polskich, wszędzie bojkotowano polski handel i przemysł, w końcu zniemczono nam *naszą* Bibliotekę Raczyńskich — lecz wszystkie takie ataki, podjazdy i zabory, któreby każdy inny lud Europy doprowadziły niechybnie do rozpaczy i energi — my ku zdumieniu tej Europy zaliczamy jeszcze do *mniejszych...* „dobrodziejstw‟ niemczyzny i hakaty i mówimy — że.... mieliśmy względny spokój.....

Inne przecież jeszcze spadają na nas ciosy. Do najcięższych zapewne należą te, które... z własnych podatków opłacać musimy, jak np. komisya kolonizacyjna, szkoły germanizatorskie i tem podobne. O ciosach zaś *nowych,* przez kilka miesięcy głucho było. Ten i ów z pośród nas, może się już pocieszał, że się już wyczerpały, że do nowych zabraknie pomysłów. Takich spotkał teraz gorzki zawód. Okazuje się, że „dobroć‟ Niemców dla nas jest wprost niewyczerpana a pomysłowość zaprawdę podziwu godna. Czego rząd nie wymyśli, to podsunie mu hakata lub wielka owa rzesza różnego rodzaju karyerowiczów. która tak dobrze wychodzi na rzekomym... „ucisku ze strony Polaków.‟

Rzesza ta czekała tylko do stósownej pory. Teraz też im bardziej zbliża się termin nowej sesyi sejmu pruskiego występuje z coraz nowemi pretensyami.

Jedna z nich żąda, ażeby rząd i sejm wyznaczyli według jednych 12, według drugich aż 24 miliony marek na „polepszenie bytu‟ urzędników i nauczycieli w polskich dzielnicach, mianowicie na zapomogi dla nich na budowę własnych domów, zyskała już podobno aprobatę rządu i przedłożona zostanie sejmowi zaraz po zagajeniu sesyi. Zdawać by się mogło, że to tym panom wystarczać powinno. Ale gdzież tam! Są oni naprawdę nienasyceni — zaś apetyt ich równa się tylko... ich „zasługom‟ około „bezpieczeństwa Rzeszy niemieckiej‟ na „wschodnich kresach.‟

I tak występują z coraz nowemi „życzeniami.‟ Swieżo znów odsłonili nam marzenia serc swoich i... *kieszeni* w znanem piśmie niemieckiem: *„Die Grenzboten.‟* Twierdzą tam, że służba urzędnicza względnie nauczycielska w polskich stronach, to niby służba *wojenna,* która podwójnie co do lat liczyć się powinna. W „skromności‟ swej, w „zapale patryotycznym,‟ gotowi są wprawdzie służyć kilka lat po zwykłej cenie, ale tylko najwyżej lat siedm lub dziesięć, który bowiem urzędnik wytrwa na kresach polskich lat dziesięć, temu ostatnie trzy lata liczyć się winny podwójnie; który zaś „wytrzyma‟ tam naturalnie przy dobrej pensyjce, aż lat 15, temu należy ostatnie pięć lat liczyć podwójnie. Tych, którzy nie znają warunków płacy urzędników, musimy objaśnić, jakie to praktyczne znaczenie ma dla nich taki sposób liczenia lat służby. Prosimy więc posłuchać: Pensye urzędnicze wzrastają o pewną kwotę co lat 3 lub 5. Gdy więc któremu urzędnikowi kilka lat liczyć się będzie podwójnie, dojdzie do wyższej pensyi o 3 lub 5 lat rychlej, niż wszyscy jego koledzy w głębi Niemiec, nadto zaś o 3 lub 5 lat wcześniej może oddać się spoczynkowi z *najwyższą* emeryturą. Wszakże to wcale niezła zapłata za.... „ ucisk polski?‟

Jeżli dodamy do tego jeszcze owe zapomogi na budowę domów, które dla panów urzędników zredukują opłatę komornego do minimum, to przyznać musimy, że żywot ich wśród „niegodziwych‟ Polaków może się ułożyć bardzo rozkosznie... Że przytem znaczną część funduszów na te wyższe pensye oraz na zapomogi składać będą musieli *Polacy,* że równocześnie dużo domów polskich pustką stanie, a właściciele ich ciężkie poniosą straty, to panów tych nic zgoła nie obchodzi. Chrześciańskie bowiem przykazanie: „nie czyń drugiemu, co tobie nie miło‟ — hakata dawno już wymazała z serc i pamięci Niemców.

Ale nie koniec na tem. Wszystko to —za mało jeszcze dla tych panów. Żądają oto, ażeby rząd poznosił *gimnazya* w mniejszych miastach, te bowiem służą „przeważnie‟ Polakom, którzy przecież powinni pozostać ciemnymi, aby tem łatwiej stali się pognojem dla Niemczyzny. Jakto? odpowie na to niejeden z Czytelników naszych — przez to przecież panowie ci sami sobie zaszkodzą, gdzież bowiem będą kształcili swych synów? Czyż rzeczywiście chcą ponieść „ofiarę‟ dla niemczyzny i by tylko nie dopuścić Polaków do źródeł nauki — posyłać dzieci — z większym dla siebie kosztem do szkół w większych miastach? Kto tak sądzi, nie zna widocznie „streberów‟ niemieckich. Oni nie tylko dla swej ojczyzny, ale nawet — dla *nienawiści* swej względem Polaków niczego darmo uczynić nie zdolni. Zaraz też i za to „poświęcenie‟ żądają zapłaty i to w formie takiej: Zamiast utrzymywać owe mniejsze gimnazya *ma rząd w większych miastach zakładać — konwikty dla synów urzędniczych i w nich — zapewne za darmo — żywić i kształcić tę wybraną młodzież niemiecką!* Piękny pomysł — nieprawda?

Pod tym jednakże względem panowie streberzy w chciwości swej trochę *przeholowali.* Nawet bowiem wrogie nam pisma protestują przeciwko tej pretensyi. Żydowski „Berl. Tageblatt‟ np. zatrwożył się zaraz o Niemców izraelskich alias żydów w mniejszych miastach i pisze: „Autorowie żądań wyłuszczonych w „Grenzboten,‟ zapominają o tem, iż w mniejszych miastach mieszkają przecież obok urzędników także *prywatni* Niemcy lekarze, adwokaci, kupcy, przemysłowcy i t. d. Czyż ci dla dogodzenia urzędnikom mają posyłać swych synów do innych miast do szkół i ponosić przez to znacznie większe koszta?‟ W tej formie więc, jak się zdaje, pretensya streberów spełniona nie zostanie. Czy atoli rząd nie postąpi tak, że i synów prywatnych Niemców włączy do tego dobrodziejstwa bezpłatnego kształcenia, tego chyba nikt z nas po tylu bolesnych krzywdach i dowiadczeniach dotychczasowych za *niemożliwe* i z góry wykluczone uważać nie zechce.

Wszystko bowiem jest dziś w Prusach możliwe, co służyć może do większego jeszcze przygnębienia Polaków. Przecież i ministrowie narzekają, że Polacy się kształcą, podnoszą moralnie i przemysłowo — a co za tem idzie także materyalnie. Charakterystycznem przytem jest, że nawet taki „Berl. Tageblatt,‟ który pragnie uchodzić za *liberalne* pismo, nie widzi w tym pomyśle, wręcz wołającej o pomstę *niesprawiedliwości i krzywdy dla Polaków.* Uspokaja on żydowskie swe

„sumienie“ przypuszczeniem, że Polacy przy znanej swej solidarności i ofiarności w lot by zebrali fundusze na kształcenie młodzieży z mniejszych miast, pozbawionych gimnazyów, w większych miastach, że przeto cel szkodzenia im tym środkiem nie dałby się osięgnąć. Zatem nawet zdaniem tego organu, byłoby zupełnie w porządku gdyby Polacy płacili dalej podatki na gimnazya i konwikty *niemieckie*, a obok tego ponosili nadzwyczajne ofiary dla swej młodzieży! Byle tylko *żydzi* wolni byli od takich ofiar — Polacy mogą zmarnieć.

Zaprawdę, nic tak nie wykazuje zaniku moralności i prostej przyzwoitości u Niemców pod wpływem hecy antipolskiej, jak ten szatański pomysł i te uwagi pism niemieckich.

Lecz i tu jeszcze nie koniec pretensyi niemieckich. Panowie ministrowie uchwalili podobno, że także projektowany *pałac cesarski* w Poznaniu ma stanąć *kosztem państwa*, a więc także — *z naszych* podatków. Dalej ma powstać *nowa biblioteka niemiecka w Bydgoszczy*, na wzór otwartej co dopiero biblioteki *Wilhelma* w Poznaniu, oraz cały szereg *bibliotek ruchomych dla miast mniejszych*. Rząd bowiem, jak pisze „Nationalzeit.“ nabrał przekonania, że przeciwko Polakom walczyć musi bardziej niż dotychczas „bronią *ducha* niemieckiego....“

Piękny to *duch*, który takie wymyśla środki, tak pojmuje obowiązek rządu względem obywateli, ponoszących porówno z Niemcami wszelkie ciężary państwowe. Czyż hakatyści, którzy wszystko to wymyślili sądzą, że *tym* duchem pokonać nas zdołają! Jakże się mylą, jeźli tak sądzą! Taki duch może nas napawać tylko wstrętem i odrazą. Z naszym duchem on się nigdy nie skojarzy, bo nasz duch opiera się na sprawiedliwości i przykazaniach Bozkich, na ideałach, brzydzących się krzywdami i gwałtami.

To jedno pocieszać nas może, że na wszystko jest miara na świecie, nawet na zachłanność ludzką. Więc w końcu i te pretensye streberów niemieckich spotkają się z głośnem „veto“ reszty narodu niemieckiego. Nie czasem dlatego, iżby zrozumiał i odczuwał ogrom *nam* wyrządzanej niesprawiedliwości; w to już zupełnie straciliśmy wiarę; ale z tej przyczyny, że takie forytowanie pewnych sfer wyda się w końcu ogółowi niemieckiemu jednak zbyt *drogiem*, zwłaszcza, gdy nic się przez to nie osięgnie, bo nas i tem się *nie zniemczy!*

Czujny.

Hakatyści przy robocie.

Na całej linii rozpoczęła się znów antipolska robota bractwa trzech liter. Czuje ono widocznie, że teraz, gdy skończy się zacięta walka o nową taryfę celną i gdy uspokoją się zwaśnione i wzburzone nią umysły — nadejdzie najlepsza pora do przeforsowania nowych jakich zarządzeń antipolskich, że zarówno u rządu jak i u większości stronnictw niemieckich znajdą znów chętny posłuch dla pomysłów swoich. Radzą więc, krzątają się jawnie i skrycie, aby tylko uzyskać jaknajwięcej, możliwie najcięższe zadać nam ciosy.

W połowie grudnia odbył się zjazd centralnego zarządu hakaty, pod przewodnictwem Kennemanna z Klęki. Na zjeździe tym pochlubiono się przedewszystkiem, że ostatnie dwa lata przyniosły bractwu temu znaczny przyrost członków — bo około 6000. Większa część liczby tej przypada na rok bieżący, co zapewne sprawiła mowa cesarza Wilhelma, wypowiedziana w *Malborgu*.

Potem obradowano nad rozmaitemi kwestyami, mianowicie nad kwestyą *szkolną*, urzędniczo nauczycielską i nad sprawą niemieckich spółek zarobkowych. Nowych rzeczy i szczegółów nie znajdujemy w sprawozdaniach z tego zjazdu. Wszystko, o czem tam mówiono, przeżuwała już od dość dawna prasa hakatystyczna. Nowością jest tylko, że odnośne żądania sformułowano ściślej i postanowiono je w formie uchwał przedłożyć rządowi do uwzględnienia.

Przypatrzmy im się bliżej. Przedewszystkiem chodzi dziś hakacie o to, ażeby usunąć ze szkół ludowych resztę — *języka polskiego, nawet z nauki religii na najniższych stopniach.* Dziecko polskie niema już w szkole usłyszeć ani słówka polskiego. A ponieważ mimo to hakata nie ufa jeszcze, że osięgnie cel pożądany, pragnie dziatwę polską *dłużej więzić w szkole.* Żąda więc z jednej strony zakładania po wsiach szkółek freblowskich, czyli tak zwanych „ogródków“ dla dzieci, nie uczęszczających jeszcze do szkoły, a z drugiej przymusowych *szkół uzupełniających* — naturalnie także czysto niemieckich. Innemi słowy, dąży do tego, ażeby młodzież polska od *3 lub 4 roku aż do 18-go pozostawała* pod wpływem pedagogów pruskich i tresury szkolnej. Przymus taki, nie zgadza się z konstytucyą, cóż atoli robią sobie działacze hakatystyczni z konstytucyi, gdy chodzi o gnębienie Polaków!

Na nauczycieli — w polskich dzielnicach — uchwalono dalej, ażeby wowoływać tylko *„Niemców dobrze myślących“*, a więc hakatystów. Aby zaś mogli oddawać się trudnemu procederowi swemu z należytem „poświęceniem“ i „zapałem“, trzeba ich uposażyć lepiej, niż nauczycieli w innych dzielnicach. To główny cel całej tej akcyi talarowych pruskich patryotów. Najgorsze to, że pragną oni widocznie zwalić cały ciężar utrzymania szkół i tak hojnie wynagrodzonych nauczycieli na *gminy*, naturalnie polskie, domagają się bowiem nowej ustawy o utrzymywaniu szkół ludowych. Nietylko więc biedny lud polski ma przez kilka lat dłużej oddawać dziatwę swą na mękę i utrapienie, ale nadto, ma *jeszcze więcej na to płacić*, niż dotychczas, spamiętaj to sobie, ludu polski!

Nadmienić jeszcze wypada, że żądano także, ażeby zanim nie powstaną owe szkoły uzupełniające po wsiach, zatrzymywano te dzieci polskie, które do 14 roku życia nie nauczą się płynnie mówić po niemiecku, *stale do* 15 a nawet do 16go roku życia!!

Dalsze żądania dotyczyły zakładów dla preperandów, seminaryów nauczycielskich i były tylko uzupełnieniem pierwszych, powyższych — oraz popierania przez rząd spółek niemieckich.

Czy i o ile rząd spełni te żądania to już bliska pokaże przyszłość. Nam się zdaje, że *spełni wszystkie*, mianowicie zaś, że z dniem 1 kwietnia ustanie w *wszystkich* szkołach polska nauka religii. Do przypuszczenia tego uprawnia nas mianowicie *nowa broszura* prof. *Zorna*, jaka się niedawno ukazała. Prof. *Zorn* „wsławił“ się już raz tem, że starał się wykazać, iż rząd ma prawo domagać się, ażeby na zebraniach publicznych rozprawiano tylko po niemiecku. Teraz zaś wybrał sobie jako pole popisów swej krytycko-prawnej erudycyi sprawę nauki *religii.* Za daleko by nas to zaprowadziło, gdybyśmy tu przytoczyć mieli wszelkie jego karkołomne wywody prawne, polityczne i historyczne, zawarte w broszurze. Wystarczy dla ocenienia *mądrości* i *ducha jego*, gdy nadmienimy, że nie uznaje on ani traktatów wiedeńskich, ani przyrzeczeń królów pruskich, że odmawia nam wszelkiego prawa do posługiwania się językiem polskim w sprawach publicznych, że język ten pragnie zamknąć wyłącznie w *domach naszych*, że *stanowczo zwraca się przeciwko polskiemu wykładowi w nauce religii.* Bożkiem jego jest *interes państwa*, *interes niemczyzny.* Jemu się kłania i na jego ołtarz składa wszelkie — największe nawet prawa ludności polskiej. Twierdzi nawet, że państwu,

chociażby chciało, *niewolno* nawet zaprowadzić języka polskiego w szkołach, bo sprzeciwia się to „interesom państwa.“

Z faktu, że broszura ta pojawia się niemal równocześnie z powzięciem owych uchwał na zjeździe wydziału hakaty możnaby wnosić, że była ona z góry *zamówioną*.

A zatem, biedny ludu polski, bądź przygotowany na nowe ciosy. Uzbrój się w cierpliwość — ale nie trwóż się o przyszłość, boć nad nami czuwa ktoś wyższy i potężniejszy od owego bożka prof. Zorna, czuwa *Pan Bóg!* Nie pozwoli On, ażeby sprzeczne z wszelkiemi prawami bozkiemi i przyrodzonemi zakusy takich Zornów tryumfowały na ziemi. Rzeczą twoją, ludu polski, będzie, ułamać ich ostrze przez czuwanie nad dziatwą *w domu*, uczenie prawideł wiary *po polsku* i prawideł mowy ojczystej *na elementarzu.* Gdy ten obowiązek spełni każdy z ojców, każda z matek polskich, wszelkie zamiary wrogów naszych w puch się rozbiją. Dyabeł jeszcze nie panuje nad światem, więc też i teorye takich „prawoznawców“ pruskich jak pan Zorn — w niwecz się obrócić muszą.

Ordon.

„Dobrodziejstwa pruskie.“

Szczególnem dobrodziejstwem dla Polaków ma być szkoła pruska — zapewniają do znudzenia hakatyści. Ileż to zdziałała ona dla ludu polskiego przez lat sto?

Czyż przed wcieleniem dzielnic tych do Prus oświata ludu stała na tak wysokim szczeblu? — pytają, zapominając, że przed stu laty i u Niemców oświata nie była tak daleko posuniętą. Dość, że hakata każe nam wielbić ową szkołę pruską, dziękować za nią opiekuńczemu rządowi i kochać go za to „dobrodziejstwo.“

Tymczasem codziennie niemal mamy jaskrawe dowody, że owa szkoła pruska jest macochą dla dzieci polskich, która gnębi ich umysły, zamula je, zamiast rozwijać i rozjaśniać. W nauce religii ujawnia się to szczególnie. Dzieci niby papugi powtarzają bezmyślnie pacierz, a szkoła mimo to ma czoło chwalić się swoją robotą. Ciekawą ilustracyą stosunków szkolnych dał *„Wielkopolanin,“* który pod nagłówkiem: „Owoc nauki dzisiejszej szkoły“ pisze:

„Poniżej podajemy wierny odpis pacierza, spisanego według dyktatu nauczyciela. Nadmieniamy, że dyktando pisała dziewczynka 11-letnia, inteligentna, córka rodziców dobrze się mających, rodziny należącej do stanu średniego, niewątpliwie bardzo inteligentnej. Aby nikt nas nie posądził, że dyktando skonceptowaliśmy sami, podajemy, że dyktando pisała Helena Grus z Grudna pod Lwówkiem. Zadziwiający ten owoc nauki szkolnej brzmi:

Imnam des Vaters der Sones des heilen Geissten Amenn. Vater unser der du bist im Gimmel die Heile Pferde nein name sons kommen dein Reich din Wilhegeschen für Himmel aus um aus Pferde unser tetlichbrot gübs und heute und fergebt unserschuld als und für fergebe unser Schuld und für nich fersuchen und sondern erlesion aber über Amen. Gegrisen seisdu Maria du bist fol der gnade der Hern ist mit Dir du bis gemedeit und dem Veiben und gemedeit ist die Frugt deines leibes Jesus. Heil Maria Mutter Gottes mit der Gott für und sünder jetzt und sünte stunde unser Rest ab stelbes Amenn.

Tak brzmi ów niezwykły produkt dzisiejszej nauki szkolnej. Oryginał przesłaliśmy jednemu z naszych posłów do sejmu pruskiego, aby go przedłożył ministrowi Studtowi. Pan minister może zechce zatrzymać ów dokument, aby mu zawsze przypominał, jak piękne owoce wydaje nauka pacierza według jego metody.

Przypuszczać można, że, jeżeli dobrze umysłowo rozwinięta dziewczka, córka inteligentnych rodziców, zgoła nie rozumie tego, co jej dyktują i spisuje tylko jakieś reminiscencye słuchowe, z czego powstają dziwolągi języka, inne dzieci mniej rozwinięte, w mniej korzystnych warunkach chowane, jeszcze mniejsze będą miały pojęcie o tem, czego ich w szkole uczą.

My uważamy taką naukę pacierza za profanacyę — za najwyższe lekceważenie, za poniżanie świętości pacierza.

Jeżeli dzieci nawet inteligentne zgoła nie rozumieją pacierza, jakież dopiero może być u nich zrozumienie nauki katechizmu?!“

O ciekawych sprawach szkolnych przed izbą karną w Gnieźnie pisze *„Lech:“* Tutejsza izba karna rozpatrywała dwie bardzo ciekawe sprawy o karę szkolną. Na mistrza stolarskiego p. Sierszulskiego z Miłosławia nałożył tamtejszy urząd szkolny 4 mrk. kary za to, że jego 14-letnia córka, skazana za rzekomy hałas po skończonej religii niemieckiej na godzinny areszt, takowego w szkole nie odsiedziała, tylko pozostała w tym czasie w domu. Pan Sierszulski odwołał się z powodu tego na rozstrzygnięcie sądowe do Wrześni, gdzie jednak kara ta zatwierdzoną została. I tutejsza izba karna zaniesioną do niej apelacyę jako nieuprawnioną odrzuciła. — Nowem dla nas w tej sprawie jest to, że kara ta nie została nałożoną za zmudzenie nauki szkolnej, tylko za to, że dziecko nie odsiedziało wyznaczonego mu przez nauczyciela po za obrębem planu szkolnego aresztu. Myśmy dotychczas tylko wiedzieli, że urzędy szkolne nakładają karę za zmudzenie nauki szkolnej, a nie za nieodsiedzenie aresztu. *Ciekawą tę sprawę polecamy rozwadze posłów naszych w Berlinie.*

W drugiej sprawie rozpatrywała też Izba sprawę pana Zmidowicza z Wrześni. Córka jego 14-letnia, znana z słynnego procesu wrzesińskiego, wyjechała bez wiedzy ojca do Zakopanego, gdzie się kształci w zakładzie hr. Zamojskiej. Ponieważ już jest w 15 roku, a nie otrzymała jeszcze świadectwa uprawniającego ją do opuszczenia szkoły, pomimo, że należała do najlepszych uczennic I klasy, przeto podał urząd szkolny dziecko na karę. Pan Z. kary nie zapłacił, tylko odwołał się do sądu w Wrześni, ten jednak karę zatwierdził. Także i apelacya zaniesiona do tutejszej izby karnej, *została odrzucona.*“

Istnem „dobrodziejstwem...“ pruskiem było żądanie z jakiem niedawno wystąpiła policya w *Szpandawie* pod Berlinem wobec tamtejszego polskiego Towarzystwa Przemysłowego, które chciało odegrać sztukę: „Gwiazda Syberyi.“ Policya zażądała przedłożenia sobie tej sztuki w tłomaczeniu niemieckiem, a ponieważ oczywiście Towarzystwo nie posiadało takiego tłomaczenia, więc *przedstawienie nie mogło się odbyć.*

Czy i to mamy poczytywać za dobrodziejstwo? — Nie, natomiast za — *bezprawie.* P. mec. A. Woliński z Poznania poucza towarzystwo w Szpandawie i inne, które w takiem samem mogą się znaleźć położeniu, w tych słowach:

„Żądanie to jest podług dotychczasowych wyroków sądu najwyższego administracyjnego bezprawne. Odpis jednego takiego wyroku załączam. Ponieważ tu chodzi o miasto po nad 10,000 mieszkańców, musi Towarzystwo w 14 dniach zrobić zażalenie do prezydenta rejencyi, potem do naczelnego prezesa — a wreszcie, gdyby to nie pomogło, skargę przeciw naczelnemu prezesowi wnieść u najwyższego sądu administracyjnego. Do wszystkiego zawsze jest przepisany czas 14 dni.“

Może mamy uważać za dobrodziejstwo to, że władze co chwila rozwięzują publiczne zebrania z tego powodu, że obrady toczą się w języku polskim? albo może rozporządzenia w *sprawie pisowni imion polskich?*

Sprawa ta, jak pisze *„Lech,“* ma się tak:

Najwyższa instancya dla podobnych spraw, to jest sąd nadziemiański w Poznaniu orzekł zasadniczo, że wolno używać na szyldach imion tylko w takiej pisowni, jaką wykazuje albo metryka kościelna, albo akt urodzenia urzędu stanu cywilnego (Geburtsurkunde des Standesamtes). I tak, jeżeli imię: Wojciech lub Franciszek w metryce kościelnej — która naturalnie tylko do roku 1874 jest miarodajną — jest zapisane jako „Adalbertus“ i „Franciskus“ to w takim razie tylko te ostatnie mogą być używane. Przepis ten sięga tak daleko, że jeżeli np. imię w księgach urzędu stanu cywilnego jest zapisane jako „Dionisi“ lub „Josef,“ nie wolno na szyldzie pisać „Dyonizy“ lub Józef. Ztąd wynika, że kto chce, aby imię jego dziecka miało czysto polską pisownię, musi przy meldowaniu aktu urodzenia w urzędzie stanu cywilnego uważać nie tylko na brzmienie, ale i na litery, jakiemi urzędnik imię jego dziecka wypisuje i takowe urzędnikowi temu dyktować, gdyby je fałszywie napisał.“

Dobrodziejstwa swe rozpościerają Niemcy nawet na *Galicyą,* agitując w duchu wszechniemieckim na pograniczu wschodniem Galicyi, w powiecie bialskim. A przytem występują wobec władz z butą i bezczelnością niesłychaną.

Dzięki agitacyi gmina Hałcnów przezwała się bezprawnie na Alzen, a jak donosi „Czas,“ obecnie Niemcy posunęli się już o krok dalej w agitacyi hakatystycznej. Gmina ta na podstawie uchwały swej rady, odniosła się z prośbą do wydziału obwodowego o redagowanie wszystkich rozporządzeń, dla niej przeznaczonych, *wyłącznie w języku niemieckim.* Zagrożono, że pism, w polskim języku sporządzonych, gmina *przyjmować nie będzie, ale zwracać je będzie wydziałowi powiatowemu.*

Wydział powiatowy w Białej odrzucił natychmiast to żądanie, ostrzegając zarazem gminę Hałcnów, aby bezprawnemi uchwałami i żądaniami nie prowokowała nieprzyjemnych dla siebie następstw. Należy niestety stwierdzić, iż hakatystyczna robota w Hałcnowie ma źródło swe w podburzaniu ze strony niemieckich agitatorów pozakrajowych, którzy ustawicznie namawiają gminę *do coraz silniejszego oporu,* twierdząc, że wydział powiatowy w Białej zarządzenia swe co do języka urzędowego wydał wbrew woli wydziału krajowego i rządu. Wydział powiatowy bialski zwrócił obecnie na tę agitacyę uwagę wydziału krajowego, prosząc o interwencyę, w celu obrony powagi władzy autonomicznej i szanowania przepisów o języku urzędowym w Galicyi.

Ospałość władz galicyjskich jest w takich wypadkach wielką, lecz mamy nadzieję, że pod naciskiem opinii publicznej wydział krajowy ruszy się i zaopiekuje ludnością polską w Hałcnowie i wyśle tam gdzie pieprz rośnie tych agitatorów, którzy dążą tam do wynarodowienia rdzennie polskiej ludności, gwałtem narzucając Galicyi swe . . . „dobrodziejstwa.“

B. M.

Z TYGODNIA.

Walka o nową *niemiecką taryfę celną* już ukończona. Po przyjęciu wniosku *Groebera,* ograniczającego dyskusyą o regulaminie i porządku obrad, większość miała łatwą sprawę. Mniejszość, pogwałcona w swych prawach, przyciśnięta do muru, wyczerpana słaby już tylko stawiała opór, tak że w czwartek już przyjęto — wprawdzie niewielką tylko większością głosów wniosek Kardorffa, a wraz z nim całą taryfę w drugiem czytaniu. *Polacy* głosowali *przeciwko* wnioskowi. Bezpośrednio przed głosowaniem zabrał raz jeszcze głos poseł socyalistyczny *Bebel* i „wypalił“ większości bardzo surowe kazanie. Przedstawiwszy w jaskrawych barwach cały ogrom gwałtu, jakiego się dopuściła, zawołał w końcu: „Zwyciężyliście dziś — dzięki liczebnej waszej przewadze, ale czekajcie tylko przyszłych wyborów! Będą one dla was sądem i pogromem, jakiego świat jeszcze nie widział!“ Stronnictwa tworzące większość nie ulękły się jednakże tej groźby i przepowiedni — lecz powiedziały sobie: kiedy już, to już trzeba rychło skończyć z tą sprawą — i zaraz naznaczyły trzecie czytanie taryfy na *sobotę.*

Posiedzenie, jakie się w dniu tym odbyło, będzie pamiętnem dla Niemiec pod niejednym względem, dla tego omówić je musimy nieco obszerniej. Jako pierwszy zabrał na nie głos hr. *Bülow.* Zaznaczył on na wstępie, że rząd Rzeszy zgadza się na brzmienie, jakie taryfie nadano w drugiem czytaniu — z wyjątkiem kilku ustępów, które teraz właśnie będzie można zmienić; zgadza się dalej na to, ażeby cło na jęczmień browarny podwyższono na 4 marki. Ostatnie to jego oświadczenie lewica powitała głośnym śmiechem, niedawno przecież jeszcze ten sam hr. Bülow zaklinał się, że rząd na żadne podwyższenie ceł zbożowych ponad stopę oznaczoną w projekcie swoim nie przystanie. Nie zrażony tem kanclerz oświadczył w końcu, iż ma nadzieję, że teraz przy trzeciem czytaniu przyjdzie do zupełnej zgody między rządem i większością, i że stworzone zostanie „wielkie dzieło narodowe ku błogosławieństwu niemieckiej ojczyzny“. Ostatni ten frazes powitała opozycya znów głośnym wybuchem śmiechu. Następnie przemawiali reprezentanci poszczególnych stronnictw. Posłowie *Richter* i *Barth* wykazywali kanclerzowi, że nowa taryfa będzie nie błogosławieństwem dla Niemiec lecz *nieszczęściem;* ostatni apelował nawet do cesarza, aby jej nie zatwierdził. Skrajny agraryusz *Wangenheim* sprzeciwiał się dalszym poprawkom na rzecz propozycyi rządowych, skoro atoli za kompromisem z rządem oświadczyło się centrum, stronnictwa konserwatywne i narodowoliberalne, los taryfy był rozstrzygnięty. Zaraz też zamknięto dyskusyą ogólną i przystąpiono do szczegółowej. Tu atoli czekała większość nowa nieprzyjemna niespodzianka. Do paragrafu I-go taryfy socyalni demokraci wnieśli o kilka poprawek, a wniosek ich uzasadniał poseł *Antrick.* Większość zdecydowana z góry odrzucić wszelkie poprawki — z niecierpliwością oczekiwała końca jego mowy. Tymczasem godzina za godziną mijała — a *Antrick* mówił wciąż jeszcze. Minęło 8 godzin, nadeszła 12-ta w nocy, w kilku lampach pogasło światło, lecz Antrick mówił dalej.

Poseł Antrick mówił do godziny pół do pierwszej, lecz olbrzymią tą mową nic więcej nie uzyskał, jak tylko to, że popsuł większości zamiar rozjechania się na wakacye świąteczne jeszcze w sobotę wieczorem. Nadzieja, że znuży ją i przeciągnie obrady do przyszłego tygodnia, zawiodła. Większość wytrwała, a gdy mówca socyalistyczny nareszcie skończył — zaraz uchwaliła zamknięcie dyskusyi. Na nic również nie zdały się następne wnioski socyalnej demokracyi, dotyczące porządku obrad i głosowania. Posiedzenie trwało do godziny *5-tej rano* w niedzielę, a więc blizko *19 go-*

dziś — lecz ostatecznie skończyło się zupełnem zwycięztwem większości. *Nowa taryfa przyjętą została 202 głosami przeciwko 100.* Głosowali za nią także posłowie *polscy*, jakkolwiek głosy ich bynajmniej nie zaważyły na szali. Hr. *Bülowowi*, który również pozostał w parlamencie do ostatka, winszowano zwycięztwa. I na pozór postawił na swojem — ale zwycięztwa tego wartość pokaże się dopiero w praktyce — pokaże mianowicie przy *przyszłorocznych wyborach* do parlamentu. Bądź jak bądź, chwilowo ciężki kłopot spadł z głowy rządu niemieckiego.

Po za tą sprawą najważniejszem zajściem w polityce jest zatarg *Niemiec* i *Anglii* z *Wenezuelą*. Zatarg ten przybrał niespodziewanie groźne rozmiary i to znów wyłącznie z winy Niemców, którzy gdzie tylko biorą udział w jakiej akcyi politycznej, wnoszą do niej zawsze rozgoryczenie i nowe niesnaski oraz niekulturalny wręcz pierwiastek zbytecznej... surowości. Przyczyna zatargu taka: *Wenezuelę*, republikę południowo amerykańską trapią bezustanne rewolucye. Zaledwie jeden prezydent zagarnie władzę, powstaje nowy kandydat do tej godności i stara się siłą broni zepchnąć rywala z krzesła. Każdy zaś korzysta zwykle z krótkiej swej władzy, ażeby obłowić się kosztem państwa. Obecnie stoi tam na czele rządu prezydent *Castro*, awanturnik czystej wody. I przeciwko niemu zrywały się bunty, ale umiał je pokonać. Podczas tych rewolucyi poszkodowano podobno dużo poddanych *francuzkich, niemieckich* i *angielskich*, zarówno prywatnych jak i banki, które tam pobudowały koleje, rzeźnie oraz inne przedsiębiorstwa.

Gdy więc nareszcie Castro pokonał rewolucyą ostatnią, państwa te, mianowicie zaś *Niemcy* zażądały wynagrodzenia dla swoich poddanych. Rząd niemiecki, który oblicza swe pretensye na 13 milionów franków, postąpił przytem bardzo dowcipnie. Wiedząc, że Niemcy nie cieszą się zbytnią sympatyą w *Stanach Zjednoczonych* Ameryki północnej, że opinia tamtejsza i tak już posądza ich o dążności *zaborcze* w Południowej Ameryce, że przeto samodzielne ich wystąpienie przeciwko Wenezueli mogłoby wywołać opór potężnej tej republiki północno amerykańskiej, postanowił nie iść samopas, lecz „w towarzystwie."

W tym celu zaproponował zarówno *Francyi* jak i *Anglii* współdziałanie w tej sprawie. Francya odmówiła — lecz *Anglia* zgodziła się na wspólne kroki. W Londynie uważano widocznie żądania Niemiec za słuszne. Castro udał się wówczas rzeczywiście po pomoc do Stanów Zjednoczonych, lecz otrzymał rekuzę. Rząd państwa tego odpowiedział mu, że wkroczyłby tylko wtedy, gdyby Niemcy lub Anglia zamierzały zagarnąć kawał kraju wenezuelskiego. Dopóki atoli chodzi tylko o pieniądze — mieszać się do tej sprawy nie może. Castro skazany więc był na własne siły, a siły to bardzo słabe. Wenezuela liczy bowiem tylko 2 miliony mieszkańców i posiada wojska mało, nadto tylko bardzo liche. Mimo to Castro stawił się hardo — i odrzucił wszelkie żądania Anglii i Niemiec. Wówczas oba te państwa wysłały na wybrzeże wenezuelskie znaczne floty wojenne, które razem tyle liczą załogi, ile Castro ma żołnierzy regularnych.

Aż dotąd odbywało się wszystko prawidłowo, ściśle według praw międzynarodowych. Przypuszczano ogólnie, że Castro wobec przewagi angielsko-niemieckiej jednak zmięknie i podda się konieczności. W tem zaszedł wypadek, który od razu zmienił całą sytuacyą. Flota angielsko niemiecka zajęła w porcie *Laguaira* całą flotę wenezuelską, złożoną z czterech małych i ladajakich parowców. I do tego miała prawo. Ale Niemcom widocznie łatwy ten tryumf nie wystarczał. *Bez uszelkiej bowiem przyczyny wprowadzili trzy zajęte okręty wenezuelskie na pełne morze (naturalnie bez załogi) i tam je zbombardowali i zatopili.*

To wywołało burzę. Na co i po co dopuszczono się tego gwałtu — zapytała cała Europa! Nawet gazety angielskie nazywały czyn ten wandalizmem i wyraziły radość, że angielska flota w nim udziału nie wzięła. A Wenezuela! Tam naturalnie ten krok Niemców wywołał niesłychane oburzenie. Wyzyskał je zręcznie Castro, apelując do uczuć patryotycznych ludności i wzywając ją do walki na śmierć lub życie z najeźdźcami. Równocześnie kazał uwięzić wszystkich pozostałych jeszcze w kraju Niemców i Anglików. Tych wprawdzie zdołał uwolnić i ocalić poseł północno amerykański, ale lud stolicy *Caracas* dał w inny sposób wyraz swemu oburzeniu. Napadł na gmachy *poselstwa i konsulatu niemieckiego, wybił w nich wszystkie okna, a przeciągając ulicami wołał: Śmierć Niemcom!*

Sytuacya zmieniła się więc zupełnie. Zatarg, który mógł był skończyć się pokojowo, grozi dziś krwi rozlewem. Przewiduje to już prasa angielska i żąda, ażeby Anglia wycofała się ze spółki z Niemcami. W Ameryce Północnej zaś zwracają uwagę na to, że jeżeli przyjdzie do wojny, to koszta wyprawy niemieckiej urosną tak, iż Wenezuela nie będzie w stanie pokryć ich od razu, że przeto zachodzi obawa, iż Niemcy jednak zdecydują *się zagarnąć kawał kraju*. Wówczas zaś Ameryka zmuszona będzie wmieszać się w tę sprawę na mocy zasady Monroego, która nie pozwala na zabór ziemi amerykańskiej przez państwa europejskie.

Położenie stało się groźne — znów wyłącznie z winy Niemców. Gdzie tylko zajdą, zaraz dobierają się do siódmej skóry tubylców, a potem się dziwią, że *„nikt ich nie lubi."* Obecnie ma się ta sprawa tak, iż flota angielsko-niemiecka zajęła urząd celny w Lagnaira i blokuje całe wybrzeże, a prezydent Castro sposobi się do zbrojnego oporu.

Sprawa ta góruje ponad wszelkiemi innemi, i dlatego o niej głównie się rozpisaliśmy dzisiaj, bo niewiadomo, co z niej wyniknie. Dla nas jest bezpośrednio obojętną, jednakże nie bez zadowolenia patrzymy na to, jak Niemcy sami coraz bardziej pozbywają się sympatyi wszystkich narodów.

K. O.

Przegląd prasy.

Poznań urzędniczy żegnał nadburmistrza p. *Wittinga-Wittkowskiego*, który po blizko dwunastoletniem urzędowaniu opuszcza nasz gród, syt zaszczytów i pochwał. Zgrabny ten karyerowicz potrafił zyskać sobie sympatyą i popularność u tutejszych Niemców tak, iż ofiarowano mu na ostatniem posiedzeniu rady miejskiej *honorowe obywatelstwo*, przeciwko czemu polscy radni wnieśli protest.

Nadto odbył się zjazd burmistrzów innych miast W. Księstwa, przy którym sławiono ustępującego nadburmistrza. Przy tej sposobności p. Witting wygłosił mowę, w której wyraził się, że *„jeżli wschód dla niemczyzny nie ma podupaść bez ratunku w najbliższych 10 do 20 latach*, trzeba będzie powołać do życia *nowe organizacye*," czyli innemi słowy nowe zawotować miliony na wzmocnienie niemczyzny w *miastach i miasteczkach*. Oczywiście są to słowa rzucone na wiatr. Ustępujący urzędnik, chcąc by go mile zachowano w pamięci, wyraził życzenie, aby nowy deszcz złoty spadł z skarbu państwa na sługi rządu.

Zanim poświęcimy artykuł p. Wittingowi, notujemy głosy prasy.

Pisząc o przemówieniach p. Wittinga *„Dzien. Pozn.“* zauważa:

„Twierdzenie, że *niemczyzna się cofa*, powinno nas napawać radością, bo implicite zawiera przyznanie, że *polskość się wzmaga*.

„Więc Niemczyzna się cofa mimo przewagi państwa, prawodawstwa, całej administracyi, wojska, więzień, kolonizacyi i wszystkich a tak licznych środków antipolskich. Na wiatr poszły miliony, polskość stoi jak mur, a niemczyzna się cofa.“

„Wielkopolanin“ zaś pisze:

„Zatem pan Witting zapowiada już nam nowe wysiłki pruskie, dążące do całkowitej naszej zagłady.

„Poszedł Bismarck, poszedł Miquel, poszło już tylu innych po nagrodę wieczystą za swoje sprawki — pójdzie kiedyś i pan Wtting, a naród polski pozostanie narodem. Dziś nie czasy tępiciela, magrabi Gerona, który ogniem i mieczem tępił ludność słowiańską, dziś *każda narodowość gnębiona coraz bujniej się krzewi. Da Bóg i z naszą tak będzie!*“

„Śpiew łabędzi“ pana Wittinga, obliczony na efekt, nie znalazł uznania nawet u takiego „Berliner Tageblatt'u,“ który, jak podnosi *„Dzien. Poznański“* w tych słowach komentuje mowę pana W.

„Nie przypuszczamy, żeby cesarz i kanclerz, którzy zdaniem p. Wittinga mieliby być jego zdania, okazali się gotowymi do takiej „nowej organizacyi“. Jak w wszystkich walkach narodowych i w tej walce polsko-niemieckiej, zwycięztwo przypadnie tej stronie, która się okaże *moralnie dzielniejszą*.“

Brawo! Raz przecież jesteśmy w zgodzie z „Berlińskim Tageblattem.“ I my wierzymy, że zwycięstwo będzie po stronie *moralnie dzielniejszej t. j. polskiej*.

Wybory do rady miejskiej miały, swój epilog. Unieważniano wybór dr. *Smolińskiego* na Wildzie, lecz ku zmartwieniu niemczyzny przy ponownych wyborach pokonał swego niemieckiego rywala.

Przechodząc od spraw miejskich na szerszą widownią, musimy zwrócić oczy znowu na *Śląsk* budzący się do nowego życia.

Czyniono zarzut *„Tow. wyborczemu na Śląsku,“* że nie wezwało do współdziałalności „Katolika.“ Na to Tow. wyborcze odpowiada, że w Gliwicach dnia 9-go listopada gdy uchwalano założenie tegoż Towarzystwa

„postanowiono zapytać się kierownika „Katolika“, czy chce wziąć udział w założeniu polskiego towarzystwa wyborczego na Śląsk i jakie chce zająć stanowisko w przyszłych wyborach do parlamentu niemieckiego i do sejmu pruskiego. Wysłano tedy 2 listopada, list do „Katolika“, lecz do 9 listopada, w którym to dniu miało się odbyć w Gliwicach zebranie, nie nadeszła żadna odpowiedź.“

Wreszcie „Katolik“ odpisał, że „zachowuje zupełną wolną działalność wobec każdego komitetu, a więc zarówno centrowego jak polskiego.“

Czy bierność ta wyjdzie „Katolikowi“ na dobre? Śląsk rusza się, fermentuje, a „Katolik“ z założonemi rękoma przygląda się temu ruchowi. Tymczasem z łona jego wyszedł szermierz sprawy narodowej na Śląsku, p. *Siemianowski* i porzuciwszy „Katolika,“ zakłada własny organ w Gliwicach. W obozie „Górnoślązaka“ głoszono, że p. S. wystąpił z redakcyi „Katolika“ dlatego, iż pismo to trzyma się zdala od Towarzystwa wyborczego, ale *„Gaz. Opolska“* zaprzecza temu, donosząc, że p. S. dawno już nosił się z zamiarem powołania do życia nowej gazety. Bądź jak bądź witamy z radością zapowiedź nowego pisma, które przyczyni się do rozbudzenia ducha na Śląsku, przysporzy wspólnej naszej matce Ojczyźnie zastęp uspołecznionych synów.

„Pan *Siemianowski*, pisze *„Dzien. Pozn.“*, znany nam działacz politycznej areny poznańskiej, od dawna nie czuł się solidarnym ze skostniałością „Katolika“, ale widocznie i polityczna niedojrzałość „Górnoślązaka“ nie przypada mu do gustu, jeżeli tworzy nowy organ i jakoby nowe „stronnictwo.“ Nie przesądzamy, ale i nam się zdaje, że z wszystkich działaczy górnośląskich posiada on najwięcej danych na przewódzcę. Nad „Katolikiem“ góruje prawdziwem polskiem uczuciem, czy nad „Górnoślązakiem“ stanie wyżej pod względem rozumu politycznego wkrótce się okaże.“

O stosunkach polsko-rosyjskich ciekawy list z Warszawy odebrał krakowski *„Czas“*; korespondent pisząc o małej demonstracyi studentów z okazyi rocznicy listopadowej, rozwodzi się nad usposobieniem względem Polaków w Petersburgu.

„W Rosyi — pisze korespondent, — ważą się dwa prądy; kierunek jeszcze jest niezdecydowany; nie wiadomo, który prąd weźmie górę; czy *bardziej cywilizowany*, nie mający tylu uprzedzeń wobec Polaków, czy też *bardziej wrogi*, zacofany? Rząd zajęty jest wielkiemi zagadnieniami wewnątrz państwa; kłopotów ma dużo, trudności jeszcze więcej. Gdyby w kraju było spokojnie, możnaby liczyć na wcale życzliwe usposobienie względem opinii rosyjskiej. Opinia ta od roku 1894 znacznie się zmieniła i powoli, ale ciągle zmienia się na lepsze. Dawniej cały jad nienawiści przeciw nam starały się wszczepić i utrzymywać pewne organa prasy; ciągle traktowano nas jak najgorzej i tendencyjnie. Dziś te organa są w mniejszości, a bardziej przedmiotowe, bardziej cywilizowane i ludzkie głosy odzywają się w prasie. *Karyery już na kierunku antypolskim w Petersburgu robić nie można*.“

Galicya lubo ma tyle spraw lokalnych, nie zapomina o braci wielkopolskiej i z interesem śledzi nasze życie społeczne. I tak *lwowskie „Słowo Polskie“* zwróciło uwagę na artykuł „Dzien. Pozn.“ w sprawie *Towarzystwa Czytelni Ludowych* i wypowiada podobne zdanie co nasz współpracownik „Lector“, w artykule, który zamieszczamy na osobnem miejscu. Otóż co czytamy w „Słowie Polskiem“:

„Zarząd Towarzystwa nie umie widocznie poruszyć ofiarności publicznej. A u nas to koniecznem, trzeba po prostu wskazywać ludziom, na jaki cel mają dawać. Ofiarność publiczna, w jednym kierunku zwrócona, płynie dalej siłą inercyi, nieraz bez istotnej potrzeby. Natomiast instytucye, potrzebujące poparcia, daremnie wyczekują na ofiary. Pochodzi to stąd, że publiczność nie wie zwykle lub *nie pamięta o istnieniu tych instytucyi*.

„Dlatego właśnie poruszamy sprawę, ażeby przypomnieć czytelnikom, że w Poznaniu istnieje „Towarzystwo czytelni ludowych“ i że na rzecz jego raczej należałoby składać ofiary, niż na Bank ziemski, który nie jest bynajmniej instytucyą filantropijną i drobnych datków nie potrzebuje, a bodaj nawet przyjmować nie może.“

B. M.

Dział Illustrowany.



Pokój wierzącym, że zwycięży dobro! Pokój kochającym, co Bóg kochać przykazał! Pokój domom naszym, rodzinom naszym! Pokój biednej naszej Ojczyźnie! Oto dziś pamiątka narodzenia Bożego. Lud wierny tłoczy się do świątyni i wielbi Boga na mszy pastuszej wśród nocnej ciszy. Z niebios płynie łaska, pociesza serca, koi rany, zabliźnia boleści, Królestwo Boże schodzi coraz bliżej na ziemię. A tam wysoko rozbrzmiewa modlitwa anielska:

„Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!"

A więc pokój nam i wesele serca, pokój i pozdrowienie Szanownym czytelnikom, pozdrowienie kochanym naszym więźniom-redaktorom, przyjaciołom i zwolennikom, oraz współpracownikom, „Pracy" w dniu urodzin Zbawiciela!

REDAKCYA.





WIGILIA.

Anioł pasterzom mówił... — rozbrzmiewa wszędzie pieśń wigilijna.

Wigilia!... dziwny urok kryje się dla nas w tem jednem prostem słowie... Wzrusza ono i rozrzewnia, czarem wspomnień przemawia do duszy.

Na dźwięk tego wyrazu wyblakłe od lat wielu barwy ożywiają się, zatarte i rozwiane obrazy stają przed nami w swej dawnej postaci. Wydaje nam się przez chwilę, że życie w ciągu długiego szeregu nie ukazywało nam w dali mirażów nieuchwytnych, by uciec z niemi za zbliżeniem się naszem, że nie obdzierało bezlitośnie ze złudzeń młodości, nie karmiło goryczą zawodów i rozczarowań, nie poorało czół zmarszczkami, nie przypruszyło włosów siwizną...

I gotowi jesteśmy przypuścić, że zmora trosk i cierpień nie gniotła nigdy naszych piersi, że ciężkie brzemię walki o byt nie zgięło nas wcale do ziemi. Myśl nasza zwraca się mimowoli ku najpiękniejszym chwilom dzieciństwa i wczesnej młodości, ku ogniskom najdroższym, w których cieple i blasku wzrastaliśmy, a które dla wielu wygasły już może na zawsze, wspomnienia tylko pozostawiając po sobie.

Wspomnienia... Ileż to w dzień wigilijny ciśnie ich się razem do głowy. Oto, zda się, w ich aureoli tęczowej staje przed nami cichy dwór wiejski, otoczony wieńcem lip i topoli, wyciągających ku roziskrzonemu gwiazdami niebu obnażone z liści i pokryte śniegiem konary.

Wewnątrz widno i ciepło, błogość jakaś rozlewa się w sercu. Duży pokój jasno oświetlony, po środku stół, pięknie nakryty. Jakieś drogie, dawno niewidziane oblicza przesuwają się przed oczyma, śnieżnej białości opłatek z rąk do rąk przechodzi, echa życzeń i błogosławieństw gdzieś rozbrzmiewają w powietrzu.

Albo obrazek inny. Na wzniesieniu ciemnozielone drzewko; jak świętojanskie robaczki, lśnią na niem ogniki złote, w ich blasku cacka, strojące „choinkę“, mnożą się i rosną w oczach, przybierając kształty fantastyczne. A w cieniu „bożego drzewka“ co niespodzianek i upominków gwiazdkowych! Dla starszych i młodszych, dla służby i domowników, dla dziatwy przedewszystkiem, napełniającej pokój gwarem okrzyków zdumienia, radości i szczęścia. To jej dzień, to jej święto najpiękniejsze.

A potem te niezapomniane dźwięki odwiecznych pieśni kolędowych, nuconych chórem rodzinnym przy akompaniamencie starego fortepianu i budzących dziwne uczucia w sercach wszystkich.

Bóg się rodzi, moc truchleje
Pan niebios obnażony...

We wspomnieniach tych zawsze tkwi dla każdego urok niewypowiedziany, wspomnienia te chyba niczem na świecie zatrzeć się w duszy nie dadzą.

Dzień wigilii — to przedewszystkiem święto pokoju, miłości i zgody. W dniu tym, mówiąc słowami poety, serca nasze, „jeśli mają coś przebaczyć, przebaczą, jeżeli o czem zapomnieć, zapomną“, aby się zespolić w serdecznym bratnim uścisku.

W dniu tym, Czytelnicy, i my stajemy przed wami ze staropolskim opłatkiem w dłoni i życzeniem gorącem, aby szlachetne uczucia, napełniające wasze serca, wznosiły je jak najdłużej i jak najwyżej nad poziomy, aby gorycze i smutki, o których dziś zapominacie chwilowo, nigdy już do serc nie wracały, aby ten węzeł bratniej miłości i zgody, który dziś łączy nas wszystkich, okazał się trwałym prawdziwie i prawdziwie doniosłym w swych skutkach.

Dosiego Roku!

„PRACA.“

Z OPŁATKIEM.



Z opłatkiem stajem na waszym progu,
I podajemy w uścisk wam dłonie,
— Chwała niech będzie na niebie Bogu,
A wam niech radość rozjaśni skronie,
Niech zniknie smutku — niedoli cień!

Z opłatkiem zdala do was spieszymy,
Boć to obyczaj stary — serdeczny;
Sto życzeń z serca wam przynosimy.
Oby je spełnił Władzca nasz wieczny!
Oby go doszedł proźb naszych dźwięk
I umilkł w kraju niedoli jęk!

Z opłatkiem bracia — ot jak przed rokiem,
Stajem tu znowu — czyście nam radzi?
Toż my jak swoi w progu tej chaty,
Serca głos zawsze nas tu prowadzi...
Bo za mozoły i wszelki trud
Miłością bratnią płaci nam lud.

Z opłatkiem dzisiaj... w dniu uroczystym,
Gdy w żłóbku leży Boża dziecina...
Gdy stół okryty obrusem czystym,
A snop w kąciku kłosy pochyla,
My tu spieszymy — boć w taki czas
Miło jak braci powitać was.

Przecież rodziną jesteśmy wszyscy,
Przecież my dzieci nam wspólnej Matki...
Wielcy czy mali, dalsi czy blizcy,
Z miasta czy ze wsi, — z pałacu — z chatki...
Podajmy w uścisk serdeczny dłoń,
I ufność niech nam rozjaśni skroń!

Z opłatkiem idziem, a przy życzeniach
O smutnej doli kraju myślimy...
Sto lat już przeszło w więzach — cierpieniach,
Sto lat srom — krzywdę srogą cierpimy...
O Jezu w żłóbku błagamy Cię,
Nad Polską biedną ulituj się!!!

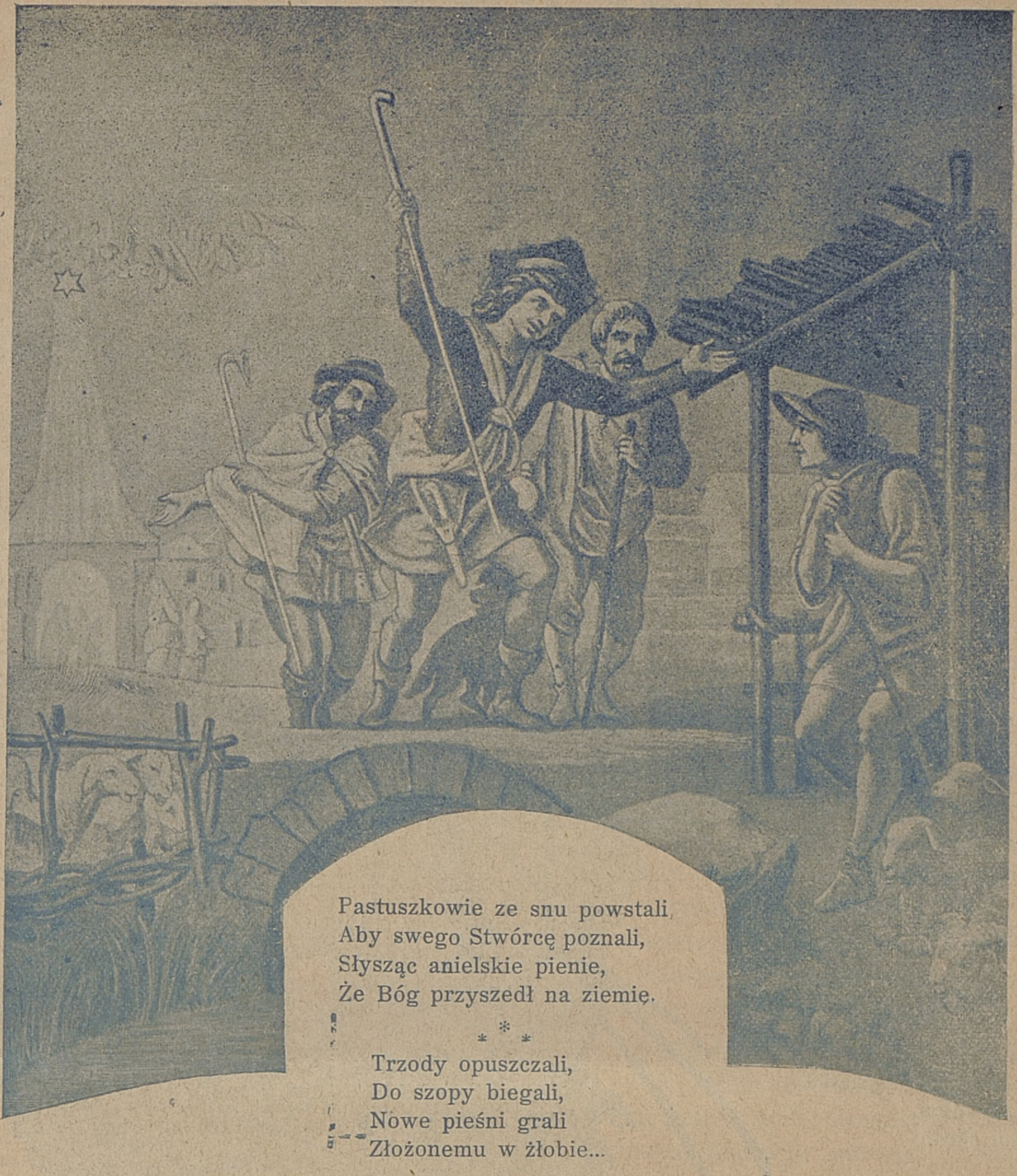
L. F



Wigilia Bożego Narodzenia, zwana powszechnie gwiazdką, należy do najstarszych i najprzyjemniejszych dni uroczystych na całym dawniej polskim obszarze. W dniu tym łamią wszyscy opłatek, chleb duchowy, jako znak bratniej miłości. Wieczorem dopiero, gdy pierwsza gwiazdka zajaśnieje na niebie, zasiadają domownicy do wspólnej wieczerzy, która się składa z siedmiu, albo z dziewięciu patraw. Na stole znajduje się siano, aby pamiętać, że Chrystus po urodzeniu był złożony na sianie. Stawiano dawniej w pokoju jadalnym snopy zboża i słomy; zwyczaj ten zachowywała ściśle tak szlachta, jak i włościanie. Dawniej też pod każdem nakryciem składano różne przedmioty, które po uczcie biesiadnicy wyjmowali, z czego czyniono wnioski o przyszłości. Znajdowano np. cukrowe serca, kołyski, domki, pieniądze — z czego przepowiadano miłość, urodziny, bogactwa lub urządzenie własnego domu. Po spożyciu wieczerzy łamie gospodarz opłatek z wszystkimi domownikami, nikogo nie zaniedbując.

Kto z kim w wigilią łamał opłatek i życzył wzajemnie Dosiego roku, musiał mu być przyjacielem i żadnej zawiści nie mieć w sercu. K. Wł. Wojcicki opowiada nam następne zdarzenie, które dowodzi, jak głęboko w sercach naszego narodu zwyczaj obchodzenia wigilii zapuścił korzenie:

„Pan Paweł Rymkiewicz i pan Piotr Płaza żyli w serdecznej przyjaźni od lat pacholęcych, bo ich rodzice o miedzę z sobą graniczyli. Byli oni w równym wieku i jak bracia się kochali. Rymkiewicz jako jedynak po ojcu został na rodzinnej grzędzie; — ale Płaza daleko się odbił od rodzinnego gniazda, tem więcej, że gdy dla licznego rodzeństwa,



Pastuszkowie ze snu powstali,
Aby swego Stwórcę poznali,
Słysząc anielskie pienie,
Że Bóg przyszedł na ziemię.

* * *

Trzody opuszczali,
Do szopy biegali,
Nowe pieśni grali
Złożonemu w żłobie...

nie mógł dziedzictwa po ojcu w całości uchować, a nadto pan Paweł potrafił zyskać pierszeństwo w sercu panny Agaty Plichcianki i ją poślubił, biedny pan Piotr, — poszedł w świat szeroki. Ale zanim porzucił gniazdo swoje, pałając z serdecznej przyjaźni gwałtowną nienawiścią do Rymkiewicza — wyzwał go na rękę i głęboką naznaczył go kresą. — Rymkiewicz prędko wyleczył się z rany, bolał nad zaciętością swego niedawno przyjaciela, i poślubił Plichciankę.

Lat wiele upłynęło od owej pory. Płaza odbił się aż w Krakowską ziemię; tu się ożenił, doszedł dobrego mienia, ale miał złą dolę. Umarła mu żona i pięcioro dziatwy, został sam jak kołek w suchym płocie; zatęsknił do stron rodzinnych, a korzystając z wczesnej dobrej sanny, z pachołkiem ruszył w okolice nadbużne do dalekiego krewniaka, co mieszkał na małym folwarku, niedaleko Rymkiewicza. — Ale jak dobrze mówią: „Chłop strzela, Pan Bóg kule nosi.“ Nasz Płaza, kiedy coraz bliżej dojeżdżał do celu swej podróży, a chciał podążyć na wigilią Bożego Narodzenia, tym większa powstała snieżna zadymka. A trzeba wiedzieć, że gdy podróżnego złapie w drodze, módl się za jego duszę, aby tylko trafił gdzie do jakiejkolwiek chaty, aby nie zmarzł w drodze. Pan Płaza w tym był wypadku, że chociaż znał całą okolicę jak dłoń własną, teraz był jakby na stepie.

Źle, Gawełku! mówił do swego pachołka — nie rozeznasz Bożego świata! puszczaj konie na wolę, a one nas gdzieś do ludzkiego mieszkania zawiodą! — I stało się jak powiedział. Konie, instynktem wrodzonym kierowane, wbiegły z sankami w opłotki, w których Płaza ujrzał na końcu dworek, śniegiem ubielony i rzęsistą łunę, bijącą z okien. —

Zaledwie wrota otwarte przejechał, zadymka ustąpiła, jakby ją kto zaklął; — rozbiegły się chmury, księżyc wypłynął na pogodne niebo, rozjaśniło się pięknie i pan Piotr, z głośnym brzękiem swoich dzwonków stanął przed gankiem dworu. Wybiegła domowa czeladź, zapraszając serdecznie gościa. Pan Płaza w dużej sieni zrzucił futro niedźwiedzie, i wchodzi do obszernej izby, gdzie suty ogień gorzał na kominie kapiastym. Stół był zastawiony do wigilii, gęsto świecami jarzącemi oświetlony, a przy nim z opłatkiem w ręku obok swej już osiwiałej małżonki stał pan Paweł Rymkiewicz, ciekawie ku drzwiom patrząc.

Nagle na progu staje Płaza: poznali się i zmierzyli groźnem spojrzeniem dwaj zawzięci przez lat tyle przeciwnicy; ale Rymkiewicz nie tracąc przytomności, zawołał serdecznie: „Bóg w dom, gość w dom,“ zbliżył się szybko posuwistym krokiem do Płazy, podając mu opłatek do złamania. Płaza odurzony tem spotkaniem, nie mógł w dniu takim odmówić przełamania opłatkiem, ale gdy usłyszał życzenie: „Dosiego roku,“ zachwiał się i oparłszy się o oddrzwia, serdecznym wybuchnął płaczem!

„Panie Piotrze! Piotrku! Piotrusiu mój!“ wykrzyknął Rymkiewicz, to Bóg dobry zsyła mi tę pociechę i mojej Agacie! Patrz, ta ciężka kresa twojej szabli na czole niezgojona, bo ślad jej widoczny, ale serce cię moje kocha zawsze jak brata!“

Płaza na te słowa zawołał, hamując się z łez bobrowych:

„Złamałem z tobą wigilijny opłatek — znów po staremu jesteśmy przyjaciołmi jak dawniej!“

I rzucił się w jego objęcia!

Cóż to, mój Boże, była za radosna wigilia pod skromną strzechą Rymkiewicza. Płaza przesiedział całe święta aż do Trzech Króli; przed końcem za-

gański obyczaj, zaczęli tworzyć pieśni, kolędy — zalecając ludowi śpiewać je po siołach w miejsce przebierania się za dzikie zwierzęta. Księża przeto potworzyli z tego powodu mnóstwo pieśni dla ludu, które on jednakże sam sobie potem dowolnie przerabiał. Tak więc pogańska kolęda jest dziś czysto katolickim obyczajem, a oprócz pieśni łączy się z nią następujący obyczaj:

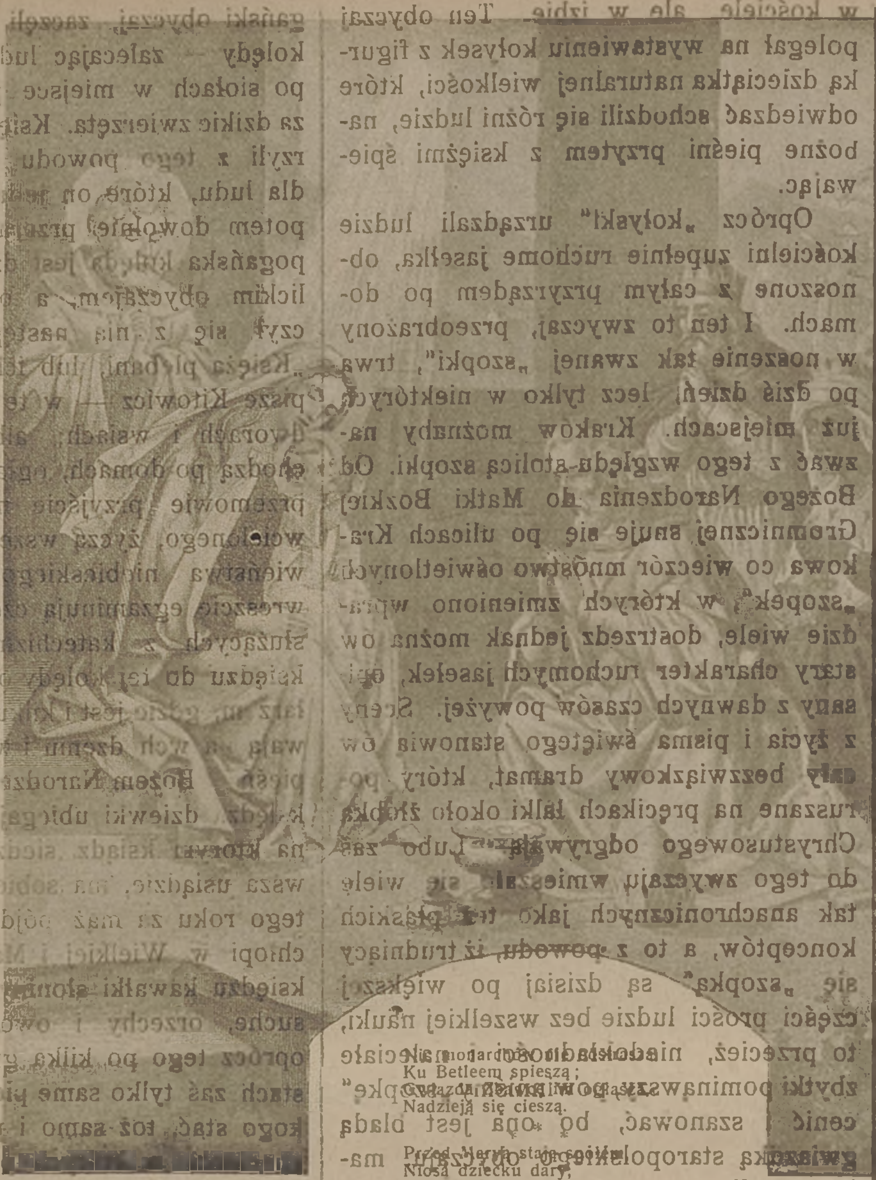
„Księża plebani, lub ich wikaryusze — pisze Kitowicz — w te czasy jeżdżą po dworach i wsiach, albo po miastach chodzą po domach, ogłaszają w krótkiej przemowie przyjście na świat Zbawiciela wcielonego, życzą wszelkiego błogosławieństwa niebieskiego i ziemskiego, wreszcie egzaminują czeladź domową i służących z katechizmu. Asystujący księdzu do tej kolędy organista z bakałarzem, gdzie jest i kilku chłopców, śpiewają w czasie wchodzenia i wychodzenia jaką pieśń o Bożem Narodzeniu. Po wyjściu księdza, dziewki ubiegają się do stołka, na którym ksiądz siedział; która pierwsza usiądzie, ma sobie za wróżbę, że tego roku za mąż pójdzie. Po wsiach chłopi w Wielkiej i Małej Polsce dają księdzu kawałki słoniny, serki, grzyby suche, orzechy i owoce, kokosze, jaja, oprócz tego po kilka groszy. Po miastach zaś tylko same pieniądze, na jakie kogo stać, toż samo i po dworach [illegible] pospolicie po odbytej kolędzie raczą się gospodarz z księdzem, obchodząc dzień kolędy bankietem według przepomożenia.“

w kościele, ale w izbie. Ten obyczaj polegał na wystawieniu kołysek z figurką dzieciątka naturalnej wielkości, które odwiedzać schodzili się różni ludzie, nabożne pieśni przytem z księżmi śpiewając.

Oprócz „kołyski“ urządzali ludzie kościelni zupełnie ruchome jasełka, obnoszone z całym przyrządem po domach. I ten to zwyczaj, przeobrażony w noszenie tak zwanej „szopki“, trwa po dziś dzień, lecz tylko w niektórych już miejscach. Kraków możnaby nazwać z tego względu stolicą szopki. Od Bożego Narodzenia do Matki Bozkiej Gromnicznej snuje się po ulicach Krakowa co wieczór mnóstwo oświetlonych „szopek“, w których zmieniono wprawdzie wiele, dostrzedz jednak można ów stary charakter ruchomych jasełek, opisany z dawnych czasów powyżej. Sceny z życia i pisma świętego stanowią ów cały bezzwiązkowy dramat, który poruszane na pręcikach lalki około żłobka Chrystusowego odgrywają. Lubo zaś do tego zwyczaju wmieszało się wiele tak anachronicznych jako też płaskich konceptów, a to z powodu, iż trudniący się „szopką“ są dzisiaj po większej części prości ludzie bez wszelkiej nauki, to przecież, [illegible] zbytki pominąwszy, powinniśmy „szopkę“ cenić i szanować, bo ona jest [illegible] staropolskiego obyczaju, mającego dla nas [illegible] urok.

posągi, nie wzniecały w ludziach stygnącej ciekawości, przeto Reformaci, Bernardyni i Franciszkanie, dla większego powabu (zwabienia) ludu do swoich kościołów, jasełkom przydali ruchawości, między osóbki stojące mieszając chwilami ruchome, które przez szpary, na ten cel zrobione, wytykając na widok braciszkowie zakonni, lub inni posługacze klasztorni, rozmaite figle niemi wyrabiali. Tam żyd wytrząsał futrem, pokazując je z obu stron, jakoby do sprzedania; drugi żyd mu je ukradł, ztąd kłótnia wielka, aż żyd skrzywdzony pokazał się z żołnierzami i instygatorem, biorącym pod wartę złodzieja.

Gdy taka scena zniknęła, pokazała się druga, na przykład: chłopi pijani, bijący się, albo szynkarka, tańcująca z kawalerem, albo śmierć z djabłem, najprzód tańcujące, a potem się bijące ze sobą i w końcu znikające. To znowu mustrujący się żołnierze, tracze, drzewo tracący i inne tym podobne akcye ludzkie do wyrażenia łatwiejsze, które to fraszki dziecinne tak się ludowi prostemu i młodzieży podobały, że kościoły napełnione bywały widzami, podnoszącymi się na ławki i ołtarze włażącymi; ale gdy ta zgraja, tłocząc się i przemykając jedna przed drugą, zbliżyła się nad metę założoną od jasełek, wypadał wtenczas z pod rusztowania, na którem stały jasełka, jaki sługa kościelny z prętem, i kropiąc nim żywo bliżej stojących, nową czynił reprezentacyą dalszym widzom, daleko śmieszniejszą od akcyi jasełkowej.



pust wyjechał do siebie, aby zdać krewniakowi swoje gospodarstwo; wrócił do Rymkiewiczów, u nich stale zamieszkał; córki ich trzy wyposażył, synom dał na wychowanie i biedną rodzinę suto zapomógł.

Obaj dożyli lat późnych i widziano ich w sędziwej starości, jak społem się modlili, społem pracowali na jednej niwie. Rymkiewicz wcześniej umarł, ale Płaza nie mógł przeżyć tej straty — z tęsknoty poszedł za swym przyjacielem, a na ich mogiłach modliła się siwa jak gołąbek wdowa po panu Pawle.“

W *święto Bożego Narodzenia* odprawia każdy kapłan trzy msze, z tych pierwsza w nocy [illegible] na pamiątkę, że pasterze znajdowali się przy narodzeniu Zbawiciela świata. W dawniejszych czasach młodzież naśladowała głosy ptaków, aby wyrazić wielką radość, że Chrystus Pan zstąpił na ziemię. Zwyczaj ten zniesiono, gdyż działy się często nadużycia, jednakże w niektórych miastach jeszcze się to powtarza.

Z świętami Bożego Narodzenia ściśle są związane *szopki i jasełka*. Dawniej odgrywała młodzież szkolna dyalogi, przedstawiające sceny z życia Chrystusa; urządzano także szopki z drewnianemi lub papierowemi postaciami Dzieciątka Jezus, N. Maryi Panny, ś. Józefa, oraz pasterzy a oczywiście, że nie brakło wołu i osła. Jaką była szopka przed 150 laty, opisuje nam X. Kitowicz, jak następuje:

„W szopce, na kształt stajenki zrobionej, w żłobie na sianku złożona była osóbka Pana Jezusa, a na boku Marya i Józef, stojący przy kolebce w postaci nachylonej, afekt natężonego kochania i podziwienia wyrażającej. W górze szopki pod dachem i nad dachem aniołkowie, unoszący się na skrzydłach, jakby śpiewający: *Gloria in excelsis Deo*. Toż dopiero w niejakiej odległości jednego od drugiego pasterze, padający na kolana przed narodzoną dzieciną, ofiarujący mu dary swoje, ten baranka, ów koźlę, dalej za szopką po obu stronach pastuszkowie i wieśniacy, jedni pasący trzody owiec i bydła, inni śpiący, inni do szopy spieszący, dźwigając na ramionach barany, kozły, między któremi osóbki rozmaity stan ludzi i ich zabawy wyrażają: panów w karetach jadących, szlachtę i mieszczan, pieszo idących; chłopów na targ wiozących drwa, zboże, siano, prowadzących woły, orzących pługami, [illegible] niewiasty doiące krowy, [illegible] towary do sprzedania [illegible] tym podobne [illegible]

Gdy nastąpiło święto Trzech Króli, przystawiono do tych jasełek osóbki pomienionych świętych, klęczących przed narodzonym Chrystusem i ofiarujących mu złoto, mirę i kadzidło, a za nimi orszaki ich dworzan i ich asystencyi rozmaitego gatunku: Persów, Arabów, Murzynów, laufrów, masztalerzów, prowadzących konie pod bogatemi siedzeniami, słonie i wielbłądy. Toż dopiero wojsko rozmaitego gatunku, jezdne i piesze, murzyńskie i białych ludzi, namioty porozbijane, nakoniec przez imaginacyą, za związek rzeczy występują, bitki uszykowane polskiej gwardyi, pruskie, moskiewskie, armaty, chorągwie jezdne, husarskie, pancerne, ułańskie, kozackie, rajtarskie, węgierskie i inne rozmaite. Na takie jasełka zadzili się jedni nad drugiemi, najbardziej zakonnicy.

W Polsce szopką celowali wśród innych wielością i kształtnością Kapucyni; a gdy te jasełka, rok rocznie w jednakowej postaci wystawiane, jak martwe

posągi, nie wzniecały w ludziach stygnącej ciekawości, przeto Reformaci, Bernardyni i Franciszkanie, dla większego powabu (zwabienia) ludu do swoich kościołów, jasełkom przydali ruchawości, między osóbki stojące mieszając chwilami ruchome, które przez szpary, na ten cel zrobione, wytykając na widok braciszkowie zakonni, lub inni posługacze klasztorni, rozmaite figle niemi wyrabiali. Tam żyd wytrząsał futrem, pokazując je z obu stron, jakoby do sprzedania; drugi żyd mu je ukradł, ztąd kłótnia wielka, aż żyd skrzywdzony pokazał się z żołnierzami i instygatorem, biorącym pod wartę złodzieja.

Gdy taka scena zniknęła, pokazała się druga, na przykład: chłopi pijani, bijący się; albo szynkarka, tańcująca z kawalerem, albo śmierć z djabłem, najprzód tańcujące, a potem się bijące ze sobą i w bitwie znikające. To znowu mustrujący się żołnierze, tracze, drzewo trący i inne tym podobne akcye ludzkie do wyrażenia łatwiejsze, które to fraszki dziecinne tak się ludowi prostemu i młodzieży podobały, że kościoły napełnione bywały widzami, podnoszącymi się na ławki i ołtarze włażącymi; ale gdy ta zgraja, tłocząc się i przemykając jedna przed drugą, zbliżyła się nad metę założoną od jasełek, wypadał wtenczas z pod rusztowania, na którem stały jasełka, jaki sługa kościelny z prętem, i kropiąc nim żywo bliżej stojących, nową czynił reprezentacyą dalszym widzom, daleko śmieszniejszą od akcyi jasełkowych. Takowe reprezentacye ruchomych jasełek odbywały się wprawdzie w godzinach od nabożeństwa wolnych, to jest między obiadem a nieszporami, ale śmiech, rozruch i tumult nigdy w kościele czasu, ani miejsca znajdować nie powinien. Dlaczego, gdy takowe reprezentacye coraz bardziej wzmagając się, doszły do ostatniego nieprzyzwoitości stopnia, książę Teodor Czartoryski, biskup poznański, zakazał ich; pozwolił tylko wystawiać nieruchome, związek z tajemnicą narodzenia Pańskiego mające. Po tym zakazie jasełka, powszedniejąc coraz bardziej, w jednych kościołach zdrobniały, w drugich wcale zostały zaniedbane."

Tym więc sposobem, jak to z opisanej historyi szopki widzimy, powstały ruchome jasełka najprzód w kościele, a później w prywatnych domach pokazywane. Gdy bowiem władze duchowne zakaz wystawiania jasełek ruchomych coraz bardziej rozpowszechniły, powstawały już za Augusta III-go przedstawienia świeckie ruchomych jasełek, przez sługi kościelne i braciszków urządzane.

Kołyskę, o której także w Kitowiczu czytamy, wystawiali Bernardyni już nie w kościele, ale w izbie. Ten obyczaj polegał na wystawieniu kołysek z figurką dzieciątka naturalnej wielkości, które odwiedzać schodzili się różni ludzie, nabożne pieśni przytem z księżmi śpiewając.

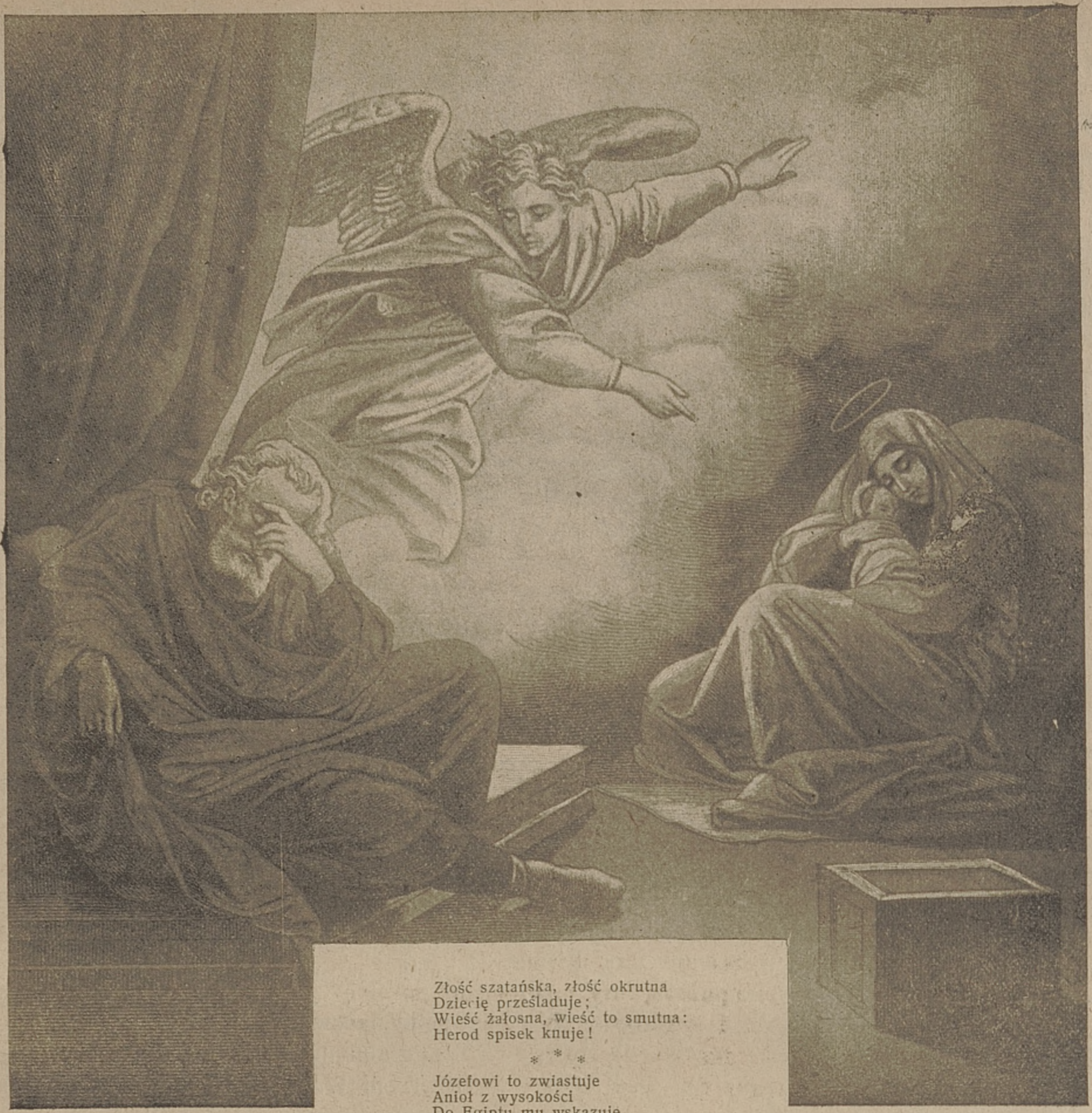
Oprócz „kołyski" urządzali ludzie kościelni zupełnie ruchome jasełka, obnoszone z całym przyrządem po domach. I ten to zwyczaj, przeobrażony w noszenie tak zwanej „szopki", trwa po dziś dzień, lecz tylko w niektórych już miejscach. Kraków możnaby nazwać z tego względu stolicą szopki. Od Bożego Narodzenia do Matki Bozkiej Gromnicznej snuje się po ulicach Krakowa co wieczór mnóstwo oświetlonych „szopek", w których zmieniono wprawdzie wiele, dostrzedz jednak można ów stary charakter ruchomych jasełek, opisany z dawnych czasów powyżej. Sceny z życia i pisma świętego stanowią ów cały bezzwiązkowy dramat, który poruszane na pręcikach lalki około żłóbka Chrystusowego odgrywają. Lubo zaś do tego zwyczaju wmieszało się wiele tak anachronicznych jako też płaskich konceptów, a to z powodu, iż trudniący się „szopką" są dzisiaj po większej części prości ludzie bez wszelkiej nauki, to przecież, niedokładności i naleciałe zbytki pominąwszy, powinniśmy „szopkę" cenić i szanować, bo ona jest bladą gwiazdką staropolskiego obyczaju, mającego dla nas zawsze swój powab i urok.

Śpiewanie kolęd łączy sie z co dopiero wspomnianym obrządkiem „szopki". Początek „*kolędy*" — o ile tenże tego nazwiska się dotyczy — sięga jeszcze przedchrześciańskich czasów. Zostały one z pogańskich obyczajów i w chrześciańskiej już Polsce, lecz wiara nasza nadała im zupełnie odpowiedni charakter, przeobrażając je zupełnie w obrządek katolicki. Gdy bowiem gawiedź wiejska z powodu tych uroczystości kościelnych, o których mówiliśmy wyżej, przenosząc je do swoich zakątków domowych, widowiska religijne z świeckiemi mieszać zaczęła, odezwał się wtedy w niej duch tradycyi słowiańsko-pogański, i zaczęli przebierać się za dzikie zwierzęta, lub przebrane obwozili po siołach. Klechdy o wilkach, turach, wilkołakach odzwierciedliły się w tym obyczaju, zaczętym na podstawie chrześciańskiej. Gawiedź ta do pustot swych łączyła także życzenia pomyślności swym panom przy rozpoczynającym się Nowym Roku. Życzenia te były ową właściwą „kolędą," której nazwa służy dziś pieśniom po kościołach, w święta Bożego Narodzenia śpiewanym.

Kapłani polscy, widząc, że lud do religijnego obrządku przymieszał pogański obyczaj, zaczęli tworzyć pieśni, kolędy — zalecając ludowi śpiewać je po siołach w miejsce przebierania się za dzikie zwierzęta. Księża przeto potworzyli z tego powodu mnóstwo pieśni dla ludu, które on jednakże sam sobie potem dowolnie przerabiał. Tak więc pogańska kolęda jest dziś czysto katolickim obyczajem, a oprócz pieśni łączył się z nią następujący obyczaj: „Księża plebani, lub ich wikaryusze — pisze Kitowicz — w te czasy jeżdżą po dworach i wsiach; albo po miastach chodzą po domach, ogłaszają w krótkiej przemowie przyjście na świat Słowa wcielonego, życzą wszelkiego błogosławieństwa niebieskiego i ziemskiego, wreszcie egzaminują czeladź domową i służących z katechizmu. Asystujący księdzu do tej kolędy organista z bakałarzem, gdzie jest i kilku chłopców, śpiewają na wchodzeniu i wychodzeniu jaką pieśń o Bożem Narodzeniu. Po wyjściu księdza dziewki ubiegają się do stołka, na którym ksiądz siedział; która pierwsza usiądzie, ma sobie za wróżbę, że tego roku za mąż pójdzie. Po wsiach chłopi w Wielkiej i Małej Polsce dają księdzu kawałki słoniny, serki, grzyby suche, orzechy i owoce, kokosze, a oprócz tego po kilka groszy. Po miastach zaś tylko same pieniądze, na jakie kogo stać, toż samo i po dworach szlacheckich, w których pospolicie po odbytej kolędzie raczą się gospodarz z księdzem, obchodząc dzień kolędy bankietem według przepomożenia."

Na Rusi odbywały się także kolędy, ale nieco odmienne. Chłopcy chodzą po dziś dzień od sioła do sioła z papierową gwiazdą i śpiewają prześliczne pieśni, któremi kolędując śpiewak (podług własnego wyrażenia), jak słowiczek nad strumykiem, jak kukułeczka w bukowym lesie, jak jaskółeczka na podwórku, opowiadał mężne dzieje gospodarza w boju i jego skrzętne prace rolne na polu; w których opiewał rozmowę gospodyni z czeladzią; dla gospodarskiego syna i córki wróżył pomyślne małżeństwo; nakoniec życzył ażeby lepsza dola spotkała kraj cały, ażeby wróciły dawniejsze czasy, kiedy jeszcze błogich chwil doznawała Ruś wszystka i kiedy w zgodzie rodziny żyły, kiedy król na króla nie zbierał wojska, brat brata nie najeżdżał, syn nie pociągał ojca do prawa, a córka nie śmiała matce okazywać gniewliwej twarzy.

Lud po wsiach opowiadał, że w wigilii o północy we wszystkich studniach zamienia się woda we wino. Można więc iść i brać, ale na to trzeba być bardzo świętym, albo bardzo odważnym. Pewna dziewczyna poszła w wigilią o północy po wodę. Jakżeż się zadziwiła,



Złość szatańska, złość okrutna
Dziecię prześladuje;
Wieść żałosna, wieść to smutna:
Herod spisek knuje!

* * *

Józefowi to zwiastuje
Anioł z wysokości
Do Egiptu mu wskazuje
Ucieczkę . . . . . .

gdy napiwszy się w domu wody, uczuła smak wybornego wina. Dowiedziawszy się o tem domownicy, pobiegli z konwiami, garnkami do studni, ale wydobyli tylko zwykłą wodę.

Opowiadają też, że w tę noc bydło przemawia ludzkim głosem. Jakiś ciekawy gospodarz poszedł posłuchać. Wtem słyszy, jak jeden wół mówi do drugiego: „Tak, tak, mój bracie, czeka nas w drugie święto robota, gdyż trzeba będzie wywieść gospodarza na cmentarz.“ Gospodarz się przeląkł i umarł z przerażenia, a woły istotnie wywiozły go na cmentarz. Gdyby istotnie woły mogły mówić — jakimże przemawiałyby językiem? Niezawodnie po polsku. Jeżeli zatem nierozumne stworzenie mówiłoby po polsku, o ile więcej Polacy powinni czcić i kochać swój język ojczysty, zwłaszcza, że nasz język jest obecnie bardzo prześladowany.

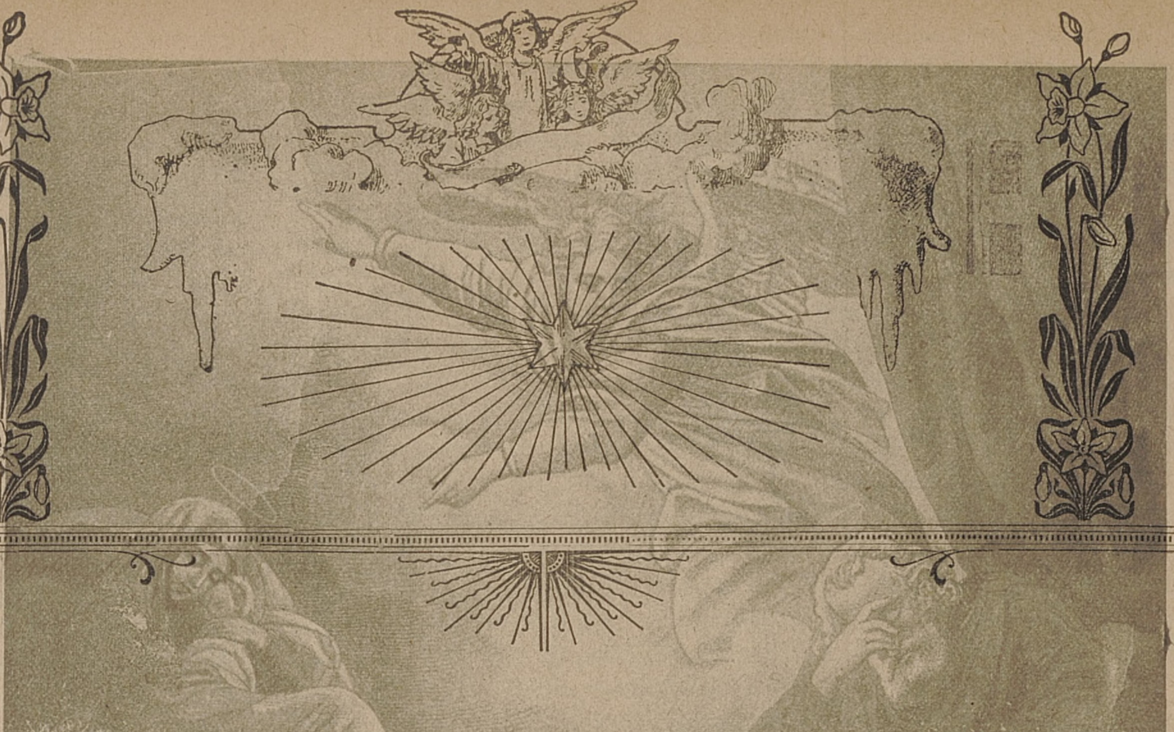
Są osobne pieśni nabożne, ułożone na Boże Narodzenie, zwane kantyczkami. Odznaczają się one starożytnością i nieokreśloną prostotą. Wieje z nich woń dawnych, lepszych czasów. Podobnych pieśni nie posiadają inne narody.

Święta Bożego Narodzenia, wigilia, szopka, kolędy są to zabytki odległej przeszłości; jest to spuścizna po przodkach, jest to pomost, łączący teraźniejszość z przeszłością. Pod zabójczem tchnieniem obczyzny zaczynają niknąć nasze piękne zwyczaje, a nawet gwiazdka zaczyna iść w zapomnienie. Dołóżmy wszelkich starań, aby nasza staropolska gwiazdka i nadal się utrzymała.

Pójdźmyż teraz do szopki pokłonić się Panu,
A każdy niech dar weźmie podług swego stanu;
Kto bogaty da więcej, kto ubogi mało,
Jak króle i pasterze, na co kogo stało.
Uczony, hołd rozumu i pokorną wiarę;
Bogacz niechaj przyniesie Jezusowi złoto,
I potrzebnym biedakom rozda je z ochotą;
Prostaczek szczere czucia złoży na ofiarę.
Ci, których ciężar srogiej przygniata niedoli,
Niech nie bluźnią w rozpaczy przeciw boskiej [woli,
Niech brzemię trosk swych złożą pod Dzieciątka [nogi,
A do zbolałej piersi spłynie balsam błogi.
Wy, którzy w krwawym znoju, pracując na [życie,
Bogatym dostatniego bytu nie zajrzycie,
Małemu Jezusowi teraz przy kolędzie
Ofiarujcie swą pracę, a lekką wam będzie.
Wy, bracia poważnieni, co w zburzonem łonie
Jeden przeciw drugiemu chowacie jad złości,
W uścisku szczerej zgody złączcie wasze dłonie;
Będzie to dar przyjemny dla Boga miłości.
Młodzieży! zdobna w zdrowie, czerstwość i [urodę,
Tej Matce i Dzięcięciu poświęć lata młode;
A ty, któryś zmarnował w grzechach wiek [swój długi,
Przynajmniej resztę życia oddaj im w usługi.

Józef Chociszewski.





Chcecie piosenki do życia pochodu?
Chcecie, bym lirę marzenia nastroił?
Bym marzył sercem mojego narodu
I chorą duszę mej ojczyzny koił?...
Do takiej pieśni wieszczem być potrzeba,
Aby Wam zagrać na świata organie
Wielką melodyą tej harmonii z nieba
Na tym żałobnym ojczyzny kurhanie!...
Ja takiej pieśni nie umiałbym złożyć,
Choć myśl do lotu się zrywa w niebiosy
I chociaż pragnę wam serce otworzyć,
Nie starczą dzisiaj już mej pieśni głosy!

Skarga i żale, już nam nie przystoją,
Bo to upadłych i słabych znamieniem, —
Łzy nie na czasie, — bólu nie ukoją
I nie osłonią przed ducha cierpieniem.
Nam sił potrzeba na życia katusze
W olbrzymim świata przyszłości rozwoju, —
Pancerza cnoty, który zbroi dusze
A czcią jednoczy nas w dziedzicznym boju!...

Więc patrząc dzisiaj na świata zegary,
Marząc rok nowy i następne lata,
U wrót przyszłości dziś Wam pieśnią wiary
Zaśpiewam tylko tę melodyą świata,
Która Wam serca unosi do Pana
W niebie poczęta — chorały jasnemi,
I pospół z Wami padłszy na kolana,
Śpiewać ją będę mej rodzinnej ziemi!...
Śpiewać ją będę, śpiewać sercem całem
Tę pieśń żywota — ten poemat żywy,
Na grobach ojców — i akordem śmiałym
Nastroję ducha mej rodzinnej niwy,
Który pod krzyżem bólów i sromu
W pokutnej szacie na dziedzicznym łanie
Nie zwątpi nigdy, wśród burzy ni gromu,
Że Ty ojczyznę znów nam wrócisz Panie!...
Że tak, jak ongi Izraela plemię
Wiodąc z niewoli przez lądy i morze,
Wskażesz nam Polski obiecaną ziemię
I wskrzesisz na niej — Twe królestwo Boże!...

Ja tam nie dojdę, nie zdążę za Wami, —
Ustanę w drodze, bom już wiekiem stary,
Ale pieśń moja wieczystemi snami
Śpiewać wam będzie ten poemat wiary,
Którym do grobu jeszcze lutnię stroję,
Aby choć echem z mogiły Wam grała,
Boć to ostatnie jest dziedzictwo moje
I myśl ostatnia — i pociecha cała!...

Tę pieśń żywota i te skarby wiary,
Ten psalm nadzieji i miłości czary
Z sercem Wam dzisiaj, bracia, oddaję
I żywem słowem między Wami staję. —
Wigilją świętą obchodząc w rodzinie,
Opłatek ducha Wam niosę w gościnie, —
Choinkę strojnie ubraną Wam złożę,
Oświecę w marzeń mych płomyki Boże,
A drzewko zlane łzami polskiemi
Zaświeci blaski brylantowemi!...
. . . .
Nad drzewkiem w górze,
W aniołów chórze,
Gwiazdą zapłonie przyszłości zorze
I pieśń zaśpiewa Wam słowo Boże —
Melodyą świata w niebiańskiej hali,
Echem unosząc ten psalm z oddali,
Jaki Wam kiedyś natchnieni z góry
Przyszłości wieszcze — ułożą w chóry!

A ja tymczasem tutaj uklęknę,
Drżącą już ręką po strunach brzęknę
I w Imię Boże
Modlitwę złożę!
Matce ojczyźnie słowy rzewnemi
Śpiewając z cicha:
„Cześć polskiej ziemi!...

W. B. Eng.

Kolenda góralska.

Mickiewicz w wykładach o literaturze słowiańskiej piękność kantyczek polskich, ich doniosłe znaczenie dla historyi i poezyi narodowej silnie zaznacza, nadmieniając przytem z żalem, że mało z nich korzystają teoretycy i poeci. Według wieszcza żaden naród nie może się pochlubić takim zbiorem pieśni. Autorowie ich są niewiadomi; jak się zdaje, byli to duchowni niższych stopni i bakałarze szkółek. Mamy wszelako ślady, że wielcy pisarze również dorzucili, lecz w późniejszym czasie, kilka utworów. Kantyczki — słowa Mickiewicza — obejmują cały rok kościelny i podług niego dzielą się na: pieśni adwentowe, pieśni o Bożem Narodzeniu czyli kolendy, o Męce Pańskiej i Zmartwychwstaniu. Uczucia w nich wyrażone, zwłaszcza uczucia miłości i czci Matki Dziewicy ku swemu synowi Bogu, tak są delikatne, tak czyste, tak niebiańskie, że tłomaczyć je prozą byłoby to znieważać świętość.

Od czasu kiedy te słowa wypowiedziane zostały, ludoznawstwo znacznie postąpiło, chociaż nie w tej mierze, jak postąpić było powinno. Na zabytki poezyi ludowej mało zwracamy uwagi, a nawet — objaw bardzo smutny — rzeczy dawniej znane ogólnie, ulegają zapomnieniu. Zobojętnienia dla wytworów ducha rodzinnego żadną miarą pochwalić nie można. Obowiązkiem jest zapoznawać się z niemi, wnikać w ich treść i najstaranniej przechowywać. W myśl tej zasady podajemy niżej kolendę góralską, znaną przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, zbieraczom pieśni ludowych.

Kolendę rzeczoną śpiewają górale, zamieszkali w okolicach źródeł Wisły, a więc w księstwie Cieszyńskiem, na północnych stokach Bezkidu, mniej więcej 20 kilometrów od wąwozu Jabłonki. Zaczyna się owo kolendowanie zaraz po wilii i trwa do Popielca. Zwykle trzej chłopcy przywdziewają długie, białe koszule, opasają się pasami z tektury, oklejonej kolorowym papierem, takież pasy krzyżują na piersiach, na głowy kładą wysokie kapelusze, również z tektury i barwnego papieru, lecz na przodzie ozdobione złocistemi gwiazdami i trzymając w ręku długie kosztury, obchodzą chaty gazdów (zasobniejszych gospodarzy). Znalazłszy się w chałupie, rozpoczynają od tradycyjnego powitania.

— Daj Pan Bóg dobry dzień.

— Daj Boże — odpowiada gazda.

— Wolno śpiewać?

Odpowiedź bywa zawsze przyzwalająca.

Otrzymawszy ją, chłopcy ustawiają się rzędem i śpiewają unisono:



Górale z Karpat zachodnich.

— Pozwólcie nam chrześcianie mili, będziemy wam opowiadać w tej chwili, to wielkie wesele, które w ludzkiem ciele, sprawił nam Bóg, a to prawie w niedzielę, gdy nam posłał Syna Swego miłego, Jezu Chrysta Zbawiciela naszego którego Marya w pieluchach powiła i w stajence betlejemskiej złożyła. Jako go tam pastuszkowie witali, i jakie Mu podarunki dawali, jako się radzili, gdy się zgromadzili, będziemy wam opowiadać o tej chwili.

Po tym wstępie, mającym charakter dawnych prologów, następuje drugi z kolei chór:

— Pan Bóg z nami bracia mili, dawnośmy się nie radzili. Jakże się tu dziś miewacie, gdy trzody wasze pasacie? Ja dziś, mój bracie kochany, pasę owce z jagniętami, a Pawełek po nad doły pasał ze mną krowy, woły. Ale jeszcze, jakom żywy, nie pamiętam takiej dziwy, żeby to w zimowej chwili tak się ptacy weselili. Ale już ten czas nadchodzi, w którym Mesyasz się rodzi, bo mi tak dziaduś powiadał, kiedym z nim u pieca siedział, że się wszystko cieszyć będzie, jak Mesyasz na świat przyjdzie. Dobrze znasz kochany bracie, lecz porządek przyszedł na cię. Ty dziś będziesz straże trzymał, tylko patrz, abyś nie drzemał, a ja z bacą, owcarzami, tam sobie łóżko zrobiemy i spokojnie odpoczniemy.

Skończywszy ostatnią zwrotkę, dwaj chłopcy usuwają się nieco, w kąt izby, wspierają głowy o kosztury, udają śpiących, a trzeci przechadza się po izbie. Naraz spogląda w górę, niby to się trwoży, i woła:

— Hej! bracia, czy śpicie, czy który baczycie? Dziwy niesłychane! Owo kiele naszej stajni słychać śpiewy niezwyczajne. Zewsząd mnie ogarnia trwoga... Wstańcie bracia, ola Boga!

Jeden ze śpiących (podnosząc głowę): — Dajże pokój, miły brachu, nie czyń między nami strachu. Dopierośmy pozlegali, a już wołasz, byśmy wstali. Zapewne wieczorna zorza wybłysnęła z poza zgórza, a ciebie ten widok szali (trwoży) zdaje ci się, że się pali.

Drugi śpiący (porusza się z lękiem): — A dla Boga, co się dzieje, czy piękne niebo goreje? Czy na nas lecą obłoki? Jakieś dziwośne widoki...

Razem śpiewają mocno zaniepokojeni: — Prędko! prędko uciekajmy! Wszystkiego tak zaniechajmy, lepiej nam utrzymać życie, niżeli przyjść na zabicie. Stójcie, bracia, gdzie pójdziecie? Czy dobrze o tem nie wiecie, iże się bez Bożej mocy nie stanie nic ani w nocy? Nie trzeba się zbytnio lękać, ani też ze strachu stękać.

Najmłodszy chłopiec (udając anioła): — Nie lękajcie się pastuszkowie, dobrą radość wam opowiem, iż się dziś narodził wam Zbawiciel, który jest świata odkupiciel. W miasteczku Betlejemie Dawidowem, w stajni a nie w pałacu królowym, najdziecie dzieciątko obwinione, w pieluchach do żłobu położone

Pójdźcie, pastuszkowie, nie omieszkajcie, to Boskie Dziecię przywitajcie. I ja także pójdę z aniołami, będziemy go witać razem z wami.

Wszyscy trzej. — Na głos posła niebieskiego, bracia, niechajmy wszystkiego, a pójdźmy z weselem do tego Betlejem. Niech się każdy ochędoży, jak najpiękniej do podróży: koszule szkrobioną (nakrochmaloną), ze sznurką czerwoną; także czerwone chodaki; lazurki (spodnie wąskie, z sukna białego) nie ladajaki; za czapkę chochołek (bukiet), jak grzeczny pachołek. W takiej porządnej odzieży iść się nam bracia należy, by poznali wszyscy, żeśmy Betlejemczycy.

Najstarszy chłopiec (mówi): — Słuchajcieno, bracia młodzi, próżno nam iść się nie godzi, trzeba wziąść jakiej daniny dla tej niebieskiej Dzieciny.

Drugi chłopiec: — Ej! gdyby były talary, tobyśmy wzięli na dary, ale dla tej górskiej nędzy zawdy u nas brak pieniędzy.

Trzeci: — Nie staraj się wielce o to, o strzybło (srebro) ani o złoto; czem nas Bóg pożegnał (obdarzył) w chacie, to weźniemy, miły bracie.

Starszy (śpiewa): — Ja Mu wezmę faskę sera, poleśników do papiera, koszyk gruszek i miodu garnuszek.

Drugi: — Ja wezmę z trzody barana, słodkiej śmietany do dzbana, masła osełeczkę i świeżą bułeczkę.

Trzeci: — Ja Mu wezmę tłuste ciele, pięknych jabłek do kobielę (kobiałki) i flaszeczkę wina dla Bożego Syna.

Razem: — Ej! jużeśmy przy Betlemie, poznajem to po nowinie; słyszeć we stajenki anielskie piosenki. Już stajenka otworzona, aniołkami napełniona; już się tam kłaniają, Dzieciątko witają. I my, bracia, równo z niemi, pokłońmy się aż do ziemi, dary Mu oddamy, tak go przywitamy.

Rozkrzyżowawszy ręce, schylają się, jakoby nad żłóbkiem i śpiewają:

— Witaj Jezu kochany! Witaj Panie nad pany, któryś dla nas jedynie zszedł z nieba na ziemie. Witaj Baranku cichy, co gładzisz świata grzechy! Zgładź nam, prosimy, wprzód niźli pomrzemy! Daj nam przez całe życie darów Twych obficie; błogosław szałasze, wszystkie trzody nasze.

Tu klękają, składają dłonie jak do modlitwy:

— Dziękujemy. Zbawicielu nasz drogi, iżeś się dla nas raczył stać ubogi! I Tobie, Marya, Niebieska Lilija, iżeś nam grzesznym Zbawiciela powiła! Dziękujemy Tobie, Józefie kochany, Tobie będzie ten Synaczek oddany! Modlij się do Niego, aby nas każdego raczył przyjąć do Królestwa możnego.

Wstają, udając powrót, chodzą dokoła izby, stukając koszturami:

— Hola! pastuszkowie, czerstwi Waszkowie, na te chwalebne gody, wracajmy się do trzody. Jużeśmy widzieli, czegośmy pragnęli: Boga w ludzkiej osobie, położonego w żłobie.

Tańczą, każdy osobno, po każdej z następnej strofek.

— Teraz sobie w koło, poskoczmy wesoło, niech w nam cieszy dusza się Narodzenie Jezusa! Wam wszystkim społecznie życzymy serdecznie w dzień Narodzenia Jego, szczęścia, zdrowia czerstwego. Niech się wam rozwija, jak piękna lilija, jako śliczna róża Błogosławieństwo Boże. A po doczesności, w niebieskiej radości, żebyśmy w Chryste Panie mogli się cieszyć. Amen.

Tu koniec kolendy a raczej misteryum, w najprostszej jego formie, lecz pełnej wdzięku. Gospodarz ugaszcza i obdarza kolendników, ci zaś chyląc się do jego kolan, żegnają go:

— Pan Bóg zapłać za pieniądze i ofiarę. A ostańcie z Bogiem.

Kolenda góralska zbliżona jest do Szopki krakowskiej, a nawet śmiemy utrzymywać, że jest przeróbką prologu i pierwszej części tej Szopki. Przerabiacz rozdał role osobom żywym, zamiast lalkom i wprowadził zwroty lokalne. W innych miejscowościach kraju chodzą po wsiach kolendnicy, ale ich kolendy nie mają charakteru scenicznego. Śpiewają tylko, bądź razem, bądź pojedyńczo, chodzą zaś większemi gromapkami niż po trzech. Na czele takiej gromadki kroczy niosący na kiju dużą uklejoną z papieru różnokolorowego, napuszczonego tłuszczem, gwiazdę, oświetloną wewnątrz; towarzysze mają kolorowe latarki. W Krakowskiem orszak ten poprzedzają skrzypki a za obnosicielem gwiazdy wlecze się *toruń.* Nazwa to skażona, ongi miała oznaczać *tura.* Odgrywając rolę *torunia* chłopiec, chodzi zwykle na nogach i rękach, jest okryty derką, z przyprawionym ogonem końskim z tyłu. Z przodu ma łeb, z pyskiem drewnianym długim, podobnym do oślego lub krowiego, z odpowiednim przyrządem do otwierania i zamykania gęby, co dokonywa się z głośnem kłapaniem. Łeb jest obity skórą zajęczą, sterczą przy nim wielkie uszy wysoko odstające; w pysku cały język i podniebienie czerwonem suknem wybite. Pysk ów pochłania całe jabłka i inne duże kęsy. Zręczny *toruń* potrafi gorzałkę przez taki pysk łykać. W każdej ręce *toruń* trzyma po kiju, któremi wciąż po ziemi uderza. Sam też ustawicznie jest w ruchu: To skacze przez swoje kije lub przez stołki, to dęba staje, ryczy, rzuca się na zapatrzonych w porażkę słuchaczów, zwłaszcza na dziewczęta, i rozmaite figle im wyprawia. U nas *torunia* się nie spotyka a gwiazdę coraz rzadziej spotykać można. Tradycyą kolend uscenizowanych, dawniej w rzędzie powszechnych usiłował wkrzesić ks. Wincenty Żyworonek i nawet odpowiednie widowisko z kolend znanych ułożył. Składa się ono z pięciu części, lecz ma tę wadę, że przeładowane jest pieśniami łacińskiemi. A dobrze byłoby wznowić misterya dawne po wsiach. Skorzystałaby na tem moralność ludu i duch chrześcijański wzmacniałby się przez to.

Witold z Ponar.

NA PASTERKĘ!

Zabrzmiał dzwonek w nocnej ciszy,
Posłał piosnkę swą do sioła...
Do okienek w chatach dzwoni,
Na „Pasterkę“ wszystkich woła.
Chodźcie! chodźcie!... cud się spełnił..
Narodzone Boże Dziecie,
Na sianeczku w stajenecżce
Obaczycie, pochwalicie...
Pastuszkowie cześć oddali,
I wy spieszcie — powitajcie...
„Chwała Bogu w wysokościach“
Z łzą radości zaśpiewajcie!
Dzwonek woła — my spieszymy
Na „Pasterkę“ do kościoła,
A noc jasna i spokojna
Świat uśpiła dookoła.
Wioskę, drzewa i zagony
Śnieg ustroił w białe szaty,
Księżyc srebrem umalował
Ubożuchne, nizkie chaty;
A w kościołku światła płoną...
Pleban lud swój błogosławi,
Który kornie Pana Niebios
Pieśnią chwały wielbi, sławi.
I my stajem razem z ludem,
I my z serca cześć składamy,
I kolędy z pastuszkami
Z łzą radości wraz śpiewamy.
I my prosim kornie — z cicha...
Wejrzyj! wejrzyj Panie z nieba!
Udziel szczęścia i pokoju
I tej zgody co nam trzeba.
Pobłogosław nasze chaty...
Nasze niwy ukochane,
Nasze wioski — nasze serca,
Dziś hakatą tak znękane —
Pobłogosław naszej „Pracy“
I Ojczyźnie nieszczęśliwej.
A daj sercom skarb bogaty
Cnoty — cnoty tej prawdziwej,
Która zbliża nas do nieba,
Która daje siłę ducha...
Wtedy zniknie z ziemi bólu
Noc upadku — czarna — głucha!

P. M.



Wigilijna wieczerza.

(Z powieści poetycznej p. t. „Lucyan Doręba.")

O ty, co już oddawna do snu pacholęta
Kołysałaś nadzieją, witaj wilio święta!
Komuż twe tchnienie błogie trosk nie spędzi z czoła,
Gdy srebrny twój dzwoneczek do pasieki zwoła
Wszystkie pszczółki pokrewne, rozpierzchłe po świecie,
Iżby w jej nieprzekwitłym serdeczności kwiecie
Nektar ssały ożywczy? Któż w rodzinnym gwarze,
Nie odtaje, promienne w koło widząc twarze,
Gdy *gwiazdka* po wieczerzy przy blasku choinki
Z rańtucha swego sypać zacznie upominki?
Coraz ciemniej! już miesiąc po niebiosach płynie,
Więc pospieszajcie młodzi, bo was *gwiazdka* minie!...
Jakoż szybko się w pary zebrano i w salę
Długi orszak biesiadny ruszył okazale.
Tu w kandelabrów kilku rozblasku rzęsistym
Jaśniał stół wielki, jednym kryty, jak śnieg czystym
Obrusem; na nim liczne, by zagrody sioła,
Grupy sreber, talerzy lśniły się dokoła;
W środku zaś do kościoła dla swego ogromu
Podobny, sterczał strucel, chluba pani domu...
Podczas gdy z dużej wazy w talerze rozliczne
Strumień mlecznej polewki lał się, balsamicznie
Szerząc tartych migdałów zapachy po sali,
Staropolskim zwyczajem wszyscy się łamali
Opłatkiem na pamiątkę snać *agap* odwiecznych,
„Do siego roku!" mówiąc wśród ściśnień serdecznych...
Wśród śmiechu, jaki zabrzmiał wraz w biesiadnem kole,
Karp w sosie z rodzynkami zjawił się na stole.
Po karpiu z rodzynkami dwie nowe potrawy
Stół okrążyły zwolna, lecz radzca ciekawy
Nie był owych przysmaków, racząc się węgrzynem,
By głos krzepić i rybę złotym zalać płynem.
Trudno bo w równej mierze wszystkie uczcić dania,
Których liczbę kanony starego podania
Podniosły do dziewięciu, zwłaszcza ,że dostatni
Dom soli z pieprzem w numer nie wlicza ostatni.
Wreszcze kulminacyjny punkt nadszedł wieczerzy,
Kiedy szmerem radosnym dzieci i młodzieży
Powitane wpłynęły na stół kluski z makiem.
Któż z nas śmiałby prawdziwym zwać siebie Polakiem.
Gdyby gardził tym miodu wytworem i ciasta,
Którym pewnie Rzepicha już raczyła Piasta?
Czem pączek bez nadzienia, święcone bez szynki,
Sniadanie bez nalewki, bez tańców dożynki,
Czem jarmark bez pierników, bez intrygi dramat,
Biesiada bez toastu, twierdza bez kazamat,
Czem mędrzec bez systemu, a ptaszek bez pierza,
Tem jest bez klusek z makiem wilijna wieczerza.
To też apetyt wszystkich, choć w długim turnieju
Biesiadnym zemdlał, niby lampa bez oleju,
Na widok ich ostatnim buchnął jeszcze błyskiem;
Tak tancerz całonocnem znużony igrzyskiem,
Zaledwie mdłe już nogi w takt walca układa,
Lecz niech przez okno sali zajrzy jutrznia blada
I mazur biały zagrzmi, wraz żwawo podskoczy
I znów, hołubce bijąc, w pląs idzie ochoczy.
Za to nietknięte prawie inne przeszły dania....

Ludwik Mizerski.



Noc wigilijna.

Nadeszła święta błogosławiona noc.

W tę noc Syn Boży stał się niegdyś człowiekiem, by nauczyć grzeszną ludzkość cierpieć i mocą cierpienia potęgę grzechu zwyciężać, i uprosił Ojca niebieskiego, by w nagrodę mąk przebytych ta jedna noc do roku stała się nocą powszechnej radości i zapomnienia. I odtąd przez wieki, gdy nadejdzie wielka rocznica, powtarza się tajemnica Pańskiego przemienienia i łaska Boża spływa na świat.

Cisza uroczysta, pełna tajemnej trwogi, zaległa przestrzenie.

Świat cały czuwa i gotuje się na spotkanie wielkiej godziny, jedna tylko ziemia, ufna jak dziecię w wiekuistą moc przebaczenia, spokojnie odpoczywa w miękkich puchach śnieżnych.

I oto oczekiwana chwila nadeszła...

Księżyc wzniósł wysoko nad czołem swój srebrzysty świecznik, zlewając na struchlałe światy morze przeczystego bladobłękitnego światła, zaskrzepła noc i znieruchomiały migotliwe gwiazdy w głębiach niebieskich, zdając się słuchać głosu tajemnego przeczucia, co opływał wszechświat myślą bezdźwięcznych słów:

— Cicho... oto się staje tajemnica odkupienia... Cicho!...

I, słychać w tej ciszy, jak serce wszechświata uderza świątobliwą grozą.

Staje się!

I naraz jak niegdyś przed wieki, gdy dziecię Jezus zstępowało na ziemię — zaszumiały lotem niewidzialnych skrzydeł ciche szlaki niebieskie i w cichych przestrzeniach, jak dalekie brzmienie złotych trąb, zwiastujących jutrznię, rozległ się radosny hymn niebieski.

— Już się stało, co było obiecane.

— Hosanna, hosanna, Zbawiciel się zrodził!

Pieśń przeczystych duchów skrzydlatych rozlewała się, jak zapach świętych kadzideł, po ciemnych błękitach nocy, przepajała deszczem senne mroki zaświatów, rozelśniła radością struchlałe gwiazdy na niebie i po rozpiętych strunami dźwięcznych harf promieniach księżyca spłynęła na śpiącą ziemię.

I ocknęła się ziemia ze snu znieczulenia. Ocknęła się i z miliona milionów piersi jej synów zaczęły także wzbijać się ku niebu dziękczynienia.

— Żeś za nas cierpiał, żeś za nasze winy śmierć na się przyjął krzyżową — bądź pochwalony!

Świat cały połączył się w jednym chwalbiącym chórze.

A Zbawiciel siedział na swym tronie i słuchał, lecz radość nie napełniała serca Jego; i spoglądał na tę ziemię, której złość chciał zatopić we krwi swojej i męce, lecz smutnem było Boskie Jego oblicze. Nie wszystkie głosy, wznoszące się od tej ziemi, były przepojone weselem, nie dla wszystkich serc zgotował przez swą mękę chwilę zapomnienia.

Jak ciche strumyki, kryjące się trwożliwie w bujnej zieleni traw nadbrzeżnych, jak nikłe dymy, ginąc w poświa-



cie dnia słonecznego — w powodzi radośnych głosów ze wszystkich krańców ziemi wzbijały się ku górze głosy nabrzmiałe cierpieniem i smutkiem, łączyły się wzajem, perłami gorzkich łez toczyły się po stropie niebieskim i konały cichą skargą u stóp Zbawiciela.

— O Boże, Odkupicielu, wszak i Ty jesteś synem — za wszystkie radości ziemi naszą Matkę nam wróć.

I widział Zbawiciel: jak liście przez zimne jesienne wiatry daleko od pnia rodzinnego na nagie pola rzucone, liście bite przez słoty i nogą deptane, tak w prochu i nędzy, w rozpaczy i zwątpieniu słaniały się po ziemi liczne do upiornych widziadeł podobne postacie ludzkie.

To były dzieci opłakujące swą matkę.

I widział Zbawiciel dalej: Skuta kajdanami, w brudnych łachmanach i z krwawemi ranami, na łonie leżała na chłodnej ziemi niewiasta. I smutno było, pusto dokoła leżącej, tylko czarne kruki wrzaskliwymi rojami krążyły nad jej głową, i to się zniżały nad nią, godząc łakomymi dziobami w rozwarte rany łona, to znów spłoszone jej cichemi westchnieniami podrywały się z wrzaskiem gniewu ku górze.

To była matka opłakiwana.

Długo wpatrywał się Zbawiciel wzmartwiałe cierpieniem oblicze niewiasty, aż z jego przygasłych smutkiem oczu wytoczyła się łza, która złotym błyskiem spadającej gwiazdy przerznęła ciemne przestrzenie nocy i padła ożywczą rosą na czoło leżącej.

— Niewiasto — ozwał się łagodny głos z góry — tobie powiadam, wstań! Wszak ta noc jedyna z pasma dni i nocy jest mi przez Ojca mego za moje cierpienia darowaną! Wstań, niewiasto, utul dzieci twoje, niech nie mącą żalami wesela nocy dzisiejszej.

I stał się cud.

Mocą Boskiego słowa podźwignięta z łoża boleści wstała ta, co przed chwilą była wcieleniem niemocy, lekką mgłą wzniosła się ku górze i stanęła w obłokach, widna po wsze krańce świata, noc opłynęła jej królewską postać powłóczystym, gwiazdami tkanym płaszczem, księżyc osiadł koroną srebrnych blasków na jej czole.

I ujrzały ją tęskniące za nią dzieci. Jak promienne słońce tęczą zachwytu zajaśniała naraz w ich załzawionych źrenicach, i skarga zamarła niedopowiedziana w tysiącach rozełkanych piersi, a na tysiącach ust zadrżał szept niemego uwielbienia.

— Matka, matka ukochana!...

A ona ogarnęła ich wzrokiem tych których sroga przemoc wydarła z jej objęć i którzy szukając jej rozbiegli się po całym świecie, wszystkich tych, którzy za nią lub dla niej cierpieli, i zmartwiało w jej piersiach serce. Wielu ich było, wielu cierpiących!

I wszyscy wyciągali teraz ku niej ręce i ze wszystkich piersi rwał się jeden okrzyk błagania.

— O matko nasza, nie opuszczaj już nas więcej, utul nas na swem łonie, bośmy biedne i sponiewierane twe dzieci bez ciebie!

Porwały się jak skrzydła do uścisku matczyne ramiona, lecz zgrzytnęły tyl-

ko złowrogo kajdany, wżerając się do kości w biedne spętane ręce.

Dwie krople mętnej krwi wystąpiły na jej oczy z dna suchej krynicy dawno wypłakanych łez!

Żal stokroć zwiększony przeorał bólem serca tych, którym na krótką chwilę zabłysła już złota gwiazda nadziei. Jak dojrzałe kłosy, bite skrzydłami burzy, padały w proch ich głowy i rozpacz szalejąca w głębi starganej duszy bryzgała pianą bluźnierstwa na usta.

— O, przeklęta bądź godzino naszego poczęcia, przeklęte niech będą moce, które nam sieroctwo zgotowały!...

I na objęte śmiertelnym cieniem czoło niewiasty znów spłynął dotknięciem lilii przeczysty wiew niebieski.

— Niewiasto, tobie powiadam, wstań! Idź szukać miłości w sercach tych dzieci, które nie rozłączenie nauczyło tęsknić za tobą; a gdy znajdziesz jej tyle, że rozkują twe pęta, skończy się niedola twoja.

Nadzieja, wonna róża, rozkwitła w biednem zbolałem sercu. — Tyle tylko miłości, by jej starczyło na rozkucie pęt, jej pęt — matki!!

I poszła najpierw tam, gdzie wspaniałe pałace dumnie bodły niebo wieżycami, skąd najdalej naokół rozlegały się odgłosy hucznej zabawy, a rzęsiste światło, wylewając się przez kryształowe szyby, biegło daleko w ciemne noce promiennymi potokami. Wszak tu miały swoje siedziby najstarsze, najszczęśliwsze z jej dzieci, wypieszczone na jej macierzyńskiem łonie, — te powinny największą żywić dla niej wdzięczność!

Zabrzękły złote wrzeciądze bram ostrołukich...

Gdy stąpiła na białe marmury schodów, po których, jak krwawe węże, pełzały purpurowe odblaski świeczników, zawahały się pod nią na chwilę znużone nogi, lecz nadzieja dodała jej otuchy. Ze drżeniem stłumionego pośpiechu weszła do pięknych komnat, czuła już na swych oczach łzawą wilgoć podstępującej z głębi duszy radości — i naraz zimne skrzydła lęku załopotały dokoła jej serca. Oślepiła ją nadmiar jaskrawego blasku, [illegible] [illegible], pośród którego tylko ona sama [illegible] wyglądała i jak brudna [illegible] plama na [illegible] kobierców. Stanęła w progu strwożona, cicha, nie śmiejąc oczu podnieść, ni drżących ust otworzyć, i tylko kajdany szczęknęły głucho na ku nie wyciągniętych dłoniach.

I poznały ją te najstarsze, najszczęśliwsze z jej dzieci.

I nagle skonały na ściętych trwogą ustach weselne okrzyki, strach sinolicy usiadł im na piersiach, i źrenice zabiegały błędnie, jak u zbrodniarza, gdy przed oczyma stanie mu widmo zamordowanej ofiary.

— To ona — rozległ się pierzchliwy szept — ona!...

[illegible] się w dzikim popłochu, tłoczyli się w kupie jak stado jagniąt, na które orzeł uderzy, a na zbielałe wargi — jak perły z mętnego dna wzburzonego morza — wybiegały z głębi duszy słowa dawno zaniedbanej modlitwy.

— Zmiłuj się nad nami!... Któryś za nas cierpiał rany, zmiłuj się nad nami!



I już łkania pokutnego żalu zaczęły się rozlegać w tłumie, lecz ta, która w nich trwogę obudziła, była sama tak pełna trwogi, tak słaba i żebrząca litości, że odwaga zaczęła zwolna wstępować do ich serc.

I zaczęli ostrożnie zbliżać się ku niej, otoczyli ją kołem, podziwiali jej brudne, krwią pozlepiane łachmany.

Tak, to nie mara była, to ona! Ona i żywa. Żywa, lecz taka słaba, tak pokornie chyląca się przed nimi całą swą postacią, że resztki zabobonnej trwogi szybko stopniały w ich piersiach, ustępując miejsca dawnej butie.

I posiedli już dokoła niej z dumnie wydętemi wargami, zaczęli spoglądać na nią z góry, pytali — coby była za jedna i czego sobie życzyła!

Zatrzęsło się serce w piersiach matki.

Czego sobie życzyła — wskazała im swoje spętane ręce — czyż wyście nie dzieci moje!

Urągliwy śmiech ze zgrzytem gniewu wydarł się ze wszystkich piersi.

— Ha więc takie, tylko takie jest twoje życzenie, nigdy nie pogodzisz się z koniecznością!

Gniewem zapałały ich oblicza i posypały się złorzeczenia na jej schyloną głowę, a w uszy każdemu dzwonił głos zaniepokojonego samolubstwa.

— Tak, ona się nie uspokoi nigdy, nigdy... przynajmniej tak długo, póki choćby iskierka życia będzie tleć w jej piersiach. Nigdy nie da wam w spokoju zażywać waszych dostatków, wiecznym wyrzutem sumienia będzie stała przed oczyma.

[illegible]

Gorącą falą [illegible] mózgów, [illegible] [illegible] rozszerzone [illegible] ogniem.

I nagle ta, której serca sięgały już [illegible] tych źrenic, podniosła oczy. I [illegible], nie dokonawszy rozpoczętego dzieła. Jedno to spojrzenie [illegible] spętało lękiem ich wolę.

[illegible] matka! pozostała sama. [illegible] kajdana [illegible] wołała [illegible] żelazo: przeklęte bądź wy, coście morderców na świat wydało! Przekleństwo wam, dzieci niegodne, aż po dzień zagłady rodu waszego, przekleństwo!..

Zachwiało się niebo od tej klątwy, rzuconej z rozdartego matczynego serca. Obudzili się ze snu śmierci sławni przodkowie wyrodniałych dzieci, obudzili się ci, co po całym świecie z ochotą kładli swe kości za matkę w ofierze, i napróżno gryźli w męce swe trumny zbutwiałe, by powstać jako nieubłagani mściciele, a ziemia stękała od tych nadaremnych wysiłków i głuchem echem z za grobu wtórowała: — przekleństwo!...

I rozpacz beznadziejna gęstą pomroką zasnuła kraj cały i już żaden promyczek światła nie zwiastował nadejścia lepszej doli.

Lecz wszechwidzące wejrzenie Zbawiciela przeniknęło mroki, a od tego wejrzenia jasniej zrobiło się w duszy matki nieszczęsnej i pamięć powróciła do jej skołatanej głowy.

Wszak nie wszystko jeszcze było dla niej stracone! Pozostały jej jeszcze liczne zastępy dzieci, uboższych wprawdzie, lecz może z większem uczuciem w sercu. Do nich iść musi żebrać miłości nie dla siebie samej, lecz dla tych, na których modły Bóg ją z niemocy podźwignął i może zostanie wysłuchana.

I poszła dalej w swą drogę, złowrogi brzęk kajdanów mając za towarzysza, znacząc swe ślady serdeczną swą krwią, co ociekając po strzępach odzieży zastygała kroplami na zimnem obliczu ziemi.

Ze wspaniałych pałaców zstąpiła do białych dworów wiejskich i długo chodziła po rodzinnej swej ziemi — jak ten kraj długi i szeroki — lecz prawdziwego uczucia, takiego uczucia, któreby przez miłość dla niej kazało [illegible], nigdzie nie [illegible].

[illegible] nie wypierali się jej [illegible], wszystkim jej widok wyciskał z oczu łzy [illegible], byli wesprzeć [illegible] uczucie [illegible] nich nie sięgało. Zamiast miłości wzbudzała [illegible] bojaźń, lękali się jej cienia, lękali się łez własnych, spoglądali na nią jak na osobę blizką

wprawdzie i drogą, lecz której chwile już są policzone, i przytem umierającą na chorobę zaraźliwą, która z łatwością mogła się udzielić wszystkim z nią obcującym.

I w sercu biednej matki wygasła ostatnia iskierka nadziei.

— O Panie! — szeptała, korząc się w proch na ziemi — zgaś płomiennym piorunem bladą iskrę mego żywota, bom niegodna zwać się matką, któram w sercu własnych dzieci miłości wpoić nie umiała. Otom uczyniła wedle



Twego rozkazu i nie masz dla mnie wybawienia, nie masz końca niedoli!..

Lecz niebo było spokojne i zimne, żaden głos więcej nie przynosił jej ukojenia, tylko wrzaskliwe stada kruków znów poczęły chmurami zbierać się nad jej głową.

Suche łkanie, podobne do chrzęstu łamanych stawów, targnęło jej piersią.

— Ziemio moja — jęknęła — nadziejo promienna, żegnajcie mi, żegnajcie!..

Oczami, których źrenice zdawały się być wyżarte smutkiem bezedna, zaczęła błądzić dokoła, wpatrywała się w oblicze tej ziemi,co jedna była powiernicą i świadkiem wszystkich jej cierpień, i naraz serce drgnęło w jej piersiach przypływem nowej otuchy.

Zdaleka, zdaleka, jak klejące się do snu oczy dziecięcia, błyskały nisko nad ziemią małe światełka. Poznała je. Tam tuliły się do łona ziemi rodzicielki najmłodsze, najbiedniejsze jej dzieci, bosa siermiężna gromada.

Do tych światełek wyciągnęła swe dłonie.

— O wy, wy zapomniani i wydziedziczeni! litości, już tylko litości żebrzę u progu chat waszych. Nad litość — niczego więcej nie mam prawa od serc waszych żądać!...

Ostatnim wysiłkiem woli podźwignęła się z niemocy.

I zaledwie wstała, zawrzały nad nią głosem trwogi nieprzeliczone gromady kruków, a w głębi boru — jak zły duch na uwięzi — jęknął między drzewami wiatr, który za chwilę zerwał się już srogim wichrem, wypadł na pola i zaryl się przed nią rogami w śnieżnej zamieci, wyrzucając pod niebo kłęby śnieżnych pyłów.

Burzę miała nad głową i burzę przed sobą.

I im dalej szła, tem bardziej rozsrażały się przeciw niej złowrogie moce, skrzydlata chmura uderzała na nią z góry, bijąc szponami po oczach i twarzy, wicher plul kurzawą i wydzierał przepaście pod stopami, lecz ona nie ustawała, przeznaczenie mając za przewodnika.

Wreszcie wichry targnęły się, jakby chcąc ziemię z posad wyważyć, złowieszcze ptaki raz jeszcze spadły na nią zbitą masą skrzydeł, wrzasnęły żałośnie i rozpierzchły się we wsze strony świata, jak szare strzępy chmury, piorunem rozbitej.

Otwarły się drzwi do nędznych i dusznych chat wiejskich.

I ledwie stanęła w progu, tysiące twardych zarobionych ramion wyciągnęło się do niej i z tysiąca piersi zagrzmiał jeden zgodny okrzyk.

— Matka, matka!... Przyszłaś do nas biednych, przyszłaś, matko dobra! O, myśmy długo czekali na ciebie, tęsknota wyssała nasze serca, sieroce łzy gasiły przez długie czasy radosne blaski naszych źrenic, lecz teraz już ty zostaniesz z nami, zostaniesz na wieki!

I cisnęli się ku niej, ogłuszonej nadmiarem szczęścia, jak pisklęta pod ciepłe macierzyńskie skrzydła, całowali rany na jej łonie, zmywali z nich łzami krew zaskrzepłą.

I Bóg miłosierny zesłał w tej chwili aniołów swoich, by zbierali te pocałunki i łzy chłopskie w kryształowe naczynia, i za każdym razem, gdy naczynie wypełniało się po brzegi, zasklepiała się jedna rana na łonie matki cierpiącej i pękało jedno ogniwo kajdanów.

I już więcej w tę noc wigilijną nie wzbijały się do stóp Zbawiciela głosy smutku i skargi.

* * *

A Zbawiciel spoglądał na tę ziemię, której złość chciał zatopić we krwi swojej i męce i radością jaśniało Boskie Jego oblicze, bo oto nie napróżno cierpiał: przez mękę swoją i śmierć na krzyżu okupił dla świata całego jedną noc wesela.

P. K.

Wigilia sieroty.

(Do illustracyi.)

Wigilia!... ileż uczuć w tem słowie się mieści,
Ileż marzeń, rodzinną otoczonych wonią,
Kiedy blady samotnik z pochyloną skronią,
Cichem chwil tych wspomnieniem tęskną duszę pieści,
Gdy wrząca wyobraźnia chwil ubiegłych żąda
I dawno zapomniane odsłoni obrazy,
To jak gdyby grobowe odchyliwszy głazy,
Dawno zgasłe oblicze wzrok duszy ogląda.
Biada tym, co tych wspomnień nie znają słodyczy,
Co nigdy rodzinnego nie mieli ogniska
Bo trumnę czarną niegdyś witała kołyska,
I nad skronią dziecięcia wrzał kielich goryczy.
A los smutny ich wysłał w tę drogę tajemną,
Gdzie samotność swe blade rozpostarła szaty,
I żądza pierś zatruła tęsknotą daremną,
A świat ten, tak wielkiemi czuciami bogaty,
Nic nie dał.. bo mu serca zbrakło dla sieroty,
Nic nie dał, coby wiek jej osłodziło złoty.

Mrok posępny i cisza — oto ich rodzina,
To blade towarzysze zapomnianej doli,
I samotność, co chłodem krew w piersi im ścina,
I niedola, co więzi ducha, lot sokoli.
I cisza wkoło... cisza posępna, grobowa,
Jakby śmierci anioła lodowate tchnienie,
Ni dźwięku ust kochanych, ni pociechy słowa,
I tylko drżą wśród mroku księżyca promienie,
Co na postać schyloną szyderczo spogląda,
Że jest duch, jak on blady w samotności ciszy,
Że jest duch, co bratniego głosu nie usłyszy,
I tylko zapomnienia i ciemności żąda.



Rysunek K. Pillatego. Wigilia sieroty.

O! bo straszny blask słońca dla samotnej duszy,
Gdy odkryje radośnie uśmiechnięte twarze,
Gwar tłumu wesołego tęsknoty nie zgłuszy,
Lecz szczęścia pozbawionym — czar szczęścia ukaże.
To jak gdyby przed nędzy żądnemi oczyma,
Odkryto bogactw skarby, gdy ich tknąć nie może,
Więc z zawiścią wzrok tęskny nad niemi zatrzyma,
I z większym idzie bólem na niedoli łoże.
I wrogiemi dłań będą braterskie oblicza,
I praw ludzkich potęga — wielka, tajemnicza.

Gdy każdy czeka chwili, aż na niebios fali,
Zwiastun uczty wilijne blask jasny zapali,
Gdy każdy dąży, gdzie go powita rodzina,
Ojciec dłońmi drżącemi błogosławi syna,
I nad stołem, gdzie ciche biesiaduje grono,
Jasna ducha miłości promienieje szata,
I pierś drży radosnemi czuciami bogata; —
Gdzież ci, którym rodzinnych słodyczy wzbroniono?
Gdzież ci, nad których łzawą, pochylona skronią,
Drżąca posępna gwiazda samotności świeci?
Gdzież wy, bladej niedoli zapomniane dzieci?
Czyż nikt was tu przyjaźną nie powita dłonią?
Wy, w których żyłach jeszcze krew człowiecza płynie,
Kiedy uczty rodzinnej już chwila przeminie,
Zajrzyjcie w tę krainę samotności ciemną,
Zajrzyjcie w otchłań nędzy i zapłaczcie ze mną

Patrzcie!... tam w ciemnej izbie, w samotności ciszy,
Jakaś postać schylona.. nie widzi, nie słyszy,
Tylko myślą sierocą w głębi ducha tonie,
Czy to nad księgą wspomnień pochylone skronie?
Czy może gdzieś w przyszłości ginie myśl daleka,
I z łańcucha niedoli wyzwolenia czeka?
Nagle zwolna podniosła wybladłe oblicze: —
Przed nią drżało światełko blade, tajemnicze,
Dzbanek wody i sucha okruszyna chleba,
To jej uczta wilijna, to hojny dar Nieba!
Spożyła... i nad pracą pochyliła skronie,
Tchnieniem ust własnych zimne ogrzewając dłonie.
Nagle głowa jej zwisła, zwarły się powieki,
I anioł snu myśl uniósł w kraj wspomnień daleki,
Gdzie, jakby w mgle tajemnej, niegdyś drogie twarze
Stęsknionej wrażeń duszy na chwilę ukaże.

Więc przed wzrokiem sieroty dawne lata kreśli,
Dawnych pragnień nadzieje, zawiedzione myśli,
Matkę na łożu śmierci z blademi licami,
Kiedy świat i sierotę żegnała ze łzami,
I wszystko co w tem życiu najdroższego miała,
A śmierci blada mara na wieki zabrała;
I pierwsze te posępnej samotności chwile,
I pierwsze łzy na świeżej wylane mogile.
I dalej... znowu śmierci konwulsyjne drżenie,
I bratni duch uleciał w krainę daleką,
Cisza... i jeszcze jedno czarne trumny wieko,
I samotność.. i nędzy lodowate tchnienie!..

Antoni Pilecki.



W święty wieczór.

(Opowiadanie wigilijne.)

Koledzy moi dawno już wyszli z biura, spiesząc każdy do stołu wigilijnego, aby w gronie familijnem złamać się opłatkiem na pamiątkę narodzenia tego, który zstąpił na ziemię, aby ludzi uczyć kochać i cierpieć. Nie wychodziłem, bo i pocóż i do kogo miałem się spieszyć? Sam, bez przyjaciół i rodziny, skazany byłem na samotność, która mi się co rok tego dnia jeszcze smutniejsza wydawała, jak kiedykolwiek. Wreszcie — cóż było robić, — przerwałem robotę i wyszedłem.

W mieście panował już ruch świąteczny, a światła w oknach nadające miastu jakąś cechę niezwykłą, uroczystą. Przez ulice tłum spieszył, potrącając się jeden o drugiego; ja tylko jeden wśród tej całej fali spieszącej się, szedłem krokiem wolnym, ociężałym, zdążając sam nie wiem dokąd i po co. Nie powiem, abym uciekał od ludzi, ale mi dziwnie jakoś nieswojsko było tego dnia.



Tak idąc, znalazłem się w jednej z ulic przedmieścia mniej zamieszkałego i to przez ludność prawie wyłącznie chrześcijańską. Na ulicy było pusto, ani żywego ducha. Śnieg zmarznięty skrzypiał pod nogami, odbijając się w świetle księżyca, jakby morze bryljantów. Łódka srebrna księżyca płynęła cicho po przestworzu nieba wyiskrzonego miljardem gwiazd, a ta błogą cisza w powietrzu usposobiła mnie tak, iż podniosłem w górę oczy z zachwytem, szukając mimowoli na tym kobiercu niebieskim owej gwiazdy betlejemskiej, mającej znowu zwiastować światu pokój i zbawienie.

Tu na przedmieściu wszystko już prawie zasiadło do wieczerzy, i z każdego niemal domu odzywały się bądź to uroczyste, poważne kolendy, bądź skoczne pastorałki, a wszystkiemu towarzyszyły śmiechy i radość, jakby w ten święty wieczór bieda wywędrowała gdzieś daleko, jakby nikt nie czuł troski przeciwności życia codziennego.

Zrobiło mi się niewypowiedzianie przykro, zadumałem się o mojej samotności, o chłodzie serc ludzkich i coś jak łza, zakręciwszy się w oku, spadła i zamarzła na wąsie, a z piersi mimowoli i wiedzy wymknęła się cicha skarga:

„Boże! czemuż jestem tak opuszczony.“

Znajdowałem się koło nędznego domku, na samym krańcu dalekiego przedmieścia. Chałupinka ta stała zaledwie widoczna wśród śniegu, okalającego ją niby wieńcem dokoła, zapadła była prawie do połowy w ziemię; sople lodowe zwieszały się z poddasza niby zęby olbrzymiego smoka, a dach wygiął się tak pod ciężarem śniegu, jakby lada chwila chciał pogrzebać to nędzne ludzkie schronienie. Tynk do połowy odpadły i okienka maleńkie z szybami zamarzniętemi i tu i owdzie pozaklejanemi papierem zadrukowanym, uzupełniały straszny obraz ruiny.

W jednem takiem okienku świeciło się światełko małe i migotliwe, jakby ostatnie drgania dogasającego życia, zamarznięte szyby zaledwie przepuszczały ten promyk światła. Cicho tu było tak, jakby wymarło wszystko, a jeszcze ciszej wyglądało wobec powszechnej wesołości i radosnych śpiewów.

Jakaś mnie opanowała dziwna ciekawość zajrzeć do wnętrza izdebki i zobaczyć, co robią jej mieszkańcy. Niebyło mi trudnem, gdyż rychło wyszukałem na szybach miejsce źle zaklejone, gdzie jednem okiem mogłem obserwować niepostrzeżony z wewnątrz.

Widoku, jaki mi się przedstawił, nie zapomnę nigdy. Na ścianach, z których nie kroplami, ale strugami spływała wilgoć, śladu już tynku nie było; z sufitu wyglądały ciekawie pęki trzciny i trzymające się na nich kawałki gruzu.

W kącie izby stała kuchenka rozwalona i do użytku już niezdatna; na niej kilka na wpół potłuczonych garnków. Resztę umeblowania stanowił zydelek o trzech nogach, oparty o ścianę i na jedynych dwóch deskach podłogi stojące łóżko, a raczej tapczan z garstką przegniłej i zmierzwionej słomy, przykrytej brudną i podartą płachtą.

W izdebce było pusto zresztą, tak mi się przynajmniej na oko zdawało; gdy w tem usłyszałem kaszlnięcie, a wytężywszy wzrok, przyzwyczajony już nieco do tego półświatła, ujrzałem w kącie barłogu dwoje maleńkich dziatek, przytulonych do siebie i drżących od zimna. Każde z nich trzymało w obu rączkach po jednej sporej, surowej i nawet nieostruganej marchwi.

Serce mi się ścisnęło na ten widok — na tę ucztę wigilijną — dwojga małych obywateli świata, rzuconych już od kolebki na pastwę losu, zrodzonych po to tylko, aby cierpieć — za winy niepopełnione.

Nie narzekałem więcej na samotność i opuszczenie, ale szedłem do domu smutny, z goryczą w sercu i z żalem do ludzi, że radują się częstokroć, niepomni na to, ile też drugich tysięcy w tej samej chwili cierpi głód i nędzę, czekając napróżno tej gwiazdy, zwiastującej światu miłość i braterstwo.

Adam Krajewski.



Przy choince.

(Z powieści poetycznej p. t. „Lucyan Doroba.“)

Dzwonek dźwięczny zabrzmiał raz, drugi i trzeci,
Nastała cisza, ku drzwiom rzuciły się dzieci
I wraz przed ich oczyma błysła smukła chojna,
W chorągiewki, girlandy, złote nici strojna,
Pełna cukrowych ozdób i w promiennym blasku;
Pod nią zaś w daktylowych palm schowana lasku
Stała szopka maleńka z złotą gwiazdą w górze,
Z pastuszkami, bydełkiem, królami w purpurze.
W tęż chwilę z fortepianu wypłynęły dźwięki
Dziwnie proste, a rzewne przesławnej piosenki,
Którą Polska rok rocznie, jak długa, szeroka,
Wita Boga w kolebce, z łzawym blaskiem oka.
Ksiądz proboszcz tę serdeczną nutę pierwszy basem
Pochwycił, za nim sopran dziewic, a za czasem
Wstydliwie się przyłączył i tenor młodzieży
I już głośno rozbrzmiewa hejnał: „W żłobie leży.“
Wtem zamęt wśród drużyny zrodził się maleńkiej,
Kiedy po drugiej zwrotce pieśni z za choinki
Z cicha się wysunęły dwie dziwne postacie.
Pierwsza z nich cudna, w jasnej, powłóczystej szacie,
Smagłej, kształtnej kibici, w spuszczonym welonie
Twarz swą na poły kryje. Nad czołem jej płonie
Blaskiem od świec odbitym śliczna gwiazda srebrna
Na znak widomy dzieciom, że to ta podniebna
Szafarka cacek, co przez cały [illegible]
Śledziła je, czy zawsze sprawiają się godnie.
Druga postać siwego dziada z długą brodą,
Ze śpiczastym kołpakiem, z twarzą dziwnie młodą,
W wilczurze przewróconej na wspak całkiem [illegible]
Niepokoje rzuciła w serduszka niewinne,
Bo wisząca u pasa jego rózga spora
Od razu w nim groźnego zdradziła *Gwiazdora!*
To też dziatki wnet sznurkiem klękły i pobożnie
Zaczęły swój paciorek, jednem oczkiem trwożnie
Patrząc na ową rózgę, drugiem zaś w krzesełka,
Gdzie się piętrzyły lalki, trąbki i pudełka.
Śliczna *Gwiazdka* z buziaczkiem świeższym od maliny,
Z ruchów dziwnie podobna do cioci Celiny,
Jedno dziecko po drugiem brała za rączęta,
By wskazać przeznaczone każdemu prezenta.
Gwiazdor tymczasem, słowa mruknąwszy przestrogi,
Zabrał się do odwrotu, lecz w połowie drogi
Zahaczył się o jakąś gałąź chojny krzywą,
Co mu z twarzy zerwała brodę z waty siwą.
Nazajutrz mała Lesia powiadała z rana,
Że wówczas w nim poznała pana „Lotelmana“..

Ludwik Mizerski.

Święto rodzinne.

Ściemniało już na dworze, kiedy radzca powrócił do domu. Po schodach szedł wolno, ciężkim krokiem, czując — jeśli tak można powiedzieć — parowanie fantazyi z duszy. Wszystko byłoby zresztą dobrze, gdyby mógł choć parę słów przemówić spokojnie, ale czyż od Adama poczawszy doszedł on kiedy z żoną do ładu?

„Kobiety mają swe fanaberye.“

Jako też zaraz w przedpokoju czuje na sobie stalowy wzrok małżonki. Stała w progu nieruchoma z załamanemi rękami, niby posąg Nioby na przysłanym przed kilku dniami prospekcie nowego tygodnika ilustrowanego o przedpłatę.

— Bój się Boga człowieku, więc ty i w taki dzień nawet...

Radzca poczerwieniał. Więc on to niby z własnej woli... Albo się ma stosunki, albo się ich nie ma — to trudno. Nie można żyć jak dziki człowiek...

— Zrobię awanturę — jak Boga kocham zrobię awanturę myślał, szukając w duszy odpowiedniego wywaru.

I byłby awanturę uczynił, lecz Zdziś, który korzystając z nieobecności matki wpadł do pokoju, gdzie się stroiła choinka, aby zerwać jabłko, w tej chwili w pośpiechu się przewrócił, co spowodowało znów, iż Kazio starający się w kuchni wydłubać sandaczowi zapałką oko, zadrżał nagle i bezwiednie przewrócił garnek z ukropem na ulubionego kota panny Zosi. Kot ryknął i jak oszalały rzucił się przez otwarte drzwi do stołowego pokoju łbem w lustro, strącając mimochodem kilka talerzy ze stołu, co widząc panna Zosia, zdenerwowana od samego rana, wybuchnęła głośnym spazmatycznym płaczem...

Radzca przymknął oczy. Po chwili usiadł ciężko na krześle, chwycił się oburącz za głowę i wyszeptał:

Boże, Boże... kiedyż mi dasz nareszcie odpoczynek wieczny...

Radzcyni stała nieruchoma z załamanemi rękami, po policzkach łzy jej ciekły...

— Bój się Boga człowieku... jakiż ty przykład dzieciom dajesz... w taki dzień... w takie święto... Gdyby nie inni, co jeszcze Boga w sercu mają, tybyś nawet na wieczór na wigilję do domu nie wrócił...

I radzcyni rozpłakała się serdecznie.

— Nieboszczyk mój ojciec w taki dzień z domu już nie wychodził... Pomagał, drzewko dzieciom stroił, ale jego to obchodziło, on nas kochał... a ty... żebym tak umarła to nie wiem coby się z niemi stało... do ludzi by musiały iść na łaskawy chleb... biedne sierotki... Ty, ty... potworze! I radzcyni przyskoczyła z zaciśniętemi pięściami do męża, grożąc mu pod nosem.

Tego już było za wiele. Radzca zerwał się z krzesła, jakby wysadzony dynamitem.

— A niech was wszyscy djabli porwą... Dobrze... pójdę sobie... dość mam tego... żeby człowiek we własnym domu chwili spokoju nie miał... Nie wiedział Pan Bóg jak mię za moje grzechy skarać... W hotelu przenocuję... I uciekł, zatrzasnąwszy drzwia-



mi. Radzcyni dostała spazmów, bo w tej właśnie chwili jeszcze panna Zosia goniąc Kazia wywróciła doniczkę z palmą w saloniku. Radzcyni pochwyciła Kazia w objęcia i usiadłszy na kanapie poczęła nad nim głośno lamentować.

— Biedactwa wy moje... Już nie macie ojca... Sierotki nieszczęśliwe! Kaziowi łzy zakręciły się w oczach, ale na szczęście z kuchni przybiegła służąca wzywając natychmiastowej pomocy pani do ocalenia nieudającej się leguminy. I w czasie obowiązków obeschły powoli łzy radzcyni.

A w godzinę potem powrócił do domu radzca. Szedł po schodach wolno — czując jak mu się łzy w duszy zbierają. Biedna kobieta, taki dzień, takie święto, a on ich opuścił.

W mieszkaniu już wszystko było uporządkowane, przygotowane.

Stół nakryty białym obrusem na sianie. — Dzieci wyczekiwały przy oknie pierwszej gwiazdy. I gdy zabłysła, a wszyscy zasiadając do wigilijnego stołu poczęli się dzielić opłatkiem, resztki gniewu i żalu uleciały z serca radzcyni.

Wigilja powiodła się znakomicie. Radzca był w znakomitym humorze i choć mu słuchu i głosu poskąpiła natura, sam pierwszy po kolacyi zaintonował pieśń kolendową.

Dobył tak wdzięcznego głosu baraniego, że się Józef stary nastraszył od tego, już uciekać myśli, ale inni przyszli, Hej kolenda, kolenda!

Kwowadys.

Zwycięzca z pod Sedanu.

W czasie pobytu w jednym z *badów* cesarstwa niemieckiego (szlachetne zdrowie zmusza nas przecież niekiedy do wyjazdu za granicę) byłem świadkiem uroczystego obchodu rocznicy „Sedanu,“ święconej w Niemczech, co roku. Inicyatywę do niej daje zazwyczaj miejscowy „Kriegerverein,“ tj. tyle, co stowarzyszenie weteranów.

Spodziewałem się większego zapału, podnioślejszego nastroju w czasie tak ważnej rocznicy — znalazłem jednak bardzo słaby współudział miejscowej ludności. Przypuszczam, że motywem był tu może także wzgląd na obce narodowości (szczególnie Francyę), z której liczni i zamożni goście przybywali co roku w sezonie letnim na ziemię niemiecką.

Muzyka odegrała: *Die Wacht am Rhein*, potem *Lieb' Vaterland magst ruhig sein.* Weterani w odświętnych mundurach i ustrojonych w zieleń „pikelhaubach“ defilowali przez miasto i na zakończenie złożyli wieniec na pomniku dla poległych za ojczyznę.

Wyszedłem i ja także oglądnąć szczegółowo ten pomnik, na który przedtem nie zwracałem wcale uwagi, tak mi się wydał niepokaźny.

Na jednym z placów mniejszych stoi niski obelisk z piaskowca, zakończony państwowym orłem z bronzu w pozycyi, gdy zrywa się do lotu. Z czterech stron obeliska tablice marmurowe z wyszczególnieniem bitew, nazwiskami poległych i następującą na samym froncie sentencyą:

Wer so wie Ihr für's Vaterland gelebt!
Wer so wie Ihr den heiligen Schwur gehalten
Der soll in unseren Herzen ewig leben!

Poległym obywatelom tej miejscowości
Kriegerverein.

A więc nie ludność postawiła ten pomnik swym obrońcom, tylko koledzy, którzy wyszli cało z placu boju. Koledzy także, jak świadczy szarfa uczepiona, ofiarowali poległym w rocznicę Sedanu wieniec — co prawda, więcej niż skromny, z samych astrów. Pocóż robić niepotrzebne większe wydatki, kiedy kwiaty zwiędną, a uwieńczonym nie przyniosą i tak „żadnej korzyści.“ Ta filozofia praktyczna była najpewniej myślą przewodnią inicyatorów uroczystości sedańskiej.

Przeszedłem wzrokiem spis poległych i nagle zastanowiło mię jedno nazwisko niezwykle, umieszczone wśród Schulców. Mayerów i Müllerów:

BARTEGG.

Ten Bartegg coś mi ogromnie na skoszlawione imię naszego Bartka wyglądał. Ale dlaczego miało być tylko imię podane, kiedy na marmurowej tablicy wyryte były nazwiska poległych żołnierzy? coś mię jednak ciągnęło, ażeby przecież dowiedzieć się bliżej: co to za jeden ten Bartegg, który, jak głoszą słowa pomnika, ma za swą waleczność: *ewig in unseren Herzen leben!* — i usiłowania moje nie poszły na marne.

. . . .

Nazywał się Bartek Chrząszcz, a urodził się w Toruniu. Ojciec odumarł go wcześnie, został sam z matką, która pracowała ciężko, by dziecko i siebie wyżywić ,bo ojciec, wyrobnik prosty, nie zostawił im ani złamanego feniga.

Kiedy się z Bartka zrobił tęgi wyrostek, jął matce pomagać i coraz więcej marek przynosił do domu.

— Moja ty pociecho — mówiła gładząc go po płowej czuprynie — niech cię Bóg błogosławi za to, żeś taki poczciw.

— Gadasz matka, toć bych chyba był pies, żebym ino żar, a nic nie zapracował.

— A są inni gorsi.

— Różni som ludzie.

— Kiedy bo ty jeszcze nie człowiek; czternasty rok — prawie dziecko.

Wierzyć się nie chciało, że Bartek taki był młody. Rósł, jak świerk w lesie i jak konary silne miał ramiona — nie dziw więc, że go mimo dziecięcej prawie twarzy chętnie każdy brał na dniówkę, wiele sobie obiecując po takim robotniku.

Ale raz przyszedł ogromnie markotny do domu.

— Bartek! co ci to? — pytała matka zalękniona, czyś przypadkiem nie stracił roboty?

Bartek chodził długo po izbie, trzaskając w palce, wreszcie wybuchnął.

— Powiedzcie mi matulu, skąd my wzięli takie dziwne nazwisko: *Chrząszcz?*

— Ojciec był rodem z pod Krakowa i ja także stamtąd pochodzę. Takie miał nazwisko po dziadach i cóż ci ono wadzi?

— Mnie nie wadzi — ino Niemcom wadzi, żaden śwab go wymówić nie może. Nam z tym wielgo bida.

— Co któremu podyktuje do spisu robotników moje nazwisko... każdy ino rozdziawi gębę i pyta:

— *Wie heist Kszontcz? — unaussprechlich.* (Co to jest Kszontcz? — wyraz nie do wymówienia.)

— Tak ja wtedy mówię: Bartek.

— No, i co oni?

— Ano pisom — Bartek, ale jakoś tak nijako być przez nazwiska.

— A może śmiejom się z ciebie huncwoty?

Bartek zamiast odpowiedzi wyszczerzył rząd białych jak u wilka zębów i podniósł w górę pięść silną jak młot.

— Nie, nie śmiejom matulu, boby zapamiętali.

Raz przyszedł Bartek mocno rozpromieniony do domu i ledwie drzwi otworzył, zawołał głośno:

— Matulu! jedziewa!

— Gdzie? kej? co ci w głowie świta?

— Do Homburga, a tam się ano zjezdzają panowie na kąpanie z całego świata.

— A skąd ci to przyszło synku?

— Zgodził mnie jeden śwab za furmana, bo nawet mundur cały dostanę.

I Bartek z matką przeniósł się do Homburga, gdzie mu się tak dobrze zaczęło powodzić, że nawet i zamarzyć o tem nie mógł. A już największą miał radość, kiedy mógł, do którego z bogatych panów zagadać po swojemu, po polsku. Widział wtedy, jak się rozpogadzała twarz takiego gościa i tak, jakoś patrzył na niego serdecznie niby brat i najbliższy. Bywało też często, że numer 3 dorożki, którą powoził Bartek, odrazu kilka miał zamówień. Matula zaczęła składać zbytni grosz do pończochy — i było im dobrze.

Czasem, gdy który z właścicieli dorożek dawał dzielnemu stangretowi lepszą ofertę, szedł Bartek na sezon do Kiesingen, Wiesbadenu lub Nauheim.

Nastał rok wojny fran[illegible]kiej i — Bartek poszedł.

Matula nie płakała dlatego, żeby się bała o swoją przyszłość, bo grosza już nawet i na stare lata już mieli uciułanego dosyć — jeno żal jej było, jeno ból ściskał, jeno trwoga okropna szarpała to serce matczyne na myśl, że może utracić na zawsze takie dobre, takie złote dziecko!

Bartek także w chwili rozstania ryknął okropnie, ale wkrótce łzy otarł i wesoło spojrzał przed siebie.

— Nie martw się matuś.

Już ja się im nie dam tym Frajcuzom — mówił, uderzając potężną pięścią o rękojeść bagneta — a lepiej będzie dla mnie, że się w wojsku po niemiecku nauczę.

I bił Bartek, bił co się wlazło; był strasznym w boju jak demon zniszczeczenia, jak sam bóg wojny.

— *Ein brawer Bartegg, tüchtiger Soldat* — mówili przełożeni.

Pod Sedanem rozgrzany alkoholem, podochocony raźnymi tonami marsza polskiego szedł, jak szalony, jak opętany przez furye — na bagnety. I gdzie ujrzał francuską kepi lub hełm kirasyera, ścielił gęstym trupem drogę.

Raz gdy wbił wrogiemu Francuzowi bagnet w pierś, usłyszał słowa, zawołane głosem okropnym, po swojemu, po polsku:

— Matko najświętsza!

Bartek zdrętwiał, stracił przytomność i wtedy go zabili.

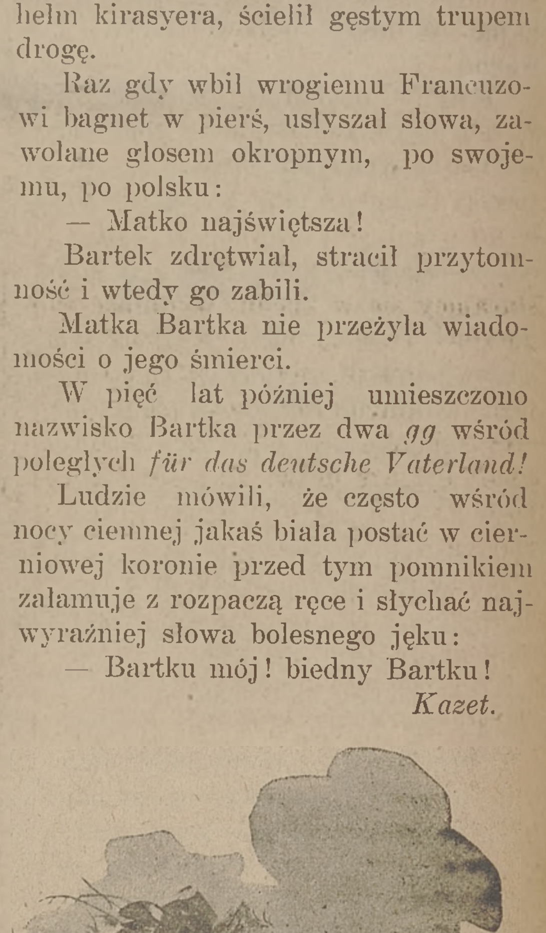
Matka Bartka nie przeżyła wiadomości o jego śmierci.

W pięć lat później umieszczono nazwisko Bartka przez dwa *gg* wśród poległych *für das deutsche Vaterland!*

Ludzie mówili, że często wśród nocy ciemnej jakaś biała postać w cierniowej koronie przed tym pomnikiem załamuje z rozpaczą ręce i słychać najwyraźniej słowa bolesnego jęku:

— Bartku mój! biedny Bartku!

Kazet.



Zakon krzyżowy.

Od stóp do głowy, w żelaza zakuci,
Bluźniercy, ozdobili w symbol Chrystusowy;
Żądni krwi ludzkiej, pełni dzikiej chuci,
Miecz swój szczerbili o bezbronnych głowy,
Chcieli świat poddać swemu zakonowi
I sioła, życie przemieniać w pustynie,
Nie pomni, że Bóg powiedział Szawłowi:
„Kto mieczem walczy, ten od miecza ginie."
Padli, jak zielsko na Grunwaldzkiem polu,
Błagając Słowian o litości słowo,
Jak pod ptany, marny kierz kąkolu,
Żeby hydrą powstać wraz nanowo!
Lecz hydrze, w zdobnej krzyżem złotej [zbroi
Na drogę ciemną, ona przeszłość ciemną
Zagrzmiało z niebios: „ten, kto mnie się [boi,
Istnienia mego nie ma nadaremno!"
I padli zbrojni, a nad nimi orze
Słowianin ziemię z pieśni tęsknej słowy,
Na niwach uschłych, tłuste wschodzi zboże
Tam, gdzie na wieki legł zakon krzyżowy.

Władysław Karol.

Z TEATRU.

„Nasze anioły," komedya w 3 aktach Michała Wołowskiego.

— Widziałeś „Nasze Anioły"? — py-talem znajomego.

— Nic nowego! — odparł. — Spo-tyka się na każdym kroku, ale to typ kobiecy nieinteresujący. Anioły istnie-ją na naszym padole li tylko jako efekt sceniczny. Rozebrane z szaty aniołów — okazują się pospolitemi — gęsiami.

W istocie mój znajomy miał słusz-ność; galerya „aniołów," jaką nam przedstawił Wołowski w swej sztuce, to stado gęsi, którym wydaje się, że będąc białemi są przez to samo aniola-mi — dla mężów i dla biednych. Pod przejrzystą gazą anielskości kryje się płytkość umysłu, pustka sercowa, egoizm, pozory mają starczyć za rzecz samą, słodkie słówka za uczucia. To też dwie „anielskie" córki państwa Lepiszewskich, nie mając nigdy dość dowodów uznania ze strony mężów, zakłócają spokój domowy i potrzeba dopiero djablika, przeciwstawienia „anioła," pensyonarki Jadzi, która z pomocą niezliczonych fortelów godzi poróżnione stadła, załagadza burze w szklance wody i... sama pospiesznie wychodzi za mąż.

„Nasze Anioły" są płytka satyra, noszącą na sobie cechę pospiesznej ro-boty, niegodnej utalentowanego auto-ra tak iż myśl, sama przez się bardzo podatna do charakterystycznej kome-dyi, zaprzepaszcza się w gmatwaninie sytuacyi nierealnych i sztucznych qui pro quo, chociaż autor do znudzenia deklinuje rzeczownik „anioł" przez wszystkie przypadki, niby tłomacząc nam swą myśl łopatą. Nie szukać nam w „Aniołach" ani psychologii, ani prawdy. Jako farsa nawet sztuka ta nie pozyska oklasku, gdyż brak jej humoru, a sytuacye naciągane nie bu-dzą śmiechu. Na domiar robota dra-matyczna pozostawia wiele do życze-nia, zwłaszcza trzy grupy osób, którym autor każe rozmawiać z sobą kolejno na wstępie pierwszego aktu razą wi-dza obytego z teatrem.

Wobec tego wszystkiego nie podo-bna pociągać wykonawców sztuki do ścisłego obrachunku. Werwą masko-wali aktorowie brak zapału; przeła-mawszy pierwsze lody spieszyli całą siłą pary do upragnionego końca. Główna rola, Jadzi spoczywała w rę-kach panny Micińskiej i żywy, iście pensyonarski, bezczelny, wszystkich za nos wodzący chochlik nie mógł mieć lepszej przedstawicielki.

Sekundowały jej dobrze panie Kró-likowska, Sznage i panna Jeremi. Kandydatkę na rozwódkę grała po-prawnie pani Lasy, której scena nasza zyskała myślącą, staranną i nie pozbawioną salonowego wzięcia aktor-kę. Natomiast nie wiele pochlebnego daloby się powiedzieć o grze pp. Wis-lańskiego i Prochaski. P. Kalinowski szczęśliwie przebrnął przez niewdzięcz-ną rolę Karola Anguiskiego. P. Do-brzański jako małżonek siwego „anie-ła" i ojciec kilku „aniołów" wywiązał się z swego zadania zadowalająco.

I tak „Anioły" odegrane — jak mówi Francuz — o tyle dobrze, o ile źle", spłynęły po nas bez śladu, bez wraże-nia. Opuściliśmy teatr z tem przeko-naniem, że lepsza od „aniołat" jest do-bra kobieta, a lepszemi od „Naszych Aniołów" są — mnogie inne sztuki.

Roman Rola.

KRONIKA.

Wystawa robót kobiecych, połączo-na z wystawą obrazów, pouczyła nas mianowicie, że w mieście naszem za-czyna się sztuka rozwijać. Artyści malarze wystawili cały szereg szkiców i obrazów, świadczących o ich talen-cie. Znalazło się też dosyć mecenasów sztuki, którzy chętnie nabywali wy-twory miejscowego artyzmu. Idziemy więc naprzód. Mogę przy tej sposo-bności donieść, że niezawodnie i w przyszłym roku podobna wystawa urządzoną będzie, również w czasie przedgwiazdkowym. Jest to ostatnia kronika przed rzewną pamiątką Nar. Pańskich. W przyszłym tygodniu roz-brzmiewać będzie w pałacach, w do-mach mieszczańskich i pod strzechą pieśń „W żłobie leży," choinki zabłysną licznemi światłami a dziecjarnia rados-nie otoczy choinkę, szukając rozłożo-nych przy niej podarków.

Pieśń kolendowa, zwiastująca nam narodziny Pańskie, przypomniała mi bardzo sympatyczną instytucyą kilka lat temu założoną u nas: Żłobki.

„Tow. Kwestarskie", które wzięło sobie za zadanie zakładanie „żłobków" pisze w 6 rocznem sprawozdaniu:

„Zdając sprawę z 6 roku istnienia naszych żłóbków, zaznaczamy z za-dowoleniem, że mimo licznych potrzeb naszego społeczeństwa i ofiar na róż-ne cele stale się powiększających, nie [illegible] nas instytucya i w tym ro-ku pamięcią i pomocą życzliwych i ma-my obowiązek złożyć niniejszem ser-deczne podziękowanie tak zacnym ofiarodawcom jak szanownym Paniom, należącym do Komisyi żłobkowej z przewodniczącą panią radczynią Ste-fanią Jagielską na czele. *Bractwo na-sze przez zakładanie i utrzymywanie żłóbków podjęło ze względu na niedolę społeczną cel ważny, aby ubogim mat-kom, zmuszonym wychodzić z domu na dzień cały dla zarobku dać możli-wość pozostawienia owych małych dzieci aż do 3 roku pod dobrą opieką bez obawy o nieszczęśliwy wypadek.*

Ze sprawozdania dowiadujemy się, że w mieście Poznaniu założyło brac-two 2 żłóbki, w parafii farnej 1 i na Chwaliszewie drugi.

W żłóbku *farnym* znajdującym się *przy Grobli* przyjęto ogółem w ciągu roku 1591 dzieci, w żłóbku *chwaliszew-skim* 3823, ogółem więc w obu żłóbkach 5414 dzieci. Przy tej sposobności zwra-cam uwagę na to, że z inicyatywy

Bractwa kwestarskiego powstał na Jeżycach trzeci żłóbek, mający jednakże osobny zarząd i osobną administracyą. Majątek Towarzystwa wynosi obecnie 3100,14 mk. W przeszłym roku było 3500 — dołożyło zatem Tow. w tym roku 400 mk.

Warunki przyjmowania dzieci do żłóbków są następne:

1) Żłóbek otwarty jest tylko w dni powszednie od godziny 6 rano do 8 wieczorem. Matka, którаby raz jeden dziecka swego nie odebrała w przepisanym czasie, traci na zawsze dobrodziejstwo żłóbka.

2) Do żłóbka przyjmuje się dzieci w wieku 6 tygodni do 3 lat.

3) Do przyjęcia dziecka potrzebne jest piśmienne polecenie jednego z członków zarządu, albo jednej z pań komitetowych, lub wreszcie radzcy ubogich (Armenrath).

4) Przy oddawaniu dzieci do żłóbka płaci się od każdego dziecka po 10 fen. za każdy cały dzień bez względu na to, jak długo dziecko pozostaje w Zakładzie.

5) Jeźli matka karmi dziecko piersią, powinna przynajmniej raz na dzień odwiedzić je w zakładzie i nakarmić.

6) Przy oddaniu do żłóbka dzieci powinne być zaopatrzone w czystą bieliznę (koszulki pieluszki.) —

Tyle ze sprawozdania. Rozpisałem się o tem sprawozdaniu obszerniej, ponieważ uważam tę instytucyą za bardzo ważną dla zdrowia dzieci i siły zarobkowej matek polskich. Małe dziecko jest częstą przyczyną, że matka nie może iść na zarobek, oddawszy je zaś do żłóbka ma ręce wolne do pracy.

Żłóbki mało się reklamują, ztąd też liczba członków nie zbyt wielka, a ludność pracująca także nie wiele wie o istnieniu tej wyłącznie dla jej dobra założonej instytucyi, dla tego na tej drodze pragnąłbym wzbudzić zainteresowanie się tą tak pożyteczną instytucyą.

Alfa.

[illegible] jest na tle wypad- [illegible] na tle obrazu Kró- [illegible] Kongresowego, mianowicie Warszawy, w przeddzień wiosny wzmiankowanego roku, obrazu tak niezwyczajnego, jakiego nie pamiętali najstarsi ludzie, bo może też nigdy despotyzm moskiewski nie ciężył srożej nad Polską. W imię wolności wywożono na Sybir, z pod boku króla porywano ludzi, zabierano senatorów, ginęli gdzieś bez wieści urzędnicy, posłowie, obywatele... To wszystko doprowadziło do wybuchu, — naród powstał przeciw Moskalowi...

Na takiem tle napisana jest powieść

„Bezimienna,“

której główną bohaterką jest córka biednej wdowy, piękna Helena; na cześć jej niewieścią czyha podły Rosyanin, jenerał Puzonow.

Powieść jest bardzo zajmująca, rozczulająca i owiana prawdziwą miłością naszej nieszczęśliwej Ojczyzny.

Początek tej powieści otrzyma każdy nowo przybyły abonent gratis, jeżeli nam nadeśle na dowód kwit pocztowy abonamentowy.

Kwity pocztowe na „Pracę“ i „Czytelnią“ załączamy.

Do dzisiejszego numeru „Pracy“ dołączamy pięknie i artystycznie wykonaną

pocztówkę

z życzeniem „Wesołych świąt!“

Czytelnicy! Posługujcie się dołączoną kartą, wysyłając takową znajomym lub krewnym z gorącą zachętą ku licznemu abonowaniu „Pracy“. — Niech się Czytelnicy zajmą szczerze losem „Pracy“, niech poprą pismo nasze w kole przyjaciół, niech podczas świąt Bożego Narodzenia — każdy z nich stara się pozyskać choćby jednego abonenta dla „Pracy“, której redaktorzy na lata całe w więzieniu... Niech liczny wzrost abonentów „Pracy“, na którą mianowicie urzędnicy poczty tacy niełaskawi — niech liczny zastęp czytelników „Pracy„ da dowód, że sprawa polska żyje, że społeczeństwo nasze, że każda jednostka polska dziś zdrowo myśli i działa...

Abonujcie „Pracę“!

Na Gwiazdkę!

Swój do swego! Oto nasze hasło przy zakupnach gwiazdkowych, które jeszcze w ostatniej nieomal chwili przypominamy naszym Czytelnikom, mianowicie polecamy ich względom następujące, spisane w alfabetycznym porządku firmy, których właściciele są dzielnymi, rzetelnymi kupcami i przemysłowcami.*)

W Poznaniu:

Adamski C. w Bazarze nr. 7/8 — czapki, kapelusze, rękawiczki, wszelka bielizna itp. w wielkim wyborze. Skład i fabryka.

„Atlas,“ właściciel *W. Kostrzewski* przy Starym Rynku nr. 48 — handel papieru i materyałów piśmiennych. Specyalność sezonowa i gwiazdkowa: kalendarze kartkowe, książkowe i ścienne, książeczki polskie z obrazkami kolorowemi i pięknemi wierszykami, oraz najnowsze pocztówki z widokami.

Bączkiewicz K., pojazdnik, przy ulicy Strzeleckiej nr. 31 — gotowe pojazdy i warsztat wszelkich prac wchodzących w zakres pojazdnictwa.

Berchiet A., złotnik i jubiler przy Starym Rynku 12 — skład wyrobów złotniczych.

Białas J., zegarmistrz, rytownik, złotnik i optyk przy ulicy Wrocławskiej nr. 2 — wielki skład i fabryka wyrobów w zakres ten wchodzących.

Chrzanowski i Kucner, księgarnia przy ulicy św. Marcina nr. 70 — wielki wybór książek stosownych na podarki gwiazdkowe, oraz materyałów piśmiennych. Specyalność: oryginalne najnowsze pocztówki.

Cybulski A., księgarnia przy ulicy św. Marcina nr. 10 — bogaty wybór książek wszelkich, także stosownych na podarki gwiazdkowe. Patrz cennik dołączony do jednego z poprzednich numerów „Pracy.“

Czaplicki I., przy ulicy Półwiejskiej nr. 11. I piętro — pracownia wytwornego obuwia wszelkiego rodzaju, Specyalność: obuwie salonowe.

Depczyńska A., właścicielka L. Waszyńska przy ul. Jezuickiej nr. 12 — skład kapeluszy i płaszczy damskich. Wielka wyprzedaż z powodu kończącego się sezonu.

Drogerya Centralna, właściciel J. Czepczyński, przy Starym Rynku 8 — nadzwyczaj wielki wybór artykułów stosownych na podarki gwiazdkowe.

Drogerya Universum, właściciel B. Sniegocki przy ulicy Rycerskiej nr. 38 (w domu wydawnictwa „Pracy“) — wszelkie artykuły drogeryjne w największym wyborze, wielki zapas na „Gwiazdkę. Specyalność: aparaty fotograficzne.

Gabryelewicz i Tyranowski przy ul. Wiktoryi 15 — meble skromne i wykwintne w najnowszym stylu.

*) Wobec nawału pracy w czasie przedświątecznym możemy pominęli w powyższym spisie ***niejednego kupca i przemysłowca, inserującego w „Pracy.“*** Uzupełnienie zamieścimy na życzenie jak najchętniej w następnym numerze. Przyp. Redakcyi.

„Globus“, handle papieru i materyałów piśmiennych przy ulicy Szerokiej nr. 6 i Rycerskiej nr 37 — wielki wybór pięknych i gustownych podarków praktycznych i okolicznościowych, przydatnych mianowicie na podarki gwiazdkowe. Także pocztówki najrozmaitsze, a między niemi gwiazdkowe i noworoczne. Handle te polecamy łaskawym względom Szanownych Czytelników.

Hahn W., przy Starym Rynku nr. 55 — kapelusze, szapoklaki, kalosze ruskie, bielizna biała i kolorowa. Specyalność: skład tapet.

Ignatowicz K., największy dom towarowy przy ulicy Wrocławskiej 4. Specyalność: materye na suknie, barchany, alpaki, aksamity, jedwabie, płótna na pościele, stołowizna, dywany, firany po cenach najtańszych.

Janaszek W., przy ulicy Wrocławskiej nr. 3 — magazyn szkła, porcelany, lamp i sprzętów kuchennych. Specyalność: wyprawy.

Karge Ed., w Bazarze, Nowa ulica 7/8 — brzytwy, noże, nożyki, nożyczki i wszelkie towary w zakres ślifierstwa wchodzące.

Kamiński N. i Spółka, przy ulicy św. Marcina nr. 16/17 księgarnia — wielki wybór książek przydatnych na gwiazdkowe podarki.

Koźlicki St., przy placu Wilhelmowskim nr. 3 — wielki specyalny skład bielizny; praktyczne podarki gwiazdkowe.

Księgarnia Katolicka, właściciel B. Twardowski, przy Starym Rynku i narożniku ulicy Jezuickiej. — Renomowana ta księgarnia nie potrzebuje reklamy; jest bardzo obficie zaopatrzona w książki wszelkiej treści, itd., o czem świadczy dołączony do ostatniego numeru „Pracy“ cennik na rok 1903.

Kużaj K., przy ulicy Wrocławskiej nr. 13/14 — fabryka i największy skład gotowej garderoby męzkiej i dla chłopców, oraz wielki skład sukna.

Leitgeber J., przy ulicy Wilhelmowskiej nr. 8 — księgarnia renomowana, zaopatrzona obficie w książki i dzieła najrozmaitszej treści.

Mańczak S., przy ulicy Wilhelmowskiej nr. 24 — wyroby ze złota, srebra i alfenidy; wielki wybór przedmiotów, stosownych na upominki okolicznościowe i gwiazdkowe.

Naatz W., przy ulicy Wrocławskiej nr. 30 — skład najpiękniejszych gatunków mąki, artykułów do placków itp.

Niedbalski W., przy ulicy Rycerskiej nr. 1 — skład kolonialny, delikatesów i win; wszelkie artykuły do pieczenia i na choinkę, oraz ryby, zwierzyna i drób.

Niewczyk F., przy ulicy Wilhelmowskiej nr. 14 blizko kościoła św. Marcina — fabryka i skład instrumentów muzycznych i samogrających, stosownych bardzo na podarki gwiazdkowe. Pan N. ma na składzie towary przeważnie własnej fabrykacyi, oraz sprowadzone z pierwszorzędnych fabryk, mianowicie instrumenta samogrające, automaty itp. Na towary sprowadzone z fabryk udziela p. N. przy zakupnie 5 % rabatu.

Otmianowski T., właściciele: B. Złotkiewicz i S. Mincikiewicz w Bazarze przy ulicy Nowej 7/8 — wszelkie żelazne sprzęty domowe, kuchenne i gospodarcze. Specyalność: maszyny do prania, wyżdżymalnie, piece do ogrzania okowitą itd.

Popławski J, przy ulicy św. Marcina nr. 64 — najlepsze maszyny do szycia i haftu, welocypedy, lampy salonowe itd.

Preiss W. przy Starym Rynku nr. 64 pomiędzy ulicą Nową a Wrocławską — największy specyalny skład okryć damskich, kompletne futra, oszycia na futra.

Rose Antoni, właściciel Waleryan Chrzanowski, w Bazarze przy ulicy Nowej nr. 7/8 — handel papieru, materyałów piśmiennych oraz zakład litograficzny — poleca kalendarze kartkowe, książkowe, ścienne oraz wielki wybór pocztówek z życzeniami wigilijnemi i noworocznemi.

Jako specyalne podarki na gwiazdkę poleca wzmiankowana firma: albumy do fotografii, kart pocztowych, poezyi, skórzane i galanteryjne towary, a dla dzieci książki z obrazkami, farby i książeczki do malowania żłóbków.

Rudnicki T., przy ulicy Rycerskiej nr. 39 — cukiernia, kawiarnia i winiarnia, wszelkie pieczywo tylko na świeżem maśle; wielka wystawa gwiazdkowa cukrów, marcepanów, czekolady itd.

Szultz W., w Bazarze, przy Nowej ulicy 7/8 zakład zegarmistrzowski i złotniczy, zaopatrzony w wielki wybór towarów.

Silski I., mistrz stolarski przy ulicy Wrocławskiej nr. 31, wyprzedaje z powodu przeniesienia interesu całe wyprawy i pojedyńcze sztuki po zniżonych cenach.

Spiżewski A., przy ulicy Wodnej nr. 17/18 — skład cukrów, biszkoptów, czekolady, kakao itd. — poleca między innemi na Gwiazdkę znakomite pierniki A. Markiewicza z Kostrzyna.

Suppert K., przy ulicy św. Marcina nr. 19 — specyalny skład zegarków i łańcuszków oraz wszelka bižuterya.

Święcicki S., przy ulicy Fryderykowskiej nr. 33 — magazyn garderoby męzkiej i dla chłopców.

Żurawski Jan, przy ulicy Podgórnej nr. 8 naprzeciw hotelu Francuzkiego — skład i pracownia wyrobów ze złota i srebra. Wielki wybór alfenidy.

Żychliński S., przy placu Wilhelmowskim nr. 9 — jedyna jeneralna agentura i główny skład papierosów z fabryki drezdeńskiej „Sulima" oraz cygara w największym wyborze.

Na prowincyi:

Danecki M. w Miejskiej Górce — fabryka i skład zegarków oraz wszelkiej bižuteryi i przedmiotów luksusowych w wielkim nadzwyczaj wyborze. Cenniki obszerne, illustrowane wysyła się na życzenie.

Dom towarowy renomowany pod firmą *Stefan Lesiński w Raszkowie* — własność firmy *„Drwęski i Langner"* — domu bankowo-komisowego w Poznaniu, jest zaopatrzony w towary z wszelkich możliwych gałęzi handlu, a więc w towary kolonialne i drogeryjne, w wino, cygara, mąkę, towary krótkie, galanteryjne, przeróżne drobnostki praktyczne i luksusowe, zabawki dziecięce itp., wreszcie w obuwie, żelazo, sprzęty gospodarcze, domowe, kuchenne, wszelkie zapotrzebowania rolnicze itd. itd. Zapas towarów ogromny, więc wielki wybór.

Dom ten towarowy jest natychmiast lub też od każdego czasu korzystnie do nabycia (patrz odnośne ogłoszenie).

B. Kasprowicz w Gnieźnie — fabryka sławnych wódek zdrowotnych i deserowych.

Kużaj K. w Inowrocławiu przy Rynku 21 — fabryka i największy skład gotowej garderoby męzkiej i dla chłopców oraz wielki skład sukna.

Lange J. B. w Gnieźnie — znana i renomowana księgarnia poleca wielki wybór książek także do nabożeństwa, mianowicie książkę p. t. „Mały Dunin."

Markiewicz A. w Kostrzynie, — fabryka słynnych pierników, odznaczonych dyplomami i medalami na wielu wystawach. Pierniki p. M. nie ustępują w niczem piernikom toruńskim, więc kupujmy tylko pierniki kostrzyńskie p. Markiewicza, które tak w Poznaniu jak też na prowincyi nabyć można we wszystkich handlach kolonialnych, delikatesów, cukrów, w cukierniach itd.

Szmytkowski A. w Pniewach — fabryka wódek gdańskich, nalewek oraz wszelkich wódek deserowych; na wyszczególnienie zasługuje słynna „Jubileuszówka."

Żychliński S. w Gnieźnie — fabryka i skład mydła oraz świec kościelnych każdej wielkości. Tę jedyną polską fabrykę mydła w Poznańskiem powinniśmy popierać t. j. kupować od p. Ż. towary a nie napychać kieszenie naszemi pieniędzmi już zbogaconych fabrykantów hakatystyczno-żydowskich.

Kończąc na tem nas przegląd gwiazdkowy firm powyższych, życzymy im jak najlepszego powodzenia na końcu starego roku jak i na rok nowy. Szczęść im Boże!

—*ski.*

Wiadomości.

— Manuskryptów nie zwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo „PRACY."

— **Dobra wiadomość.** Wieś rycerska Wielkie — najlepszy kawałek ziemi pod Poznaniem — ca 1200 mórg obszaru, oskrzydlona z trzech stron przez kolonizacyą, przeszła drogą kupna z rąk pana Paula, na własność firmy *Drwęski i Langner*, domu bankowo-komisowego w Poznaniu. Wielkie będzie rozparcelowane przez rzeczoną firmę wyłącznie pomiędzy swoich.

Kolonizacya była tak pewną tego nabytku, że już wzdłuż drogi Wielkiego robiła plany dla zabudowań kolonistów. Plany te przerwała firma *Drwęski i Langner* przez nabycie Wielkiego. Szczęść Boże nabywcom!

— **Z teatru.** Pan dyrektor Ryger bawił świeżo w Berlinie celem nabycia tamże kompletu kostyumów i różnych rekwizytów scenicznych do „Wilhelma Tella" oraz do sztuk wszystkich przygotowujących się na występy Heleny Modrzejewskiej.

W sobotę, dnia 20-go bm. „Wilhelm Tell" czyli „Oswobodzenie Szwajcaryi," Fryderyka Schillera; przekład J. N. Kamińskiego.

W niedzielę, dnia 20-go b. m. po południu o godz. 3 „Przeor Paulinów". Ceny do połowy zniżone. Wieczorem po raz drugi: „Wilhelm Tell."

— **Ważne dla rodziców!** W Trzemesznie w alumnacie ś. p. opata Kosmowskiego wakują dwa wolne miejsca dla chłopców szlacheckiego rodu, wyznania katolickiego, liczących nie więcej jak lat 11 i już przyjętych do seksty progimnazyum trzemeszeńskiego. Dotychczas wskutek niewiadomości o tem stypendyum śp. opata Kosmowskiego zgłaszali się na te miejsca Niemcy. Podajemy to zatem do wiadomości polskich rodziców z nadmienieniem, że petycye należy wysełać (w języku polskim) do alumnatu w Trzemesznie.

Upraszamy polskie pisma o powtórzenie niniejszego zawiadomienia.

— **Dla 90-letniego weterana**, Belwederczyka, Maksymiliana Kosińskiego (patrz nr. 48-y „Pracy") otrzymaliśmy w dalszym ciągu od pp. St. Kochowicza z Bruckhausen 6 mk. 30 fen. (Sumę tę złożyli na zebraniu członkowie Towarzystwa Przemysłowego w Bruckhausen). Z Ostrowa od pp W. Kopańskiego 1 m., J. Chudziaka 1 m., K. Krysztofiaka 65 fen., A. Wiznera 50 fen., J. Dudzińskiego 50 fen., J. Ostrowskiego 30 fen., J. Wojciechowskiego 20 fen., A. Kardasa 30 fen., St. Oszczaka 20 fen., St. Walendowskiego 20 fen., T. Sokoła 20 fen., B. Witczaka 20 fen., F. Dutkowskiego 20 f., J. Dutkowskiego 20 fen., J. Wiznera 20 f., J. Matuszczaka 30 fen., F. Jakubowsk. 15 f., H. Grześkowiaka 15 fen., H. Reinholda 15 fen., F. Kwiatkowsk. 25 fen., M. M. 15 f., razem 7 mk., od pani dr. Krefftowej z Brus 3 mk. Razem złożono dotąd na ten cel 32 mk. 75 fen, Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **Dola polskich redaktorów.** Izba karna w Toruniu zasądziła świeżo redaktorów „Gazety Toruńskiej,“ pp. Franciszka Wojciechowskiego na 3 miesiące więzienia i Jana Brejskiego na 2 miesiące więzienia, za obrazę wyższego sądu ziemiańskiego w Kwidzynie i inspektora szkolnego w Otłoczynie.

— **P. dr. Chrzanowski**, specyalista w chorobach kobiecych i położnictwie, otworzył w własnem mieszkaniu przy ulicy św. Marcina nr. 55 prywatną klinikę.

— **Zwracamy** uwagę Szanownym Czytelnikom na ogłoszenie firmy „Pierwsza poznańska pralnia parowa i prasowalnia maszynowa“ — specyalnego zakładu przy ulicy Fryderykowskiej nr. 21.

— **Dr. Antoni Seyda** poleca swą farbiarnią parową i pralnią chemiczną. Skład przy ulicy św. Marcina nr. 14, fabryka przy ulicy Fortecznej nr. 39 (Jeżyce). Zlecenia przyjmuje się tak w składzie jak też we fabryce.

— **Drogerya „Uniwersum“** (Bronisław Śniegocki, ul. Rycerska 38) wydała dwa nowe cenniki w polskim języku: cennik artykułów drogeryjnych i cennik aparatów i przyborów fotograficznych; każdy z nich ma przeszło 100 stron druku. Mianowicie cennik ostatni (127 stron) jest bogato zaopatrzony w illustracye. Zwracamy przy tej sposobności uwagę Szan. Czytelników, że jest to pierwszy dotąd cennik tego rodzaju w polskim języku. Oba cenniki wykonano gustownie w drukarni „Pracy“.

— **Składki na cele Towarzystwa Naukowej Pomocy dla dziewcząt polskich.** Za pośrednictwem p. hr. Potworowskiej z Parzenczewa zebrana składka w powiecie śmigielskim dla Tow. Naukowej Pomocy dla dziewcząt polskich.: Panny Skarzyńskie z Sokołowa 15 mk., p. Jakubowski z Parzenczewa 6 mk., Ks. Prob. Bartsch z Wojniejścia 3 mk., Ks. Pr. Engler z Bronikowa 5 mk., P. Łakomicka z Machcina 8 mk., Ks. Prob. Rybicki z Dłużyny 5 mk., N. N. z Dłużyny 3 mk., Ks. Prob. Krzyżanowski z Kamieńca 10 mk., Ks. Pr. Ziętkiewicz z Proch 3 mk., Ks. Dziekan Gimzicki z Wielichowa 5 mk., Ks. Pr. Zieliński z Parzenczewa 9 mk., Ks. Pr. Lewicki z W. Łęk 4 mk., p. Skarzyńska z Spławia 15 mrk., p. Biegańska z Cykowa 10 mk., hr. Potworowska z Parzenczewa 20 mk. Razem 121 mk.

Z miasta Wielichowa: Ks. Macioszek 3 mk. N. N. 1 mk. N. N. 50 fen., pp. M. Stankowska 1 mk., mała Marynia Stankowska 25 fen., Rogoziеska 50 fen., N. N. 5 m. N. N. 1 mk., N. N. 1 mk., N. N. 80 fen., p. Michalski 30 fen. Konstanty Rejchowski 50 fen., Ignacy Drogała 50 fen., Franc. Siuda 50 fen., Karol Czerwiński 50 fen., Rost 50 fen., W. Marciniak 1 mk. Razem 17,85 mk.

M. Stasińska, skarbniczka Tow. Naukowej Pomocy dla dziewcząt polskich

— **Gazety** donoszą, że redaktor „Katolika“ p. J. Siemianowski zakłada od 1-go stycznia nowy dziennik w Bytomiu, ponieważ nie może się zgodzić na to, aby „Katolik“ trzymał się zdala od „Towarzystwa wyborczego.“

Otóż nie w Bytomiu, lecz w Gliwicach — pisze „Gazeta Opolska“ zakłada p. S. gazetę, i nie od 1-go stycznia, lecz od 1-go marca p. r. Zamiar ten powziął p. S. jeszcze przed założeniem „Tow. wyborczego.“ Tendencya nowego pisma nie będzie skierowaną ku temu, aby „Katolika“ zwalczać na podstawie jakiegoś nowego, zasadniczo odmiennego programu, lecz aby uczynić zadość potrzebom ludności w Gliwicach i okolicy i stworzyć tamże organ codzienny poważnego zakroju.

RUCH W TOWARZYSTWACH.

— **Znin.** W pierwszą niedzielę po Bożem Narodzeniu, dnia 28 bm., na sali p. Bukowskiego odegrają członkowie Towarzystwa śpiewu „Żłóbek“, przedstawienie sceniczne na uroczystość Bożego Narodzenia. O liczny udział prosi uprzejmie

Cześć Pieśni! Zarząd.

— **Strzelce**, (Strelitz w Mekl.), dnia 11 grudnia. W dniu 26 października 1902 został w Strzelcach w Meklbg. nowo do życia powołany w dniu 17 listopada 1897 zagasły polsko-techniczny Związek „Filarecya“ i potwierdzony przez dyrektora technikum.

Wszystkim do Strzelec na studya przybywającym Polakom służy związek chętnie radami i wskazówkami. Wszelkie korespondencye przychodzą pod adresem: P. T. Z. „Filarecya“ Strelitz in Meklbg. Burenkrug.

Z poważaniem
J. Trzoska, sekretarz.

Wiadomości literackie.

— **„Lucyan Doręba**, powieść poetyczna w 10 pieśniach, osnuta na tle stosunków wielkopolskich (r. 1862–1865.) Napisał Ludwik Mizerski.“

Powieść tę, którą krytyka przyjęła z wielkiem uznaniem, a z której na razie zamieszczamy wyjątki p. t. „Wieczerza wilijna“ i „Przy choince,“ ma na składzie głównym księgarnia J. Leitgebra i Sp. w Poznaniu. (patrz ogłoszenie).

— **„Klechdy“**, starożytne podania i powieści ludowe, z różnych pisarzy zebrane. Z 8 rycinami Andriollego, Gersona, J. Kossaka, Ksaw. Pillatego i Sypniewskiego. Poznań. Nakładem i drukiem Fr. Chocieszyńskiego 1902 str. 216.“ — W świat czasów i baśni przenosi nas dziełko powyższe. Najpiękniejsze klechdy, podania i powieści ludowe zestawione są w tej książce, ozdobnie wydanej i ilustrowanej przez najznakomitszych naszych rysowników.

„Klechdy“ są najstósowniejszym podarkiem gwiazdkowym dla dzieci i młodzieży, chociaż i starsi niewątpliwie przeczytają je z równem jak młodzież zajęciem. — Cena zaś jest nadzwyczaj umiarkowana, gdyż egzemplarz bez oprawy kosztuje 1 mk. w zwyczajnej oprawie 1,25 mk.. w ozdobnej zaś, w całe płótno ze złotemi wyciskami 1.50 mk. Nabywać książkę tę można w drukarni Fr. Chocieszyńskiego w Poznaniu, oraz we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

Od Redakcyi.

Panu Stefanowi B. w Berlinie. — Dziękujemy serdecznie za łaskawe nadesłanie pięknie wykonanego drzewa genealogicznego. Na razie z powodu przygotowań do numerów gwiazdkowego i noworocznego oraz z powodu zamieszczenia innych artykułów. nie cierpiących zwłoki, sprawę tę odłożyć musimy na czas dłuższy.

Panu Karolowi L. w Wilkowyi. — Sprawa ta należy do działu ogłoszeń; przyślij Pan inserat do Ekspedycyi „Pracy“ z dołączeniem 1 mk. w znaczkach pocztowych.

Panu Feliksowi J, — Wiersze nadesłane są bardzo liche, bez rymu, więc nie nadają się do druku.

Panu Ign. Pud. w Niemieck[illegible] karach. — Udaj się Pan do [illegible] „Chrzanowski i Kucner“ przy ulicy Wilhelmowskiej w Poznaniu.

Narodowiec 112. — Nie ma powodu wątpić, że ten pan przybył do B. w celach narodowych i że oświata leży mu istotnie na sercu.

Prenumeratorowi z prowincyi. — Adresu tego pisma nie znamy.

Panu A. G. w W. Ł. — Możemy Panu zamieścić bezpłatny anons, jeżeli się Pan na to zgadzasz, to przyślij Pan odpowiednio zregadowane ogłoszenie.

Panu T. Sk. w Bagatelce. — Notatka o walnem zebraniu doszła nas już po wydrukowaniu numeru 50-go na dzień 14-go bm. Zamieszczenie jej w numerze niniejszym byłoby już musztardą po obiedzie.

Panu Franciszkowi Z. w Toruniu. — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale notatka ta nadaje się do codziennego miejscowego organu, nie zaś do „Pracy“ jako tygodnika.

Tow. Drukarzy polskich w Berlinie. — Notatka o zebraniu przebyła nieszczęsną kwarantannę pocztową, skutkiem czego otrzymaliśmy ją dopiero dnia 13-go bm. wieczorem, więc za późno.

Czytelnikowi „Pracy“. — Wierszyk nadesłany p. t. „Roraty“ nie nadaje się do „Pracy“.

Panu H. M. w N. — W zapomnienie nie poszły, owszem będą zamieszczone. Powieść ta się skończyła. Czarny porucznik pojechał do swej ojczyzny, Francyi, i na tem koniec.

Ludomiłowi z nad Odry. — Dziękujemy za łaskawe wskazówki, skorzystamy z nich w przyszłości.

„Życzliwej I. B.“ — Życzliwości nie możemy się dopatrzeć ani, co gorsza, wytrawnego sądu. Prosimy czytać uważniej!

Piłka w Gnieźnie. — Plewkiewicz w Poznaniu W. 6. — Wielka Berlińska ulica (Grosse Berliner-Strasse,)

zo-
no-
na-
fa-
%

Nr. 51. PRACA Rok VI

Dodatek Powieściowy.

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

38) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—*—

(Ciąg dalszy.)

Twarze obydwóch sióstr niezmiernie do siebie były podobne, ale podczas kiedy Rozalia była ułomną, miała Fanchon figurę, jak z żurnala wyjętą.

Ojcem ich był Emil Greffin, sekretarz policyi kryminalnej paryzkiej.

Dochody Greffina wcale nie były liche, ale pieniądze, które mu kwartalnie wypłacano, znikały zawsze w sposób tajemniczy, tak, że jemu ani grosza nie zostawało, i córki musiały go utrzymywać. Nie wiedziały one, na co ojciec cały swój dochód wydawał, nigdy go jednak o to nie pytały.

Raz, gdy mu coś o tem wspomniały, odrzekł im krótko:

— Odpłacam dawne długi.

Ale długi te odpłacał on już przeszło dwadzieścia lat! Musiały to być znaczne długi!

I chyba nie on je zaciągnął, bo nie było człowieka z tak skromnemi, jak on, wymaganiami.

Fanchon i Rozalia starały się wszelkiemi sposobami o zbadanie tajemnicy ojca, ale daremnie. Pieniądze znikały jak w wodę wrzucone, a one ciężko pracować musiały na chleb powszedni.

Już mając lat trzynaście zarabiały haftami — a gdy dorosły, założyła Rozalia, niezdolna do ciężkiej pracy, mały skład towarów kolonialnych, Fanchon zaś, piękna i zręczna, została baletniczką i wszyscy świetną jej przepowiadali przyszłość. —

Dostawała ona siedemdziesiąt franków miesięcznie i oddawała ojcu każdy grosz, a on dziękował jej za to serdecznie, i chował starannie pieniądze Fanchony i Rozalii. I tak zarabiali wszyscy znaczne dosyć sumy i mogli byli żyć bardzo wygodnie — tymczasem bieda w domu Greffina bardzo się dawała uczuwać tak, że nieraz nie było za co kupić kawałka mięsa na obiad.

Rozalia nie potrzebowała ani stroju ani rozrywek, ale Fanchon byłaby może, pięknie ubrana, zwróciła na siebie uwagę jakiego bogatego człowieka, który by się z nią ożenił. Piękność jej potrzebowała odpowiedniej ramy, w skromnej codziennej sukni nikła przy innych. Wychowana surowo, była, pomimo swego zawodu, bardzo poważną i nie szukała żadnych znajomości. Nie przyjaźniła się ze swemi koleżankami, potępiając ich lekkomyślność i po przedstawieniu wracała natychmiast do domu.

Matki nie znały obiedwie te siostry.

Ojciec powiedział im, że umarła zaraz po urodzeniu się Rozalii, podobno z zmartwienia na widok pokrzywionych członków dziecka.

Nigdy jednak nie wspomniał o niej, raz tylko odrzekł na zapytanie Fanchony, gdzie się znajduje grób jej.

— W Marsylii! Mieszkaliśmy tam wówczas!

A że podróż do Marsylii daleką była i kosztowną, przeto żadna z dziewcząt nie pojechała tam i nie pomodliła się na grobie matki.

Jedyne co wiedziały o matce było to, że miała niezwykłe imie — Nadina.

* * *

— Cóż to, odchodzisz już? — zapytała Rozalia siostry. — Przecież to za rychło jeszcze!

— Tak, — odrzekła Fanchon nieco zmieszana, — ale ja wolę odejść, gdy ten człowiek jest u ojca!

— Ach, mówisz o hrabiu Barinie. Więc on się tobie też nie podoba? Nie ufasz mu, tak jak i ja?

— Nie, a co więcej jeszcze — gdy tu był ostatnim razem, powiedział mi, że bardzo mu się podobam i..... i..... chciał mnie pocałować!

Gorący rumieniec okrył przy tych słowach piękną twarz dziewczęcia.

— Ach, bezczelny! — zawołała Rozalia oburzona, — ale czemu nie powiedziałaś o tem ojcu? On byłby z pewnością hrabiego dziś za drzwi wyrzucił!

— Mylisz się, — szepnęła Fanchon z smutnem westchnieniem. — Użaliłam się wobec ojca i żądałam, aby hrabiego nigdy tu już nie przyjmował, i wiesz, co na to odpowiedział? Że postępowania hrabiego wprawdzie nie pochwala, ale że dla ważnych powodów stosunków z nim zerwać nie może. Ciekawa jestem, jakie powody mogą zmusić ojca do obcowania z tym, który w ten sposób obraża jego córkę! Z żadnym mężczyzną rozmawiać nam nie wolno, a tutaj. — — Ja myślę, że istnieje jakaś tajemnica, mająca styczność z tą, którą od tylu lat pragniemy odkryć, a która się odnosi do pieniędzy ojca..... Dokąd on je posyła?

d
n
k
w

Rozalia ujęła ręce siostry.

— Ach Fanchon, — rzekła serdecznie, — nie starajmy się już o rozwiązanie tej zagadki, uszanujmy wolę ojca! On jest taki dla nas dobry!

— Może by to było właśnie szczęściem dla ojca, gdybyśmy tajemnicę jego poznały. Im więcej nad tem myślę, tem mocniejszego nabieram przekonania, że znajduje on się w rękach osoby, która go wyzyskuje, i wyłudza z niego, co może!

— Niech będzie jak chce, my nie mamy prawa wdzierania się w jego tajemnicę, ale powinniśmy się starać o to, aby nie przyjmował hrabiego. Ten człowiek sprowadzi na nas wielkie nieszczęście, zobaczysz!

— O gdyby matka nasza żyła jeszcze! Ona by nas pocieszyła i doradziłaby nam najlepiej! Ale wiesz, Rozalio, ja bym tak chętnie pojechała raz na grób jej.....

— I ja także! — szepnęła Rozalia, a piękne jej oczy napełniły się łzami.

— Może by nam uprosiła trochę szczęścia u Boga.....

— Jakto, nie jesteś szczęśliwą, Fanchon?

— O tak, ale.....

— Ach, ty coś ukrywasz przedemną! Powiedz, najdroższa, co ci jest? — prosiła Rozalia, gładząc czule zarumienioną twarz siostry. — Czy może — pokochałaś kogo? dodała ciszej.

— Tak! — szepnęła Fanchon.

Rozalia zbladła śmiertelnie.

— Kogo — kogo — wyjąkała, a w duszy odezwał się głos rozpaczy: — tylko nie to imie! Boże! tylko nie to jedno! Tego bym nie przeżyła!

Fanchon podniosła swe śliczne czarne oczy, promieniejące najwyższem szczęściem.

— Kogo ja kocham? — rzekła z uśmiechem. — Nie wiesz? Nie zgadujesz? A przecież znasz go, i o ile wiem lubisz go też bardzo!

— Znam go..... — powtórzyła Rozalia z nienaturalnie rozszerzonemi oczami.

— Naturalnie! Znasz przecież Ryszarda Corrigan!

Nieszczęśliwa ułomna skamieniała formalnie.

Ale Fanchon nie miała pojęcia o tem, co się działo w sercu jej siostry, i wytłumaczyła sobie widoczne jej przerażenie zupełnie inaczej.

— Nie obawiaj się niczego, — zawołała, — wiem, o czem w tej chwili myślisz! Ryszard jest tak biedny, jak i my — jakież dochody może mieć młody inżynier, nie mający protekcyi w Paryżu! Musi pracować ciężko na kawałek chleba, tak, jak my! Ale powiedział mi niedawno, że ojciec jego bardzo jest bogaty.....

— Doprawdy!

— Tak, ale że on rozstał się z ojcem w gniewie, bo niestety, ojca tego szanować nie może! Nie pytałam o więcej i nie liczę też wcale na to, że kiedyś może się znowu z ojcem pogodzi i wielki otrzyma majątek! Zostanę żoną jego wtenczas, gdy będzie mógł utrzymać skromnie rodzinę, i wystąpię wtedy z baletu, bo Ryszard nie pozwoliłby mi na dalsze występowanie publiczne. Nie wiem tylko, czy będę mogła przystać na to, zkąd wziąść owe siedemdziesiąt franków miesięcznie, bez których ojciec obejść się nie może? Gdyby nie to, byłabym najszczęśliwszą kobietą w Paryżu!

— Wierzę! oh, wierzę! — szepnęła Rozalia.

— Szkoda, — mówiła Fanchon dalej, że Ryszard jest tylko o trzy lata starszy odemnie, byłabym zawsze wolała przynajmniej dziesięć lat różnicy, no, ale on taki poważny, taki rozsądny......

— Tak, tak!

— A jaki dobry i zręczny! Mistrz Gibur, u którego pracuje, mówił niedawno ojcu, że jeżeli kto zbogaci się jakim nowym wynalazkiem, to z pewnością Ryszard! Powinszuj mi teraz, siostro droga, ty pierwsza wiesz o mej miłości i o mojem szczęściu!

Rozalia zadrżała. Przez chwilę zdawała się nie widzieć wyciągniętych rąk siostry, ale zaraz potem zerwała się szybko z krzesła i padła w objęcia Fanchony.

— Winszuję ci z całego serca, — zawołała. — Możesz być istotnie dumną na miłość takiego człowieka! On kocha ciebie jedną tylko — i nigdy nie kochał innej — nigdy — ach — Boże. — —

Ręce nieszczęśliwej ułomnej zwiesiły się bezwładnie — i w następnej sekundzie leżała Rozalia zemdlona na ziemi. Fanchon krzyknęła przeraźliwie.

Krzyk ten wrócił Rozalii przytomność.

— To nic, — szepnęła, — jakiś zawrot głowy — ale to już nie wróci, póki żyję! Będę silną i oprę się wszelkiej słabości. Nie obawiaj się niczego, siostro! Proszę cię tylko usilnie, zostaw mnie teraz samą! Odpocznę trochę!

Fanchon uściskała siostrę i wyszła.

Gdy Rozalia została samą, rzuciła się na krzesło i głośnym wybuchnęła płaczem.

— To wyznanie zabiło mnie! — jękła z rozpaczą. — Ach wiem, jak śmieszną jestem z tą moją miłością! Ale ja go kocham, kocham, nadwszystko w świecie! I cóż mi teraz innego pozostaje, jak śmierć? Dzień ich ślubu będzie ostatnim dniem mego życia!

ROZDZIAŁ LVIII

Dokument odbywający dalekie podróże.

Ponad składem Rozalii, na pierwszem piętrze, siedział w skromnie urządzonym pokoju hrabia Barin i sekretarz policyi, Emil Greffin.

Był to niegdyś przystojny człowiek — dziś, postarzały przedwcześnie, miał twarz żółtą i pomarszczoną, a oczy patrzały na świat i ludzi z wyrazem niezadowolenia, skargi i cichego smutku.

Ubranie jego było czyste, ale stare i znoszone, na czwartym palcu lewej ręki błyszczała szeroka ślubna obrączka.

Obydwaj mężczyźni rozmawiali cicho, jak gdyby się obawiali, że ich kto podsłuchać może.

— To, czego hrabia żądasz odemnie, — mówił Greffin, — jest poprostu nie możliwem!

— Niemożliwem nie jest nic, trzeba tylko chcieć, — odrzekł Ramiro.

Służyłbym panu chętnie i suma, jaką mi za to ofiarujesz, nęci mnie niezmiernie. Dziesięć tysięcy franków! Ale w chwili, w której wyciągnąłbym rękę po nie, byłbym shańbionym i straciłbym dobre imie, które w ciągu trzydziestu lat pozyskałem!

— Nikt tego nie spostrzeże!

— O, przeciwnie! Nie można tak bez wszystkiego usunąć dokumentu z archiwum policyjnego! Każdy dokument zaopatrzony jest w numer, numera są zapisane w księgach, które są w wydziale innego urzędnika — od czasu do czasu przychodzi rewizya, i wtedy odkryto by natychmiast brak dokumentu!

— A chociażby i odkryto — kto może dowieść, że to pan wziąłeś dokument? Przecież tam więcej jeszcze jest urzędników! Trzeba się tylko umieć zabrać do rzeczy!

— W takim razie padłoby podejrzenie na jednego z moich kolegów! — zawołał Greffin oburzony. — I ja miałbym pozwolić, aby niewinny cierpiał za mnie? Ależ to byłoby podle!

Ramiro wyjął z pugilaresu dziesięć biletów tysiącofrankowych i położył je na stole.

— Wiem, — rzekł, — że pan lubisz pieniądze i że potrzebujesz ich — weź je i przynieś mi jutro dokument!

— Ale co pana może obchodzić ten zbrodniarz brazyliański! — zawołał Greffin. — Akta jego przebyły cały świat prawie — z Brazylii do Wiednia, ztamtąd do Berlina, do Hamburga, Londynu, i nareszcie do Paryża! Co pana hrabiego obchodzi ten największy naszego czasu zbrodniarz, zwany Ramiro del Olivares! Ma on podobno różne nazwiska, i policya nasza sądzi, że on znajduje się obecnie tu, w Paryżu! Teraz dokument ma być posłany do Petersburga, bo i tam podobno przebywał, tak samo i we Włoszech!

Ramiro, śmiertelnie blady, słuchał w milczeniu słów Greffina. Ach, on znał aż nadto dokładnie treść tego dokumentu, wiedział, jak niebezpiecznemi dla niego są te papiery! To też chciał je posiąść za jaką bądź cenę i zniszczyć.

Władze policyjne wszystkich krai umieściły w aktach tych opisy jego zbrodni — w Brazylii nawet skazano go na śmierć i wyrok ten przyłączono także do akt.

Jeden z jego szpiegów doniósł mu, że dokument ten znajduje się obecnie w archiwum paryzkiej policyi kryminalnej, i Ramiro postanowił wydobyć go ztamtąd, cokolwiek bądź by to kosztowało!

Pierwszem jego zajęciem było teraz: badać przeszłość tych urzędników, którzy mieli przystęp do archiwum policyi.

I szczęście posłużyło mu, znalazł to, czego szukał.

Greffin był człowiekiem, nadającym się bardzo dobrze do wykradzenia dokumentu!

— Zbrodniarz ten nic mnie wprawdzie nie obchodzi, — odrzekł Barin, udając obojętność, — ale chciałbym posiadać te akta, a że pan masz prawo żądania odemnie wyjaśnienia, przeto powiem ci prawdę..... Otóż ten Olivarez jest — moim bratem i nazywa się w rzeczywistości Barin! Mając lat szesnaście, uciekł do Ameryki — no, i co dalej się z nim działo, o tem wolę milczeć! Ale teraz chodzi mi o to, aby go nie schwytano i publicznie nie sądzono! Jestem dumny na nasze nazwisko i nie chciałbym, aby je taki zbrodniarz splamił! Świat nie ma się dowiedzieć, że mój brat tak nizko upadł! Gdy się dowiedziałem, że akta jego znajdują się tutaj, przybyłem natychmiast i — muszę je zniszczyć! Bierz pan te pieniądze.....

— Nie — przerwał Greffin stanowczo, — nie mogę! Pieniądze te uszczęśliwiłyby mnie niezmiernie, ale nie mogę ich przyjąć, nie chcę tracić honoru!

— A ja panu mówię, — zawołał teraz Ramiro, — że jutro przyniesiesz mi pan dokument! Ja chcę tego! Jeżeli nie uczynisz pan dobrowolnie, to zmuszę cię!

— Mnie zmusić? O mylisz się hrabio! Do popełnienia czegoś złego nikt mnie zmusić nie może!

Ramiro roześmiał się szyderczo.

— Mam potężnego sprzymierzeńca, — rzekł, — i co pan odmówisz mnie, to jemu uczynisz napewno!

— Nie rozumiem tego.

— Nie? A cóż by na to powiedziała owa — kobieta — która tak wszechwładnie panuje nad tobą.....

Greffin zadrżał.

— Co! — krzyknął, — to pan jej wolą chcesz mnie zmusić? Ach, to niepodobno! Chyba nie jesteś pan człowiekiem, tylko szatanem! Zkąd pan możesz.....

— O, ja potrafię wszystko! Ja potrafię wskrzeszać umarłych i przyprowadzić ich tutaj! Ja znam tajemnicę pana, wiem, czemu się głodzisz, i gdzie się podziewają wszystkie twoje dochody! Wiem, jak rzeczy stoją z owym grobem na cmentarzu w Marsylii — jednem słowem — wiem wszystko!

— Jestem zgubiony!

I Greffin, pochyliwszy głowę na stół, głośno zaczął płakać.

— Weźmiesz pan te pieniądze? — odezwał się Ramiro po chwili. — I zobowiązujesz się dostawić mi dokument do jutra — do północy?

— Panie hrabio! — jęknął Greffin, podnosząc załzawione oczy, — zlituj się pan nademną! Mam dwie córki, którym nic oprócz dobrego imienia zostawić nie mogę!

— Wolisz pan więc, aby się córki pana dowiedziały, kto jest ich matka, i w jaki sposób ta matka z domu pana wyszła? Chcesz tego?

— O Boże! Byłem już tak blizki celu i wszystko przepadło!

— Wcale nie przepadło! Przyniesiesz mi pan dokument?

— Panie hrabio.....

— Przyniesiesz mi go, i to jutro o północy, do restauracyi pod Nożem.

— Ach, okropny lokal! Chodzą tam sami złoczyńcy! Ze wstrętem wymawia się tę nazwę!

— Więc musisz pan raz przezwyciężyć swój wstręt i przyjść tam! Nie potrzebujesz wchodzić drzwiami z ulicy, przejdź pan podwórze i wejdź w pierwsze otwarte drzwi. Zapytaj o Krokodyla, jest to gospodarz domu — on zaprowadzi cię do pokoju, w którym czekać będę. Więc jutro o północy!

— Przyjdę, — szepnął Greffin.

— Weź pan pieniądze!

— Nie, nie chcę ich! Poddaję się przymusowi, ale nie sprzedaję mego honoru!

— Nie bądź pan nierozsądny, wiem, że potrzebujesz pieniędzy, bardzo! Dług twój zawsze jeszcze nieodpłacony i niebezpieczeństwo wisi ci nad głową! Każdej chwili spadnąć może.....

— Nie spadnie, — przerwał Greffin łkając. — Dwadzieścia lat umiałem je odwracać od siebie i od moich córek, poświęciłem życie dla ocalenia honoru, i mam niewiele jeszcze do zapłacenia! Trzydzieści tysięcy franków. Potem będę uratowany!

Ramiro zgarnął pieniądze i włożył je do kieszeni, a usta jego skrzywiły się szatańskim uśmiechem.

— Jeżeli pan nie chcesz pieniędzy, — rzekł, — to ja cię zmuszać do przyjęcia ich nie będę. Ale dokument będzie jutro o północy w moich rękach!

— Tak, tak!

Ramiro skinął głową i wyszedł z pokoju, Greffin zaś siedział, oparty na stole, i płakał.

W salonie spotkał Ramiro Fanchonę.

— Jak się masz, moja piękna! — zawołał, klękając przed nią. — Cieszę się, że cię tu raz znowu widzę!

— Daj mi pan pokój, — rzekła Fanchon. — Zawołam ojca!



Chcę tylko ten pocałunek, który mi jesteś winna — rzekł Ramiro do Fanchony.

— Ojciec twój nic mi nie zrobi! Zresztą ja żadnych złych zamiarów nie mam — chcę tylko ten pocałunek, który mi jesteś winną od ostatniego naszego widzenia się!

Fanchon krzyknęła głośno i w tejże chwili puścił Barin jej ręce.

— Precz, nędzniku! — dał się słyszeć dźwięczny głos męzki, a Barin, popchnięty silnie, zatoczył się na ścianę.

Pomiędzy nim a Fanchoną stanął teraz młody, mniej więcej dwudziestoletni, wysoki mężczyzna, i patrzał groźnie na hrabiego.

— Waż się pan raz jeszcze dotknąć mej narzeczonej, — zawołał, — a poczujesz lepiej moją pięść!

Młodzieniec mówił płynnie po francuzku, ale wymowa jego zdradzała Anglika.

— Ach, Ryszardzie, — szepnęła Fanchon, — przyszedłeś w sam czas!

— Jak pan śmiesz przemawiać do mnie w ten sposób, — krzyknął Ramiro. — Taki prosty robotnik.....

— Prosty robotnik, — przerwał Ryszard, — tak, ale człowiek uczciwy! I ja miałbym prawo być dumnym na moje nazwisko i majątek — o tem jednak mówić nie warto!

Ramiro stał teraz naprzeciwko Ryszarda i wpatrywał się z natężoną uwagą w jego twarz. Potem, nie mówiąc już ani słowa, wyszedł na ulicę.

Nagle stanął.

— Ah, wiem już! — zawołał głośno, — wiem już, do kogo on taki podobny! Wszakże to istna twarz Józefiny Kronau! Jak gdyby byli rodzeństwem! Trzeba mi tę rzecz zbadać!

I zadowolony, wracał do kawiarni na bulwarach.

ROZDZIAŁ LIX.

Jaskinia w Passy.

Przed kawiarnią stało mnóstwo osób — wszyscy krzyczeli, popychali się, i opowiadali żywo o jakimś nadzwyczajnym wypadku. — —

— Co się tu stało? — zapytał Ramiro jednego z bliżej stojących panów.

— Byłoby się podobno, — odrzekł zapytany, — wydarzyło straszne jakieś nieszczęście, gdyby nie odwaga pewnej młodej kobiety....

Ramiro nie słuchał już dalej. Łokciami i pięściami torował sobie drogę między tłumem ,i nareszcie stanął na miejscu.

Ale Felicyi tam nie było!

— Felicyo! — krzyknął, nie zważając na setki ludzi.

Ktoś dotknął jego ramienia i wskazał mu na ulicę. Ramiro spojrzał, i zobaczył żonę!

Śmiertelnie blada, z pobłoconą suknią, opierała się Felicya na ramieniu policyanta.

Ramiro pobiegł ku niej.

— Co się stało, Felicyo, — zawołał przerażony. — Jesteś raniona?

— Nie! — szepnęła młoda kobieta drżącym głosem.

— Czy pan jesteś mężem tej pani? — zapytał policyant.

— Tak! Jestem hrabia Barin, a to moja żona!

— Winszuję panu, — rzekł policyant z wyszukaną grzecznością. — Najpierw, że jesteś pan mężem najodważniejszej kobiety, a powtóre, że żona pana prawdziwym cudem śmierci uszła!

— Opowiedz mi pan, — prosił Ramiro, — co i jak się wszystko stało. Odszedłem z kawiarni na pół godziny i o niczem nie wiem!

— Żona pana ocaliła życie cesarzowej austryackiej!

— Komu? Cesarzowej austryackiej?

— Tak jest!

Ramiro cofnął się jak gdyby go kto był uderzył i spojrzał groźnie na Felicyę.

Oczy obojga małżonków spotkały się.

Policyant tymczasem opowiadał obszernie o całym wypadku i chwalił nieustannie odwagę Felicyi.

W głowie Ramira plątało się tysiące myśli.

Więc Felicya poznała cesarzową! Ale czy cesarzowa poznała także dawniejszą damę dworską? Jak łatwo mogły się raz jeszcze obiedwie spotkać, a wtenczas wydałoby się kłamstwo co do listu gończego i szpiegów cesarzowej! O, jak ostrożnie należało mu teraz postępować!

— Dziękuję panu, — rzekł teraz do policyanta, — za udzielenie pomocy mojej żonie. Pojedziemy teraz do domu! Ale jeszcze jedno: nie chciałbym, aby nazwisko moje wymienione było w gazetach. Napisz pan w raporcie, że jakaś rosyjska hrabina ocaliła życie cesarzowej. Będę panu bardzo za to wdzięczny.

— Owszem, stanie się tak, jak pan hrabia sobie życzy.

Przed kawiarnię zajechał teraz powóz Barina, na koźle, obok stangreta siedział Luigi.

Barin usadził żonę, zajął miejsce obok niej i konie ruszyły.

Gdy przybyli do domu, oddał hrabia Felicyę pod opiekę garderobianej, i wychodząc z jej pokoju, rzekł:

— Skoro się przebierzesz i odpoczniesz trochę, przyjdź do salonu. Mam ci coś ważnego do powiedzenia!

Po upływie godziny weszła Felicya do salonu.

— Czego sobie życzysz? — zapytała cicho męża.

— Chciałem ci przedewszystkiem przypomnieć, — zaczął Ramiro poważnie, — że dotychczas zdołałem cię uchronić od niebezpieczeństwa..... Cesarzowa każe cię nieustannie ścigać.....

— Ach, nie mów mi dziś o tem! — zawołała Felicya ze łzami w oczach. — Na widok ukochanej cesarzowej zakrwawiła się na nowo rana w mem sercu! Byłam tak blizko mej pani — słyszałam jej głos — o, jak chętnie byłabym umarła u jej stóp!

— Bredzisz, moja droga, — rzekł Ramiro szyderczo. — Wiesz dobrze, że nie wolno ci nigdy widzieć cesarzowej, jeżeli nie chcesz się narazić na — — uwięzienie! Najwyższy czas, abyśmy się wynieśli za morze!

— Nie! Wolę, aby mnie uwięzili, wolę znieść wszystko, niż to życie tułacze, bez domu, bez jutra.....

— Czyś zmysły straciła? ?Chcesz się zgubić na wieki? Myślisz, że cesarzowa uwierzy twoim łzom i zapewnieniom twej niewinności? Ach, ty nie wiesz, co to znaczy, być w więzieniu! A przedewszystkiem — ja ci na to nie pozwolę! Dziś jeszcze opuścisz Paryż, ale sama, bo ja tu chwilowo pozostać muszę. Wywiozę cię na wieś — Luigi będzie przy tobie, ale on sam tylko będzie znał miejsce twego pobytu!

— I dokąd mnie zawieziesz?

— Nie wiem jeszcze, ale powiem ci to za kilka godzin. Urządzę ci wszystko jak najwygodniej — a za kilka tygodni, albo i prędzej może — opuścimy Europę, i udamy się do Ameryki. Tam będziesz zupełnie bezpieczną i szczęśliwą przy boku męża, który cię uwielbia!

— O Boże! Do Ameryki! — jękła Felicya. — I nigdy już nie wrócimy do ojczyzny! Nigdy już nie mam ujrzeć mej cesarzowej! Wiesz Ramiro, gdy spojrzałam dziś w jej oczy, pomyślałam mimowoli, że to nie może być, aby ona pragnęła mej zguby, aby mnie ścigała.....

— Jakto, — przerwał Ramiro rozgniewany, — czy nie pokazałem ci listu gończego, wydrukowanego? Czy myślisz może, że ja cię okłamuję i oszukuję!

— Nie wiem, — odrzekła Felicya, patrząc mu przenikliwie w oczy, — ale to jedno powiadam ci: jeżeli mnie okłamujesz, to pomszczę się okropnie na tobie!

Ramiro rozśmiał się, i wyszedł.

Ale w głębi duszy zaniepokoiły go niezmiernie słowa Felicyi. Ta słaba łagodna kobieta, którą uważał za narzędzie w swojem ręku, śmiała mu grozić?

Ledwie stanął za progiem salonu, ujrzał małą, schyloną postać, wysuwającą się z za portyery.

Był to Luigi.

— Podsłuchiwałeś znowu, — krzyknął Ramiro, — a wiesz dobrze, że masz to czynić tylko na mój rozkaz!

— Nie kazałeś mi pan podsłuchiwać raz na zawsze hrabiny? — odrzekł Luigi bezczelnie. — Nie wiedziałem, że to pan byłeś w salonie!

— Nie kłam! Dziś jeszcze wybaczam ci, i słuchaj co powiem. Wyjdę teraz z domu, a wrócę dopiero późno na wieczór. Przez cały ten czas nie spuścisz hrabinę z oczu, a gdyby wyjechała lub wyszła, pójdziesz za nią!

— Z wiedzą hrabiny? zapytał Luigi.

— Nie, bez jej wiedzy! Przebierz się, jeżeli potrzeba! W każdym razie opowiesz mi wszystko dokładnie!

— Pan hrabia może mi ufać!

— Masz tu dziesięć franków. Na drugi raz jednak nie waż się podsłuchiwać mnie samego, bo ci to na dobre nie wyjdzie.

Potem udał się Ramiro do swego pokoju, zamknął drzwi na klucz i nacisnął ukrytą sprężynę w ścianie koło biórka. Ściana usunęła się natychmiast, a w głębi jej ukazała się szafa, przepełniona rozmaitemi ubraniami, zupełnie, jak u kupca maskowych kostyumów.

Były tu całe ubiory, wytworne, skromne, kapelusze, peruki, buty, słojki z maściami i płynami, pendzelki, jednem słowem wszystko, czego potrzeba do zupełnego, a częstego przeistoczenia całej osoby. Były tam mundury, habity, kaftany galicyjskich żydów i fraki, ozdobione wysokiemi orderami— wszystko naturalnie fałszywe i żadnej nie mające wartości.

Przez chwilę namyślał się Ramiro, potem zaczął wybierać stósowne na dziś ubranie.

I tak wziął najpierw kratkowane jasne spodnie, aksamitną westkę, bronzowy długi surdut i staromodny kapelusz, jasnoblond perukę i takąż brodę. Wyglądał w tem jak mieszkaniec wsi, dobroduszny, trochę ograniczony, pragnący się zabawić w Paryżu.

Gdy skończył swoje dzieło, przejrzał się zadowolony w lustrze, i zabrawszy jeszcze kij o złoconej gałce, wyszedł z domu bocznemi drzwiami.

Na ulicach były latarnie już zapalone.

Ramiro doszedł do rogu przedmieścia, zawołał na przejeżdżającą doróżkę, i kazał się zawieźć na drogę, wiodącą do Passy. Doróżkarz zaciął konia i koń ruszył.

Po upływie godziny kazał Ramiro stanąć.

— Zaczekaj tu na mnie, przyjacielu, rzekł do doróżkarza, ja wrócę niezadługo, i potem możesz mnie znowu odwieść do Paryża. Masz tu pięć franków!

— Dobrze, zaczekam na pana!

Ramiro szedł przez pewien czas prosto drogą, ale gdy sądził, że doróżkarz już go dojrzeć nie może, zwrócił się na prawo na wrzosowisko i biegł teraz, ile mu sił starczyło.

Wrzosowisko to w niezbyt dobrej było u mieszkańców Passy, renomie. Włóczyło się tam zawsze pełno zło-

dziei, przestępców, niechcących się spotykać z policyą, to też każdy unikał jak mógł tego niebezpiecznego miejsca.

Na stronie południowej stało tam kilkanaście małych domów, nie tworzących wsi, ale należących do siebie. Nazwano je ogólnie „Jaskiniami w Passy,“ a mieszkali w nich ludzie tacy, że nawet złoczyńcy omijali je zdaleka. Kto nie musiał tam iść, ten z pewnością nie szedł.

I do tych domów zmierzał teraz Ramiro.

Ciemno tu było i pusto — raz po raz wysunęła się jaka postać z pomiędzy domów, i znikła, tu i tam dało się słyszeć szczekanie psa, zresztą cisza panowała wszędzie głęboka. Ramiro wiedział bardzo dobrze, że z okien, zalepionych po części papierem, patrzeli na niego mieszkańcy domów — że niejedna ręka pochwyciła nóż lub kamień, aby go rzucić na samotnego przechodnia, ale był on tu na wszystko przygotowany i byłby umiał dać sobie radę. Oprócz rewolwera miał jeszcze swój kij — a w nim ukryty ostry sztylet — nikt zaś, jak on nie umiał władać tak zręcznie tą bronią.

Przed jednym z ostatnich domów, trochę porządniejszym, stanął Ramiro. Były tu okna z całemi szybami, żaluzye, a nawet kilka krzewów winnej latorośli pięło się na tyczkach koło schodów.

Ramiro zapukał do drzwi trzy razy i gwizdnął przeciągle.

Na ten znak otworzyły się drzwi natychmiast i na progu, z lampą w ręku, stanął olbrzymi murzyn.

— Cofnij lampę, — krzyknął Ramiro. — Czego tak na mnie patrzysz? Czy nie poznajesz twego pana?

— Panie! Panie! Nareszcie! — wyjąkał murzyn. — Pozwól mi ucałować nogi twoje! Oh, jaki Mungo szczęśliwy, że widzi znowu swego pana!

I postawiwszy lampę na stół, rzucił się na ziemię i całował nogi Ramira.

— Jesteś poczciwy chłopak, — rzekł Ramiro, uśmiechając się. — Ale wstań teraz, i powiedz mi, czy Lady w domu. Muszę się z nią koniecznie widzieć.

— Lady jest w domu, panie! W swoim pokoju! Ach, teraz rozumiem! Dlatego była ona kilka razy w Paryżu i powiadała mi, że zobaczę wnet kogoś znajomego!

Ramiro nie zważał teraz już na murzyna. Znając widocznie dobrze rozkład domu, przeszedł na drugą stronę domu i zapukał do drzwi, zasłoniętych ciemną firanką.

— Proszę! — dał się słyszeć cichy głos kobiecy.

Ramiro wszedł. W pokoju stała nie młoda już, ale zawsze jeszcze piękna, czerwonowłosa kobieta.

Była to lady Sullivan, która uwolniła Malatestę z więzienia w Melegari-Varano.

Ale tak jak w Wiedniu mieszkała w wspaniale urządzonej willi i miała zawsze tysiące do dyspozycyi, tak mieszkanie jej tutaj, w Jaskiniach Passy, było więcej niż skromne!

Na widok Ramira zdumiała.

— Cóż to! — zawołała, pan przychodzisz do mnie? Odważasz się na to? Ah, musiało się zapewne stać coś nadzwyczajnego, czy policya szuka mnie? Wszakże Czerwona Lady, osławiona nihilistka nigdzie nie ma spokoju! Mam uciekać? Mów pan, jestem na wszystko — przygotowana!

— Nie lękaj się pani niczego, — odrzekł Ramiro, odkładając fałszywą brodę. — Chwilowo nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo, ale o ciebie nie chodzi mi dziś, tylko o moją — żonę!

— Ah, o piękną Felicyą, — roześmiała się lady. — Masz pan znowu kłopot o nią? A przecież odradzałam ci tego małżeństwa! Ale mężczyzni tracą rozum gdy się zakochają.

— Możesz pani mówić o tem z doświadczenia, — rzekł Ramiro szyderczo. — Pewien lord angielski mógłby także rozmaitości opowiadać o szaleństwach, które popełnił z miłości dla pięknej kobiety.

— Daj pan pokój tym starym historyom! Powiedz mi lepiej, czego chcesz odemnie?

— Chciałbym, abyś pani przyjęła Felicyą do siebie na kilka tygodni.

— Czyś pan oszalał? Tę niewinną istotę umieszczać w Jaskiniach Passy?

— W domu pani nie może się stać nic złego! Pani będziesz się nią opiekować i własnem życiem odpowiesz mi za jej życie!

— Czemu pan ją chcesz tu umieścić?

— Bo cesarzowa austryacka jest w Paryżu i mieszka w Grand Hotel pod innem nazwiskiem. Dziwnym zbiegiem okoliczności ujrzała ją dziś Felicya — konie cesarzowej rozbiegały się, a Felicya rzuciła się, aby je zatrzymać i ocalić życie.....

— Przeklęta sprawa! Gdyby Elżbieta była poznała swoją dawniejszą damę dworską, — przerwała lady gniewnie, to nie byłoby nam wcale przyjemnie!

— Jestem przekonany, że ona jej nie poznała, ale dla pewności wolę Felicyą usunąć z Paryża. Zostanie więc tutaj u pani kilka tygodni!

— Ale ja nie jestem wcale przygotowaną na takiego gościa! Na górze mam dwa małe pokoiki, bardzo skromnie urządzone, a co do służby, to jeden Mungo może nam służyć!

— Tem lepiej, nikt nie domyśli się, że pani masz u siebie młodą i piękną kobietę! Do ogrodu wolno Felicyi wychodzić, ale dalej nie!

— Ah, więc ma to być rodzaj więzienia?

— Tak jest! I spodziewam się, że będziesz jej dobrze strzegła!

— Możesz mi pan zaufać! Ja panu tyle zawdzięczam! Nawet ten dom i całe utrzymanie. Kiedy mogę oczekiwać przybycia Felicyi?

— Dziś w nocy! Muszę jej opowiedzieć jaką bajkę, bo nie powinna się domyślać, że ma przez kilka tygodni być w towarzystwie najniebezpieczniejszej anarchistki. Powiem jej, że pani jesteś wdową po angielskim kapitanie, poległym w Afryce, i że przeniosłaś się do Francyi. Mungo był wiernym sługą kapitana. — Zresztą nazwisko możesz śmiało zatrzymać to samo, lady Sullivan!

— Lady, lady! — powtórzyła kobieta niechętnie. — Nie lubię tego słowa! Bo mogłabym być rzeczywistą lady, mogłabym mieć pałace i brylanty, gdyby nie ten nędznik — ten tchórz, który mi zabrał szczęście całego życia! Ach, gdybym ja się mogła pomścić na nim! Ale ile razy jestem w Londynie, nie mogę go odszukać, on się ukrywa przedemną! Powiadają mi zawsze, że wyjechał w daleką podróż i zabrał mego syna.....

— Jesteś pani dziś w zupełnie innem, jak zwykle, usposobieniu. Mogłabyś mi też opowiedzieć historyą twego życia, bo ludzie tak zaprzyjaźnieni i złączeni wspólnemi ścianami, jak my, powinni znać nawzajem swoją przeszłość. Że jestem dyskretny, o tem wiesz pani oddawna!

— Dobrze, — odrzekła kobieta. — Opowiem panu wszystko!

I zająwszy miejsce obok Ramira na kanapie, zaczęła jak następuje:

ROZDZIAŁ LX.

Przeszłość Czerwonej lady.

Wszyscy zwali mnie oddawna lady i uważali mnie za Angielkę. Ale ja jestem rodowitą Paryżanką!

Rodzice moi pochodzili z podupadłej, szlacheckiej rodziny, i byli tak biedni, że ojciec musiał w końcu przyjąć miejsce kelnera w hotelu, a matka haftowała dla jakiegoś składu..... Pomimo to otrzymałam staranne wychowanie, byłam jedynaczką, i rodzice mieli nadzieję, że ich ukochana, piękna Nadina wyjdzie kiedyś świetnie za mąż i zajmie należne jej stanowisko w wyższem towarzystwie!

I nadzieje ich o mało się nie spełniły. Milionowy lord zakochał się we mnie, ale — miał już żonę!

Gdy miałam lat piętnaście, umarł ojciec — znajomi wystarali się dla mnie o bezpłatne miejsce w seminarium nauczycielek i ułatwili mi kończenie szkół. Złożyłam świetny egzamin — nauczyciele wszyscy kochali się we mnie i dwóch nawet ofiarowało mi rękę, ale stanowisko żony nauczyciela nie miało wówczas żadnego dla mnie uroku. Małe dochody, bieda — nie, nigdy!

Przyjęłam więc miejsce w prywatnym domu, jedno, drugie i trzecie, i wszędzie musiałam się wynosić...

Panie zazdrościły mi piękności, panowie okazywali mi jawnie uwielbienie — dosyć, że wkrótce stałam się tak zwaną niebezpieczną osobą!

Byłam piękną, to prawda, a główną moją ozdobą były włosy, koloru roztopionego złota. Później, chcąc zmienić całą moją osobę, zaczęłam je farbować.....

Uroda stała się mojem przekleństwem! Nikt mnie

przyjąć nie chciał, tam znowu, gdzie mnie przyjąć chcieli, nie byłabym poszła — i tak zwolna, zwolna — zaczęłam nienawidzieć ludzi bogatych, i całe towarzystwo wytworne, dumne, nieprzystępne.....

Śmiej się pan, ale to głównie popchnęło mnie do anarchizmu. Ja, piękna, dobrze wychowana i więcej wykształcona, niż inne, musiałam znosić upokorzenia i szyderstwa dla tego tylko, że byłam biedną! Podczas kiedy panie z towarzystwa, brzydkie, ograniczone, ale dumne i bogate, tańczyły i bawiły się w najlepsze, musiałam ja siedzieć w dusznym pokoju i znosić kaprysy rozpieszczonych dzieci!

Pewnego dnia poznałam kobietę, która domyśliła się może mego niezadowolenia i ulitowała się nademną.

Była to żona milionowego Anglika, lady Corrigan. Wydana bardzo młodo za mąż, czuła się także samą i opuszczoną i ofiarowała mi miejsce swej towarzyszki.

Lord Corrigan zgodził się także na to, i tak pojechałam z nimi do Londynu, gdzie posiadali jeden z najpiękniejszych pałacy. Z początku szło wszystko dobrze. Lady Corrigan była dobra, łagodna, uprzejma, i ona byłaby mnie z czasem pogodziła z moim losem, ale w księdze przeznaczenia było napisane, że nie długo będę się mogła cieszyć przyjaźnią szlachetnej tej kobiety.

Mąż jej pokochał mnie!

Nie chciałam zdradzać mej dobrodziejki, opierałam się podszeptom lorda, ale w końcu miłość zwyciężyła i uległam jego prośbom i namowom.

Lady Corrigan nie domyślała się niczego!

Po kilku miesiącach wynajął lord dla mnie pałacyk na innej ulicy, urządził go pięknie i przeniosłam się tam, pod innem nazwiskiem. Żonie jego powiedziałam, że mój ojciec ciężko chory, i że muszę wracać do Paryża!

Szlachetna kobieta obdarzyła mnie hojnie i wymogła przyrzeczenie, że wrócę do niej, skoro ojciec wyzdrowieje lub też umrze. Przyrzekłam wszystko!



Lord zamienił dzieci! Mój syn przeszedł do pałacu lorda, a córkę lady Corrigan przeniesiono do mojej willi.

W pałacyku świetne wiodłam życie! Miałam powóz, konie, służbę i dużo pieniędzy, mogłam więc używać dowolnie wszelkich przyjemności.

Lord odwiedzał mnie co kilka dni, nikt go w moim domu jednak nie znał — wchodził i wychodził bocznemi drzwiami, z wysoko podniesionym kołnierzem, tak, że twarzy jego nie było można dojrzeć.

I tak minęło kilka miesięcy. —

Tego samego dnia, kiedy się urodził mój syn, powiła żona lorda córkę. Ciężki to był cios dla niego! Majątek cały przechodził po jego śmierci na boczną linią, lady Corrigan odchorowała bowiem tak ciężko urodzenie się córki, że o dalszem potomstwie mowy być nie mogło. Lekarz oświadczył to zaraz lordowi, gdy dziecko na świat przyszło. Dziewczynka była nadto słaba i mogła każdej chwili umrzeć.

Mój syn natomiast był silny i zdrów, i każdy ojciec mógł się poszczycić takim chłopcem.

I wtenczas ułożyliśmy oboje plan szatański. Lord zamienił dzieci! Mój syn przeszedł do pałacu, córka lady Corrigan do mojej willi, a potem oddaliśmy ją, na moje wyraźne żądanie, jakiejś zbrodniarce, mieszkającej w Whitechaple..... Za nic w świecie nie byłabym wychowywała córki lady Corrigan! Odtąd nic o tem dziecku nie słyszałam!

Ale teraz skończyła się moja świetność. Lord, będący dotychczas moim niewolnikiem, zaczął jednak żałować swego postępku i zarzucał mi brak serca. Nie mógł on zapomnieć swojej córeczki, a chociaż stosunek nasz trwał jeszcze blizko dwa lata, to wiedziałam jednak, że miłość jego stygnie z każdym dniem więcej.

Wszystkie moje łzy, prośby i groźby były daremne — pewnego dnia powiedział mi, że namówiłam go do popełnienia zbrodni, której mi nigdy nie wybaczy, porównał mnie ze swoją szlachetną, dobrą i cnotliwą żoną i wyrzucił mnie za drzwi.

Chcąc chociaż coś z tego wszystkiego uratować, rzekłam mu, że zrzekam się wszelkich do niego pretensyi, jeżeli mi wypłaci pięć tysięcy funtów szterlingów. Była to znaczna suma, ale kazał mi ją natychmiast wręczyć!

Musiałam jednak stósownie do jego życzenia, opuścić Anglią i przysiądz, że nigdy nie będę się starała o zobaczenie mego syna. Nie miałam zresztą żadnego dowodu na to, że syn lorda Corrigan jest moim synem!

Zaraz po urodzeniu się córki popadła lady w tak ciężkie zemdlenie, że nie wiedziała wcale — przez cały niemal dzień, czy powiła syna czy córkę, a gdy o to zapytała, znajdował się już mój syn w kolysce jej dziecka!

— Ale przecież musiał tam być lekarz, — wtrącił Ramiro.

— Tak, był Włoch jakiś, doktor Tritoni. On też był wtajemniczony we wszystko. Z początku nie chciał się podobno zgodzić na tę zamianę, ale lord Corrigan zmusił go do tego — czem — tego nie wiem! Garderobiana lady, będąca także świadkiem zamiany, umarła kilka tygodni później, nagle, nie mając już czasu na wyznanie prawdy. Tritoni musi milczeć!

Do dziś dnia nic się też jeszcze nie wydało, mój syn uchodzi za prawdziwego syna lorda i lady Corrigan, a ja przecież nie zdradzę go! Niech się ze mną dzieje co chce, byleby dziecko moje było szczęśliwem!

Pieniądze, które mi lord wypłacił, byłyby wystarczyły na skromne dla mnie utrzymanie, ale ja chciałam sumę podwoić; pojechałam do Monte Carlo i tam straciłam wszystko!

Napisałam raz jeszcze do lorda, prosząc go o trochę pieniędzy, list jednak odesłano mi nieotworzony, z dopiskiem poczty, że lord i cała jego rodzina wyniosła się do Indyi. Wtedy wróciłam do Paryża i rozpoczęłam znowu życie pełne upokorzeń, biedy i nędzy!

Przez te kilka lat w Anglii, przyzwyczaiłam się do wspaniałego mieszkania, do wygodnego życia — to też podwójnie odczuwałam teraz mój niedostatek! Widziałam, jak żyją ubodzy, poznałam, co znaczy nędza i przyłączyłam się do — anarchistów. Było tam mnóstwo mężczyzn i kobiet, oskarżających towarzystwo wielkiego świata o pokrzywdzenie ich i spowodowanie ich nieszczęścia!

Widziałam wprawdzie, że główną przyczyną niedoli był wstręt do pracy — pracować nie chciał nikt, ale pieniędzy chciał każdy! Że zaś policya ścigała anarchistów, przeto zebranie każde musiało się odbywać potajemnie — i ta właśnie tajemniczość, to narażanie się na niebezpieczeństwo miało wielki dla mnie urok.

Raz, na zebraniu, powiedział nasz prezydent, że jedynym sposobem dojścia do jakiegoś celu jest: mieć wiadomości o zamiarach policyi kryminalnej — że tylko wtenczas możemy pracować z pożytkiem dla ludzkości i przysłużyć się sprawie. I kazał jednej z nas zawrzeć znajomość z jakim urzędnikiem policyi, zawrócić mu głowę i wyłudzić z niego wszystko, czego nam wiedzieć było potrzeba!

Wybór jego padł na mnie, urzędnikiem zaś, którego miałam zbałamucić w celu wyzyskania go, był sekretarz policyi kryminalnej, Emil Greffin!

Zaraz nazajutrz zabrałam się do dzieła. Wynajęłam pokoik w domu, w którym Greffin mieszkał, starałam się o poznanie go i wkrótce pozyskałam jego miłość!

Ale i on nie był mi obojętnym! I gdy po kilku tygodniach zapytał mnie, czy chcę zostać jego żoną, powiedziałam — tak! — Chciałam koniecznie korzystać z sposobności wrócenia na drogę uczciwości, chciałam zapomnieć o przeszłych kilku latach, i być mu dobrą i wierną żoną....

Ślub nasz odbył się wkrótce, anarchiści tryumfowali! Mieli teraz wybornego szpiega w obozie nieprzyjacielskim. A ja przysięgłam sobie, że męża mego nie zdradzę, chciałam żyć spokojnie i zerwać z mojemi dawniejszymi wspólnikami.

Po roku obdarzył mnie Bóg córką, ładną zdrową dziewczynką, rok później znowu, ale tym razem ukarał mnie pewnie za krzywdę, jaką wyrządziłam córce lady Corrigan. Moja młodsza córka była ułomną — wszystkie jej członki strasznie wykrzywione, tak, że o mało nie umarłam z przerażenia na widok tego nieszczęśliwego dziecka! Zwolna tylko uspokoiłam się, przyrzekając sobie w duszy, że poświęcę całe moje życie temu dziecku, że zbierać będę pieniądze tylko dla niej, aby mniej uczuła swoją niedolę.

Fanchon i Rozalia były teraz całem mojem szczęściem!

Zdawało mi się, że zerwałam zupełnie z przeszłością i że tryb życia mego nigdy się już nie zmieni! Ale pokusa czuwała!

Anarchiści dowiedzieli się, że car rosyjski zamierza przybyć na jeden dzień do Paryża; mówiono o jakiejś tajnej naradzie z prezydentem Rzeczypospolitej, mającej na celu przymierze Rossyi i Francyi.

Nikt jednak nie wiedział, gdzie narada ta ma się odbyć. Anarchiści żądali odemnie, abym się zapytała o to mego męża, który pracując w archiwum policyi kryminalnej, musi czytać wszystkie ważne listy i dokumenta.

Odpowiedziałam moim dawniejszym przyjaciołom, że nie chcę narażać szczęścia mej rodziny i odmówiłam stanowczo ich żądaniu!

Ofiarowano mi wtedy dwadzieścia tysięcy franków, a ja, mając zawsze na myśli moją nieszczęśliwą córkę Rozalią — uległam pokusie!

Mój mąż nie chciał mi z początku powiedzieć, gdzie car ma się spotkać z Prezydentem. Twierdził, że on o niczem nie wie — ale w końcu nie mógł się oprzeć moim prośbom i wyznał mi, że spotkanie to ma się odbyć w jednej z wil w blizkości lasku bulońskiego, i wymienił mi także oznaczoną godzinę.

Nazajutrz doniosłam o wszystkiem anarchistom i otrzymałam dwadzieścia tysięcy franków. Ale spokój mój zniknął od tej chwili! Drżałam ze strachu na myśl jakiego nieszczęścia, nie mogłam ani spać, ani jeść, nie śmiałam spojrzeć w oczy ani memu mężowi, ani dzieciom....

Okropne wyrzuty sumienia dręczyły mnie dniem i nocą!

Dwa dni później, siedząc przy obiedzie, usłyszeliśmy na ulicy wołanie chłopaków, roznoszących najnowsze wiadomości.

Tknięta strasznem przeczuciem, pobiegłam do okna, kazałam sobie podać gazetę, przeczytałam, i z głośnym krzykiem upadłam zemdlona.

O jedenastej godzinie przed południem, a więc o tej godzinie, którą wymieniłam anarchistom, nastąpiła w jednej z wil koło lasku bulońskiego okropna eksplozya dynamitowej bomby. Nie było tam jednak ani cara, ani prezydenta, tylko jakieś małżeństwo z czworgiem dzieci, będących o tej porze w szkole. Rodzice, służący garncarz i pokojówka zostali zabici na miejscu, a każdy zostawiał rodzinę, której był jedyną podporą i pomocą. I to było — moją winą!

Gdy odzyskałam przytomność, ujrzałam mego męża.... Siedział on przy mnie i trzymał rękę moją tak silnie, jak gdyby ją zgnieść chciał, a oczy jego patrzały groźnie na mnie....

Na domiar złego wypadły mi z za stanika owe pieniądze, otrzymane za zdradę, i leżały teraz na stole.

— Zkąd masz tyle pieniędzy? — zapytał surowo.

Przerażona, wyznałam mu całą prawdę, a gdy skończyłam, ujrzałam wielkie łzy, spływające po twarzy mego męża. Był to widok prawie nie do zniesienia!

— Kochałem cię, — rzekł, — tak, jak tylko mężczyzna kobietę kochać może, a ty unieszczęśliwiłaś mnie i dzieci. Tych zamordowanych ludzi masz ty na sumieniu! Gdy przed kilku dniami pytałaś, gdzie car ma spotkać prezydenta, wtedy nie przeczuwałem, że jesteś płatnym szpiegiem tych łotrów, mających jedynie na celu morderstwa, pod pozorem odwetu! Ale powiedziałem sobie, że lepiej jednak nie zawierzać ci tak ważnej tajemnicy, a że chciałaś koniecznie wszystko dokładnie wiedzieć, przeto wymieniłem ci pierwszą lepszą willę, jaka mi na myśl przyszła — dom, w którym mieszkali zupełnie niewinni ludzie! Doniosłaś o tem anarchistom, i jaki skutek twej zdrady? Dom leży w gruzach, a pod nimi pięć trupów! Nieszczęśliwe dzieci opłakują rodziców, stara matka, narzeczona, rodzice, nie mogący już zapracować na życie, opłakują śmierć tych, którzy ich utrzymywali! Wszystko to twoje dzieło. Mnie uczyniłaś żebrakiem, bo moim obowiązkiem teraz jest zająć się pozostałymi i zabezpieczyć im wszystkim przyszłość! Oddam im każdy grosz — co miesiąc poślę im pieniądze przez bankiera, bez wymienienia mego nazwiska — ja sam będę żył, jak żebrak, dla mnie nie ma już ani szczęścia, ani rozrywki — nic — nic! Dzieci twoje muszą razem ze mną pokutować za winę matki, będą musiały ciężko pracować i oddawać wszystko tym, którzy się stali ofiarami twej zbrodni!

Upadłam przed moim mężem na kolana, płakałam, zaklinałam go, aby odstąpił od swego zamiaru, ale daremnie. Z widocznym wstrętem odepchnął mnie od siebie, i zawołał:

— Jeżeli ty jesteś zbrodniarką, to ja, dzięki Bogu, znam jeszcze mój obowiązek i wypełnię go! Ciebie powinienem kazać natychmiast uwięzić — zasłużyłaś czynem twoim na śmierć, ale nie mogę wydać w ręce kata kobiety, którą kochałem! To nad moje siły! Uciekaj! Opuść Paryż jak najprędzej!

A wziąwszy z owych nieszczęsnych pieniędzy kilka banknotów, podał mi je, dodając:

— Weź to na drogę! Resztę wręczę ofiarom twej zbrodni!

Chciałam dzieci pożegnać, ale mi nie pozwolił na to!

— Nie dotykaj twemi zakrwawionemi rękami tych niewinnych istot, — rzekł mi. — Powiem im, że umarłaś i jesteś pochowaną w Marsylii! Opuść teraz mój dom!

Wyszłam jak nieprzytomna — wyjechałam z Paryża, a nie mając ani domu, ani rodziny, poszłam znowu do anarchistów i stałam się jednem z najodważniejszych i najniebezpieczniejszych narzędzi w ich ręku.

We wszystkich krajach zna policya Czerwoną lady — ścigają mnie, polują, jak na dzikie zwierzę, a jednak potrafię zmylić zawsze pogoń i ukazuję się tam, gdzie się tego najmniej spodziewają! Jestem wolna i mam nadzieję, że będę nią zawsze!

— A dotrzymał Greffin słowa? Wspierał pozostałe po zabitych rodziny? — zapytał Ramiro ciekawie.

— Tak, poświęcił się dla nich! Każdy grosz posyła im! Dwoje z tych dzieci, których rodzice ponieśli śmierć zarabia już sobie na życie, matka garncarza umarła, ojciec pokojówki żyje jeszcze, dzieci służącego pracują także już na chleb same. Zostaje więc jeszcze: ojciec pokojówki i dwoje dzieci zabitych rodziców. Greffin odmawiał sobie wszystkiego, córki jego muszą ciężko pracować i — wszystko to z mojej winy! Otóż to historya mego życia! Jestem więcej nieszczęśliwą, niż złą, chociaż wiem, że gdy stanę przed Bogiem, nie będę mogła odpowiedzieć za niejeden z moich czynów! A teraz podaj mi pan papierosa, — zawołała, śmiejąc się głośno — zmęczyłam się mówieniem — papieros ożywi mnie trochę!

I zapaliwszy cygareto, osłoniła się cała kłębami dymu.

Ramiro nie widział łez, spływających po jej twarzy.

— Muszę wracać do domu, — rzekł teraz nagle, wstając. — Za kilka godzin przybędę z Felicyą. Wiesz pani teraz, o co chodzi i nie wspominaj jej nic o naszej przyjaźni!

— Przyprowadź mi pan żonę, cieszę się, że będę miała towarzystwo. Zaczynałam się już tu nudzić!

— Więc przyrzekasz mi pani czuwać nad nią? Wiesz, że kocham ją nad życie, że to mój skarb najdroższy!

— Możesz mi pan wierzyć, że uczynię wszystko co mogę! Nie ma cię Mungo odprowadzić przez wrzosowisko?

— Nie, nie chciałbym, aby nas kto widział idących razem. Jestem dostatecznie uzbrojony!

I kilka minut później wracał Ramiro zamyślony do domu.

LXI.

Mignon mała kwieciarka.

Gdy cesarzowa Elżbieta przybyła owego dnia, po wypadku z końmi, do hotelu, udała się natychmiast do swego pokoju i oświadczyła, że chce być zupełnie samą.

Elżbieta bywała częściej w Paryżu pod nazwiskiem hrabiny Hohenfels, ale mało tylko osób towarzyszyło jej w tych wycieczkach — dwie damy dworskie, garderobiana i Antoni — to był cały jej orszak! Zajmowała zawsze pół piętra w Grand Hotel, blizko Opery i nie lubiła zdradzać swego incognita.

I podczas kiedy teraz odpoczywała w swej sypialni, siedziała Nelly Rosen, jej dama dworska, w małym, kosztownie urządzonym saloniku, i rozmawiała żywo z stojącym przed nią Antonim.

— Nie, nie, Antoni, — mówiła Nelly, — omyliłeś się napewno! Hrabianka Felicya nie żyje pewnie oddawna, bo jakżeby mogła żyć z takim zbrodniarzem!

— Ktoby to był myślał, — zawołał Antoni, — że hrabia Olivarez jest oszustem! Uchodził on w Wiedniu za ambasadora brazylijańskiego, miał wszystkie papiery w porządku i występował jak wielki pan! I dopiero w dzień ślubu nadeszła wiadomość, że w Londynie, leży w szpitalu ciężko chory, prawdziwy ambasador, Ramiro del Olivarez. Zeznał on, że jechał do Europy w towarzystwie swego sekretarza i lektorki, i że w Londynie, w nocy, został napadnięty przez sekretarza swego, Pedra de Branco. Ciężko rannego wyciągnięto z Tamizy i zaniesiono do szpitala. Pedro de Branco ukradł mu papiery, pieniądze, a nawet i ubrania, i odgrywał we Wiedniu przez pewien czas bardzo dobrze rolę swego pana! W dzień ślubu jak już mówiłem, wydało się wszystko. W zamku cesarskim miał się odbyć wspaniały obiad, ale dla powodów, których nie znam, odmówiono go znowu. Cesarz kazał uwięzić oszusta, ale gdy policya przyszła, już go w pałacu nie było . Uciekł i żonę zabrał z sobą!

— Tego właśnie nie rozumiem! Jak mogła hrabianka Felicya zgodzić się na ucieczkę z takim łotrem?

Przecież on musiał jej powiedzieć, dlaczego ucieka?

— Kobieta, która kocha, uwierzy wszystko! Bóg wie, co on jej tam nakłamał! Może porwał ją przemocą!

— Człowiekowi, który własnego pana chce zamordować, można wszystkiego dowierzać!

— To prawda ale w ciągu tylu lat byłaby Felicya znalazła nie raz sposobność napisania do cesarzowej i proszenia jej o pomoc!

— Może się wstydzi wyznać, że jest nieszczęśliwą..... Ale niech będzie jak chce, ja widziałem ją dziś!

— I myślisz, że to ona rzuciła się naprzeciwko koniom?

— Tak! I nie mogę odżałować, że nie zeskoczyłem z kozła i nie zatrzymałem jej. Ale byłem tak przerażony, że doprawdy nie wiedziałem, co się ze mną dzieje!

— Możnaby się dowiedzieć, gdzie ona mieszka w Paryżu, i pod jakiem nazwiskiem.....

— Ja też właśnie chcę to uczynić, — zawołał Antoni. — Ale nie powiadaj pani o tem cesarzowej! Ona nigdy jej nie wspomina — nie wiem czemu, bo dawniej kochała ją bardzo!

— A jeżeli cesarzowa spyta o ciebie?

Nelly czuła się głęboko wzruszoną.

— Idź z Bogiem! — rzekła podając mu rękę. — Życzę ci z całego serca jak najwięcej powodzenia!

I ona wiedziała, co to jest kochać i niepokoić się nieustannie o najdroższą osobę. Stanisław był zawsze jeszcze w Bośni, narażony na niebezpieczeństwa wojny, i Bóg wie, kiedy miał do niej wrócić!

* * *

Antoni przysięgnął sobie, że będzie szukał Felicyi w Paryżu, i że nie spocznie prędzej, dopóki jej nie znajdzie.

Po rozmowie swej z Nelly poszedł do swego pokoju, wyjął z biurka sakiewkę z pieniędzmi, i zabrawszy małą fotografią Felicyi, którą potajemnie kupił u fotografisty w Wiedniu, wyszedł z hotelu. Jedyną jego bronią był gruby sękaty kij, który mógł się stać niebezpiecznym w żelaznych rękach Tyrolczyka.

Najpierw poszedł na miejsce wypadku z końmi i ucieszył się niezmiernie, widząc tego samego policyanta, który tam był po obiedzie. Zbliżył się więc natychmiast do niego, i zapytał grzecznie, kto była owa dama, zatrzymująca konie cesarzowej.

— Nie wiem, — odrzekł policyant.

Antoni nie stracił odwagi. Ujrzawszy kilku posłańców ulicznych stojących na drugiej stronie ulicy, poszedł do nich, i stawił im to samo pytanie.

Ale i oni nie znali nazwiska odważnej damy — jeden tylko z nich powiedział mu, że pani ta i mąż jej piją codziennie kawę w sąsiedniej kawiarni.

Kilka minut później był tam już Antoni i rozpoczął rozmowę z jednym z kelnerów.

Od niego też dowiedział się już czegoś więcej, a mianowicie, że piękna pani musi mieć bardzo zazdrosnego męża, bo zawsze są tylko sami i że jej nawet na innych patrzeć nie wolno. O piątej zajeżdża zwykle po nich wytworna kareta, mały groom siedzi na koźle, i zaraz potem odjeżdżają państwo.

— Jak wygląda mąż tej pani? — zapytał Antoni.

— Wysoki szczupły, ma czarne włosy i czarną, krótko przystrzyżoną brodę.

— To on! — pomyślał Antoni, głośno zaś dodał: — Nie znasz pan ich nazwiska?

— Nie!

— Proszę pana o książkę adresową.

Kelner przyniósł olbrzymie księgi, ale nazwiska Olivarez nie mógł w nich Antoni znaleść.

Co robić, gdzie szukać Felicyi?

Antoni myślał — ale nic wymyśleć nie mógł.

Nagle otworzyły się drzwi kawiarni, i do sali weszła mała, ładna dziewczynka, roznosząca kwiaty na sprzedaż.

Kelner pobiegł do niej i szarpnął nią mocno.

— Tu nie wolno żebrać, — krzyknął. — Wynoś się z twemi kwiatami!

— Ja nie chcę żebrać, — odrzekła dziewczynka wskazując palcem na Antoniego, — zdaje mi się że mogę temu panu wyświadczyć przysługę. Chciałabym mu kilka słów powiedzieć.....

— Pozwól jej pan przyjść do mnie, — prosił Tyrolczyk. — No i cóż, mała, co mi powiesz? — dodał, biorąc rękę dziewczynki.

— Posłańcy uliczni powiadali mi właśnie, — odparło dziecko, — ze pan szukasz tej pani, która uratowała dziś życie cesarzowej austryackiej.....

— Tak, szukam jej! — zawołał Antoni zdumiony, — i jeżeli pomożesz mi ją znaleść, dam ci pięć franków!

— O, ja znam tę panią i lubię ją bardzo! Ona jest piękna i dobra!

— Rozmawiałaś już z nią?

— O często! Kupowała odemnie kwiaty, gdy siedziała przed kawiarnią.

— Jak ci imie? zkąd jesteś?

— Imie mi Mignon, a matka moja, biedna wdowa, mieszka na przedmieściu Basignol. Ta piękna pani kupowała codziennie odemnie róże, i dawała mi zawsze dużo pieniędzy, ale wtenczas tylko, gdy mąż nie widział.

— Ile masz lat?

— Dwanaście! — odpowiedziała dziewczynka z pewną dumą.

— A słyszałaś może, jak się ta pani nazywa? — zapytał Antoni bez tchu prawie.

— Nie, ale słyszałam jej imie, Felicya! Mąż jej zawołał raz na nią, gdy powóz zajechał: — pójdź, Felicyo!

Antoni drżał jak we febrze.

— Dziękuję ci moje dziecko, — szepnął, podając dziewczynce pieniądz, — a teraz każę ci dać czekolady i pełen koszyk najlepszych ciastek!

Dziewczynka nie dała się długo prosić i jadła wyborne przysmaki z największym apetytem.

— Nie wiesz, — zaczął Antoni znowu po chwili, — gdzie ci państwo mieszkają?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Dodatek Humorystyczny.



List p. Agapita Szlagońskiego do swojej zacnej połowicy.

Wiedeń.

Kochana Basiu!

Stanąłem tedy w Wiedniu — miasto panie co się zowie, budynki wielkie, ulice szerokie, tylko drą Niemcy bez miłosierdzia. Stanąłem w gospodzie jakiegoś prynca, 3 guldeny płacę za dzień, a wygody człek nie ma żadnej. Największa bieda, że nie umiem szwargotać po niemiecku, aleć ja zawsze miałem wstręt do tego języka. Sztukuję brak ten jak mogę, to gestami, to kilkoma wyrazami, jakie w pamięci połapać mogłem. Opowiem ci, jakie miałem z tego powodu kłopoty.

Spaceruję wczoraj po *Folskgartynie* i pytam się grzecznie jakiegoś opasłego niemczury patrzącego ustawicznie na zachmurzony firmament: *Sogen zy mich ob wird hajte Schneewetter zajn?* A Niemiec tylko wzruszył ramionami i wyrzekł z uśmiechem: *ich ferszteje nichts.* Domyśliłem się, że mnie nie zrozumiał, biorę się więc na sposób, wskazuję palcem na obłoki i wołam: *„Brum, brum, pif, paf! ja? oder najn?„* Niemczysko parsknęło śmiechem, ale widocznie zrozumiał, bo odpowiedział: *najn.*

Wychodzę z tego ogrodu i widzę jakiś sklep, przed którym wiszą wywieszone różne części dziecinnego ubrania. Wchodzę tedy chcąc kupić coś dla naszego Adasia i zastaję w sklepie jakąś niemłodą, czerwoną jak ćwikłę niemkinię. Kłaniam się grzecznie i pytam: czy tu fabryka dziecinnych strojów *(Hir ist di fabrik fon Kinder?)*, a baba jak nie wrzaśnie, jak nie zacznie wymyślać.

— Ha! trudno! to nie kupię, odpowiedziałem po polsku i wyszedłem jak niepyszny trzasnąwszy drzwiami.

Że to już była pora obiadowa, idę sobie do jakiejś garkuchni, ale z kelnerem ani się rozmówić. Jeszcze o zupę się dogadałem, ale najgorzej było z pieczystem. Chciałem zjeść kurczę, ale na nieszczęście zapomniałem jak się zwie po niemiecku. Biorę więc kredę i rysuję na stole kurczę, ale że nigdy w rysunku biegłym nie byłem, nakreśliłem więc jakiegoś ptaka, którego kelner wziął za gęś, bo gdym ukończył moje arcydzieło, facetus ów zawołał: *ja, ja, ich fersztęe, dis gence.* Więc kiwam głową przecząco i myśle, jakby mu dobitniej wytłómaczyć; wtem przychodzi mi szczęśliwa myśl do głowy, zapiałem: k i k i r y k i, poczem kelner kiwnął głową i odszedł, ale mimo tak wyraźnej wskazówki przyniósł mi nieznośnie twardą kurę... widocznie za grubo piałem.

Kiedym wychodził, przyczepił się do mnie jakiś biednie ubrany człowiek domagając się gwałtem *grajcarka.* Sumituję mu się, że nie mam grajcarka przy sobie, że go zapomniałem wziąć z domu, ale ten nic, tylko prosi i prosi. Pozbyłem się więc natręta podarowawszy mu całego guldena, aby już sobie kupił ów upragniony grajcarek. *„Ich danke her graf!“* zawołał a ja sobie pomyślałem jak to na człowieku to i Niemcy poznać nie umieją.

Wieczorem poszedłem do teatru. Śliczny, powiadam ci moja Basiu, ale o tem za powrotem. W teatrze spotkałem poczciwego Jędrusia z Baraniej Wólki, który mnie pouczył, gdzie mam się stołować, wskazał mi mianowicie jedną traktyernię, której właściciel i kelner rozumieją po polsku, a gdzie co najważniejsza można dostać świńskiej głowizny, tej mojej, jak wiesz, ulubionej potrawy.

Poszedłem tam tedy dzisiaj. „Hej mocidzieju — zawołałem na kelnera — dawajno porcyę świńskiej główki, tylko prędko“.

— Saras, saras.

Po tem: zaraz — upłynęło jakie dziesięć minut.

— Hej, hej, a gdzie moja główka?

— Saras, saras — i znów pauza długa jak przedtem.

— Ale mociumdzieju — krzyknąłem ze złości — cóż tam moja główka!

— A fiem, *świńska*, saras bezie — i pobiegł do kuchni.

Czekam i czekam, a tu jak niema, tak niema, a burczenie ustawicznie w brzuchu było już podobne do rotowego ognia. Ha! tego już za wiele, jak nie krzyknę: „Panie gospodarzu!“ tak mój niemiec aż pobladł i przytoczył się do mnie.

— So fielmożny pan każe?

— Mociummm dzieju! Czekam już pół godziny na porcyę świńskiej głowy i nie mogę się doczekać, trzy razy prosiłem...

— Ach! Herjej! niech pancki darować, ale ten huncwot Filip, tylko nie *od konopi, ale do konopi,* bo lajdak na konopiach skonsi, on winien. Filip! Filip!

Filip posłyszawszy głos gospodarza przybiegł struchlały.

— Ach, ti kanalja — ten pan (tu gospodarz wskazał na mnie) szwinia głofa raz, a ty nic! ten pan szwinia głofa drugi raz, a ty nic! ten pan szwinia głofa trzeci raz, a ty nic! (w tem miejscu zaczęło się cąbrzenie czuba kelnerowskiego w takt do każdej syllaby crescendo) galgan, niezdatna do sluzby, paszol! won!

Tu gospodarz otworzył drzwi i przy zgrabnym jak na takiego grubasa ruchu prawej nogi wyrzucił Filipa za drzwi, a sam pobiegł do kuchni.

Odetchnąłem. Będę więc jadł. W parę minut przybiegł gospodarz:

— Bitt' um Fercajen Ajer Gnaten.

— Co? co? mów pan po polsku.......

— Ah! Psiprasiam! Szwinska glofa już nima. Bila pancka, ale ten taugenichts spóźnił się i pan regirungsrat szwinska glofa a nie pan. No aber co innego...

— A cóż jest? zapytałem ze złością.

— Polnisze Bletterkichelchen, Blonde Kalbflajsz, Kartofelmus, Marterkrebse in Kokillen-szalen, Pupieten fon Zeecungen, Profiterolles mit Salpicon, gesztircter Wurcelsalat...

— Niech was jasne pioruny trzasną z waszą kuchnią krzyknąłem, i w kwadrans w swoim numerze w hotelu gryzłem zapamiętale kiełbasę, coś mnie nią, moja poczciwa Basiu, na drogę zaopatrzyła...

(Reszta listu zaginęła.)



Cóż to jest kula ziemska?

— Czemu płaczesz?

— Bo nauczyciel obił mnie za to, że powiedziałem: Kula ziemska jest rzecz taka, która nie widziała mego tatusia.

— Co!?...

— Bo mama zawsze mówi do tatusia: takiego karciarza jak ty, kula ziemska nie widziała.

Z pamiętnika „wykolejonego.“

Ujrzałem ją rano o godzinie 10 minut 11.

O 12 min. 3 już była na stacyi w mojem sercu... Sam nie wiedziałem jak i kiedy została zawiadowcą moich czynności, naczelnikiem ruchu mych myśli i wszystkich wydziałów serca...

Jechało to, panie dobrodzieju, sznelcugiem....

Oczy jej wyglądały jak latarnie lokomotywy wśród nocy czarnej; kochałem ją szalenie i włóczyłem się za nią jak tender.

Chciałem zwekslować relsy mego życia, zejść z linii kawalerskiej i puścić się prosto, bez względu na spadki i łuki do stacyi hymenu, urządzić sobie zupełnie nowy rozkład jazdy mego życia i zmienić taryfę.

Lecz czy będę miał dość pary i węgla, czy nie zabraknie mi oleju i smarowidła?

Boże, Boże! czuję w mem sercu sygnał, pociąg szalonej miłości nadchodzi, serce odzywa się we mnie jak dzwonek...

Godzina 12 min. 3 już ją kocham, jej wejrzenie gniecie mnie jak bufor; okropność.

Chciałbym się wysłać do dyabła, nie mogę. Nie mogę żyć bez niej, nie potrafię umrzeć bez niej...

Wpadła mi do serca jak pakunek do brankardu, i gdzież ją mam wyexpediować?

. . . .

Mieszka z matką na ulicy X.

Przybiegam do nich na herbatę o godzinie 7 min. 31. Jest cudowna, a mama jej wygląda jak rezerwoar z wodą gorącą....

Jest mi jak w niebie....

Czemuż mnie Bóg skarał posadą przy kolei?! Muszę być na pociągu o godz. 10 min. 10, — obowiązki mnie wzywają.

Godzina 9 min. 16, — dają mi drugą szklankę herbaty.

Gorąca wściekle — parzę język — i tonę w jej oczach.

Jest mi tak pilno, jak biednemu pasażerowi na długiej stacyi.

Co powie naczelnik?

Godzina 9 min. 58 — biorę za kapelusz.

A ona do mnie powiada:

— Już?!...

To „już“ zaszumiało mi w głowie jak świstawka lokomotywy.

Zostałem zahamowany, a hamulcem były jej oczy bosko piękne. Godzina 10 min. 0. Słyszę turkot dorożek spieszących na dworzec...

— Pani, mówię, pociąg odjedzie...

— Czy pan zna tylko kolejowe pociągi?

Zdaje mi się, że jestem świętym Antonim, którego kuszą. Ale tamten się nie dał, a ja się dałem.

Przytem tamten nie służył na kolei.

Zostałem przygwożdżony.

Godzina 10 min. 5 — żegnam się.

— Już pana nie zatrzymujemy, mówi mama.

Sznelcugiem pocałowałem je w rączki

Wskoczyłem w dorożkę:

— Na kolej! co koń wyskoczy... wpadam do dworca. Godzina 10 min. 11. pociąg tylko co odszedł.

Naczelnik zwymyślał

. . . .

Ona jest aniołem!

Nie wart jestem takiego skarbu. To ananas, który trzeba ekspediować bardzo ostrożnie.

Jestem jej narzeczonym.

Kocham ją i kupuję tuzin szklanek rżniętych.

Wszakże mam pić herbatę familijną i ambrozyą z rogalami...

Cudna perspektywa!

Zdaje mi się, że pociąg mego szczęścia lada chwila przybędzie.

Wpadnę do dworca jej serca...

Zdaje mi się, że okrągła mama otwiera już dla mnie okienko od kasy.

U nich w salonie meble jak w wagonie klasy pierwszej, jak się tylko ożenię zaraz posprawiam wentylatory i popielniczki przy oknach.

Jeszcze chwila, a będę mógł swobodnie zwiedzać przedział dla dam, w którym siedzi mój anioł.

Od czasu do czasu, całuję ją po rękach, to tak jakbym się napił wódki na stacyi pośredniej.

Jestem w siódmem niebie.

Telegrafujemy do siebie bez aparatu.

Ona wysyła depeszę:

— Kochasz?

Ja odpowiadam: kocham.... a ty także?

A ona:

— A jakże.

Może powiecie, że to nudne? Nie! to największa rozkosz, a w każdym razie już to wolę, niż wydział kontroli.

Grucham z nią...

Do djabła... pociąg!!

Chwytam za kapelusz, biegnę.

Niestety spóźniłem się.

Naczelnik dał mi „naganę na piśmie.“

Jeszcze raz a wyskoczę z szyn.

. . . .

Za dwa dni miał być nasz ślub.

Ostatnia stacyą i odpoczynek. Czuję coś dziwnego. Żebym był literatem, napisałbym „U wrót stacyi.“

Mama wyszła po sprawunki. Byliśmy sami.

Obowiązek wzywał mnie znowuż na stacyą...

W uszach szumiały mi dzwonki elektryczne.

Przed oczami miałem mundury konduktorów i czerwoną jak krew czapkę zawiadowcy.

Pozostawało mi 17 minut.

Całowałem jej rączkę prawą, upłynęło 4 minuty. Lewą całowałem tyleż czasu...

Potem zwekslowałem jej ręce, całowałem pierwej lewą, następnie prawą...

Upłynęło minut 16.

O! szczęście, czemu trwasz tak krótko!?

Jedną minutę mówiłem do niej:

— Bądź zdrów, aniele mej duszy!

Pozostało mi godz. 0 min. 00...

Żaden zegar takiego czasu nie pokazuje.

Wpadam na kolej.

Naczelnik zły, jak szatan.

— Pan się zaniedbujesz...

— Panie naczelniku, ja się kocham.

— To idźże pan ekspedjować amory, do bagażów zbyteczna jest miłość!

Dostałem dymisyą.

Wyskoczyłem z relsów.

Prosiłem, błagałem, obiecywałem poprawę.

Nic nie pomogło.

Wyprawiony byłem do djabła za frachtem pospiesznym.

Biegnę do niej.

Już wiedzą. Dzwonię raz — drzwi zamknięte, drugi raz, to samo, — trzeci źle...

No, myślę sobie kiedy i po trzecim dzwonku nic, to już nie pojadę tym pociągiem.

I nie pojechałem istotnie, a w pół roku potem ona była żoną jakiegoś grubego maszynisty.

Taka jest historya mego wykolejenia się przez miłość.

Za zgodność z oryginałem

Alienus.



Sen sprawiedliwego.

— Czy zastałam pana Cwancygiera?

— A co pani chciała?

— Zastawić trochę biżuteryi, bo potrzebuję pieniędzy na święta.

— Kiedy on śpi...

— A nie można go obudzić?

— Trudno, pani wie, że sprawiedliwi ludzie mają mocny sen...

Z dziecinnego pokoju.

Matka do pięcioletniej Zosi, która wróciła z bratem Stasiem od dentysty:

— Byłaś grzeczna!

— Tak.

— Nie krzyczałaś! nie płakałaś!

— Nie.

— Pozwoliłaś dentyście robić wszystko, co było potrzebne!

— Tak.

— Bardzo ładnie, moje dziecko, a teraz masz w nagrodę ciasteczko i opowiedz mi, co też dentysta zrobił!

— Wyrwał Stasiowi trzy zęby...

Prosimy zaraz odnowić przedpłatę na poczcie!

Prosimy odciąć.

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das I. Vierteljahr 1903 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ______________________________

(Mieszkanie): ______________________________

Obige 1,25 M. erhalten zu haben bescheinigt

______________, den______________

Kaiserl. Post______________

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das I. Vierteljahr 1903 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,25 M.

(Imię i nazwisko): ______________________________

(Mieszkanie): ______________________________

Obige 1,25 M. erhalten zu haben, bescheinigt

______________, den ______________

Kaiserl. Post______________

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das I. Vierteljahr 1903 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Czytelnia Polska“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 13 der Zeitungspreisliste)

für 60 Pfg.

(Imię i nazwisko): ______________________________

(Mieszkanie): ______________________________

Obige 60 Pfg. erhalten zu haben bescheinigt

______________, den______________

Kaiserl. Post______________

Po znacznie

zniżonych cenach

sprzedamy zaraz:

1. **Folwark** kompletny 313 morgowy we **Woli łęg.** pod Gnieznem przy wpłacie . . . . . 25000 M.
2. Tamże **dom i 60 mórg roli** z łąkami przy wpłacie . . . . 4500 „
3. Tamże **kompl. gospodarstwo** z 250 morgami pięknej pszennej ziemi i łąkami przy wpłacie 20000 „
4. **Majątek Lanken** pod Złotowem (Flatow W. Pr.) stacya Linde w obszarze 764 mórg, piękne polowanie, kawałek lasku i 30 mórg dwusiecznych łąk przy wpłacie . . . . 50000 „
5. Tamże **kilka domów** z rolą po 20, 30 i 50 mórg przy bardzo małej zaliczce.
6. **Folwark kompl.** pod Poznaniem 484 mórg włącznie 40 mg. łąki, stacya Dąbrowka, przy wpłacie 25000 „
7. **Kompletne gospodarstwo** 73 mórg pod Rogowem przy wpłacie . . . . 6000 „
8. **W Żegrzu** pod Poznaniem kompletne gospodarstwo 81 mórg się składające, gdzie za place pod budowlę i za ziemię do cegielni po 2500 do 3000 M. płacą przy wpłacie . . . . 20000 „
9. **W Poetzen-Haul** p. Czempinem kompletne gospodarstwo 73 morgowe przy wpłacie . . . 9000 „
10. **W Ostrowie,** kościelnej wsi pod Strzelnem obszerny w nowy murowany **dom** i $8^1/_4$ morgi ogrodu obok, przydatne na kram, przy wpłacie . . . . 2000 „
11. **W Żabikowie i Kotowie** pod Poznaniem place budowlane po 1 hektarze przy wpłacie . . 800 „
12. **W Szamotułach 54 place budowlane** przy małej zaliczce.
13. **W Bydgoszczy 3 place budowlane** po 2 morgi przy wpłacie . . . . 100 „
14. **W Zielnikach** pod Srodą, **parcela** 100 mórg, kompletnie obsiana przy wpłacie . . . 7000 „
15. **We Woli wapowskiej** pod Kruszwicą stary **dom** z pięknym ogrodem ca. 3 morgi, gdzie sie samych szparagów rocznie za 300 M. sprzedaje przy wpłacie . . . . 1000 „
16. **W Mogilnie folwark kompl.** 320 mórg przy wpłacie . . . . 70000 „

863

Adres:

Bank Parcelacyjny-Posen-Victoriastr. 12.

Jedyny polski specyalny skład robót ręcznych

pod dawną firmą

EUGEN WERNER

właśc. A. Fromm, ul. Wilhelmowska Nr. 18. Poznań, blisko kościoła św. Marcina

poleca

wielki wybór w najnowszych robótkach od najdrobniejszych dziecinnych do najkosztowniejszych **kościelnych haftów.** Wszelkiego rodzaju roboty większe, jak koronki do obrusa, alby, komże, słupy do ornatów, stuły etc. **i kobierce krzyżowe,** robotę, urządza się i wykonuje podług poszczególnych życzeń w najkrótszym czasie. Potrzebne do haftu złota, jedwabie, wełny, bawełny, kanwy, **tiul** grochowy i **siatkowy** i najnowsze wzory i rysunki są zawsze na składzie.

Zamiejscowe zamówienia wysyła się przez zaliczkę odwrotnie. Osobom znanym wzory i roboty do wyboru, ale uprasza się przy żądanem wyborze o bliższe oznaczenie rodzaju robót. 765

Własna pracownia.

Meble

skromne i wykwintne

kompletne urządzenia mieszkań,

portyery, story, dekoracye

w najnowszym stylu

polecają: 843

GABRYELEWICZ & TYRANOWSKI

Poznań, ul. Wiktoryi 14.

Ceny nizkie.

Wyprzedaż!

Z powodu przeniesienia interesu wyprzedaję po znacznie zniżonych cenach całkie wyprawy i pojedyńcze sztuki. 210

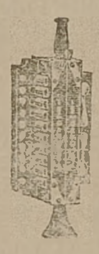
J. Silski

mistrz stolarski

ul. Wrocławska Nr. 31.

Największa nowość!

W państwie niem. co do użycia marka ochronna.



Koncertowy piston-akordeon

w zbudzeniu wszędzie wskutek dokładnej konstrukcyi, bardzo dobrej budowy i taniej ceny wielkie zainteresowanie.

Bez znajomości nut może każdy najładniejsze sztuki do tańca, marsze śpiewy itd. wygrać. Instrument ten ma 28 głosów przy cudownie zadziwiającem towarzyszeniu basu.

Sztuka kosztuje tylko *3,50 M.*

Szkoła darmo, tuzin 36 mk.

Illustr. pyszne katalogi o cytrach, skrzypcach, harmonikach itd. franko,

E. L. Brückner

Klingenthal i. Sa. (752)

Na Gwiazdkę!

Polecam po cenach najniższych mój bogato zaopatrzony skład *cukrów, biszkoptów, kakao, czekolady, herbaty i kawy palonej.*

Pierniki

z renomowanych fabryk Markiewicza w Kostrzynie, Weesego w Toruniu i Sobtzicka w Raciborzu. 866

0,60 Mk. rabatu

udzielam przy zakupnie za **3 marki.**

O wczesne zamówienia uprasza

A. Spiżewski Poznań, ul. Wodna 17/18.

Jan Matejko.

Bitwa pod Grunwaldem.

Reprodukcya słynnego obrazu w formacie 86×60 cm.

Cena 3 mk.

Znakomite arcydzieło Matejki doczekało się nareszcie **taniego wydania**, które umożliwi nabycie go najszerszym warstwom **polskiej publiczności**.

Pomimo niebywale **niskiej ceny 3 mk.** wykonanie w pierwszorzędnej drukarni *W. Anczyca w Krakowie*, nie ustępuje w niczem podobnym drogim wydawnictwom zagranicznym.

Obraz ten **wiekopomnego pogromu Krzyżactwa** będzie niewątpliwie ozdobą każdego polskiego domu.

Cena tylko 3 mk.

Przy przesyłce pocztowej jednego do czterech egzemplarzy dolicza się na opakowanie i koszta przesyłki 50 fen.

UWAGA: Kto zamówi *pięć egzemplarzy* od razu, nie ponosi kosztów przesyłki.

Zamawiający od razu,

dziesięć egzemplarzy,

nie ponosi kosztów przesyłki i otrzyma

bezpłatnie jeden egzemplarz jako premium.

Ze względu na to nadzwyczajne udogodnienie *poleca się* zbieranie gromadnych zamówień *wśród członków Towarzystw, krewnych i znajomych.* Nawet w najmniejszej miejscowości znajdzie się z łatwością dziesięciu odbiorców.

Polecając to wydawnictwo względom i opiece polskiej Publiczności, upraszam uprzejmie o wypełnienie załączonej kartki zamówień i kreślę

z szacunkiem

A. CYBULSKI księgarnia w Poznaniu.

Skład główny.

Kartę zamówień proszę przesłać w otwartej kopercie, nalepiając 3 fen. znaczkiem.

Niżej podpisany zamawia z księgarni p. F. A. Cybulski w Poznaniu za pobraniem pocztowem wysyłając należytość:

-------- egzempl. **Bitwa pod Grunwaldem za 3 mk.** i koszta przesyłki **50 fen.**

5 egz. tegoż po 3 mk.
10 „ i 1 egz. jako premium } **opłatnie.**

Miejscowość i adres: Imię i nazwisko:

N. B. Niepotrzebne wyrazy proszę skreślić.

Pieniądze

w każdej ilości na pierwsze resp. drugie miejsca dobrze się rentujących

kamienic

miasta ewtl. i przedmieść Poznania, także

na wsie (tj. majątki ziemskie)

prowincyi Poznańskiej, mamy od zaraz lub później do ulokowania.

DRWĘSKI & LANGNER

Dom bankowo-komisowy

w Poznaniu. *Rycerska ul. 38.*

Kap. zał. M. 3000000 **Bank Ziemski** Kap. zał. M. 3 000 000

w Poznaniu,

ulica Wiktoryi nr. 2.

przyjmuje na procent wkładki i oszczędności od 100 mk. począwszy i płaci za 3-miesięcznem wypowiedzeniem 4%, „ 6-tygodniowem „ 3½%.

Przesyłki pocztą adresować należy tylko: 501

Bank Ziemski — Posen.

Telefon Nr. 1179. **Telefon Nr. 1179.**

B. Urbanowicz

Gostyń

poleca się do wykonywania **wszelkich prac w zakres ślusarstwa wchodzących i mechanicznych** jako to: 542

Okien z kutego żelaza, ogrodzeń domów, ogrodów, werand, bram, furtek, balkonów i budowlowe roboty, okucia drżwi i okien

wykonują się szybko po cenach umiarkowanych.

Kto ma szczery zamiar

kamienicę

korzystnie kupić lub sprzedać, ten niech się z całem zaufaniem zgłosi do

Drwęskiego & Langnera,

Domu Bankowo-Komisowego

Ul. Rycerska 38. *w Poznaniu* Telefon 1246.

Specyalny wydział

dla kupna i sprzedaży kamienic, wil, placów budowlanych i t. d. lecz tylko dla Poznania i przedmieść. Pośrednictwo sumienne i dyskretne.

„Manus I“

Najlepsze mydło toaletowe i dla dzieci 40 i 20 fen. w aptekach i drogeryach. 816

Gustaw Schröter

&

Wł. Pawłowski

teraz: ul. Szeroka 18. 745

Kołowce najlepszej marki.

Maszyny do szycia.

Automaty muzyczne!

Sprzedaż pojed. części do kołowców należących po cenach hurtow.

Płaszcze . .	6,75 M.
węże	3,75 „
hamulce . .	0,60 „
pumpy do pow. napełniania .	0,60 „
dzwonki od .	0,25 „
latarki . . .	0,90 „

Gabinet dentystyczny

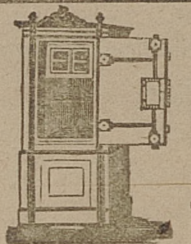
J. Gulińskiej

Poznań, ul. Berlińska 19

(nad Schneidrem). 25

Trwałe plomby, zęby **sztuczne z gwarancyą** dobrego leżenia w ustach.

Ceny umiarkowane. **Dla dzieci w wieku szkolnym** i młodszych o połowę niższe.



Szafy żelazne z stalowym pancerzem, zaopatrzone w zamki najnowszej konstrukcyi.

Maszyny do krajania kapusty, bardzo praktyczna w **3** wielkościach.

Łóżka żelazne dla dorosłych i dzieci,

umywalki.

klozety i bidety

Mowość! **Piecyki** Nowość!

francuzkie do ogrzewania mniejszych pokoi za pomocą gazu, wytwarzającego się z nafty, poleca

T. OTMIANOWSKI

właściciele: **B. Ziętkiewicz — St. Mińcikiewicz.**

Poznań — Bazar. **Telefon Nr. 565.**

Cenniki darmo i franko. 307